

WIELKIE SERIE SF

GWIEZDNE WOJNY

HAN SOLO
NA KRAŃCU GWIAZD


AMBER



BRIAN DALEY

BRIAN DALEY

PRZYGODY HANA SOLO I
HAN SOLO NA KRAŃCU GWIAZD
(*Han Solo At Star's End*)

Przekład
Jan Woydyga



*Paulowi Andersonowi i Gordonowi R. Dicksonowi
za słowa otuchy dla nowicjusza oraz
Owenowi Lockowi,
wybitnemu redaktorowi i przyjacielowi
Autor chciałby wyrazić podziękowanie
Eleanor i Dianie Berry
za pomoc w najodpowiedniejszych chwilach*

ROZDZIAŁ I

— Do diabła. To przecież statek bojowy.

Tablica rozdzielcza w sterowni „Tysiącletniego Sokoła” rozbłysła światłami ostrzegawczymi i sygnalizatorami awarii, ożyła buczeniem i zawodzeniem czujników. Na monitorach błyskawicznie ukazywały się sprzeczne informacje.

Pochylony w fotelu pilota Han Solo z zimną krwią obserwował konsolę i monitor, pospiesznie oceniając sytuację. Na jego pociągłej młodzieńczej twarzy malowała się troska. Chwila spodziewanego lądowania zbliżała się nieuchronnie, tymczasem jeden ze strzegących granicy statków bojowych zdołał wyśledzić ich obecność i teraz zmierzał im na spotkanie.

Han był wściekły, że to strażnicy graniczni dostrzegli ich pierwsi. Przecież w jego profesji umiejętność poruszania się bez zwracania na siebie uwagi czynników oficjalnych była absolutnie niezbędna. Zaczął aktualizować współrzędne ogniowe dla systemu broni pokładowej.

— Włącz ładowanie głównych baterii, Chewie — rzucił, nie odrywając wzroku od swojej części konsoli. — I wszystkie osłony. Jesteśmy na obszarze niedozwolonym, nie możemy wpaść w ich ręce ani dać się rozpoznać.

Zwłaszcza — dorzucił w duchu — z ładunkiem, który przewozimy.

Siedzący po prawej stronie potężny Wookie na znak zrozumienia wydał z siebie dźwięk będący czymś pośrednim między chrząknięciem i szczeknięciem, po czym wprawnie sięgnął owłosioną ręką do przełączników kontrolnych. Widząc jak statek niknie w energetycznym polu ochronnym, z zadowoleniem wyszczerzył potężne siekacze. Nastawił systemy bojowe na stan maksymalnej gotowości.

Przygotowując „Sokoła” do walki, Han kłął w duchu chwilę, w której zdecydował się przyjąć tę robotę. Doskonale wiedział, że może przez to popaść w konflikt z Rządami Wspólnego Sektora i to wtedy, gdy znajdzie się w samym środku rejonu, w którym latanie było zabronione.

Obca jednostka zbliżała się, pozostały zatem tylko sekundy na podjęcie ostatecznej decyzji: zapomnieć o zadaniu i ratować się ucieczką w nieznaną lub też mimo wszystko próbować kontynuować misję. Po raz kolejny spojrzął na konsolę, tak, jakby oczekiwał, że stamtąd przyjdzie rada czy ratunek.

Ścigający ich statek znajdował się wciąż w mniej więcej tej samej odległości, a chwilami wydawało się nawet, że „Sokół” nieznacznie zwiększa dystans. Wkrótce na monitorze ukazały się dane dotyczące masy, uzbrojenia i siły ciągu ich prześladowcy, dzięki czemu Han zyskał nieco lepsze rozeznanie.

— Chewie, myślę, że to nie jest statek liniowy, wygląda raczej na zwykły masowiec wyposażony w dodatkowe uzbrojenie. Zwiększył nas chyba tuż po starcie. Do diabła, czy ci faceci nie mają nic lepszego do roboty?

Wiedział, że główna stacja na Duroonie, jedyna posiadająca pełne wyposażenie, znajduje się dokładnie na drugiej półkuli, tam, gdzie jasna poświata świtu rozświetlała sine niebo. Zdecydował się, więc na lądowanie możliwie jak najdalej od tej placówki, w samym środku mrocznej strony planety.

— Łądujemy — rzucił.

Gdyby „Sokołowi” udało się zmylić pogoń, Han i Chewbacca mogliby spokojnie osiąść na powierzchni planety i przy pewnej dozie szczęścia, uciec.

Wookie gniewnie zawarczał, odsłaniając czarne nozdrza i wnętrze paszczy. Han spojrzął

na niego.

— Masz lepszy pomysł? Jest już chyba trochę za późno na to, żeby pozbyć się ich towarzystwa, prawda?

„Sokół” przeszedł w lot nurkowy, raptownie tracił wysokość i jednocześnie zwiększając prędkość, zbliżył się do powierzchni Duroona.

Podążający ich śladem statek zachowywał się zupełnie inaczej — zwolnił nieco i przebijając się przez gęste pokłady atmosfery, utrzymywał wysokość kosztem prędkości, starając się nie stracić „Sokoła” z zasięgu wychwytywania czujników. Han zignorował podany przez radio rozkaz zatrzymania się — telenadajniki, automatycznie podające na żądanie nazwę statku, zostały odłączone grubo wcześniej.

— Trzymaj tarcze deflektorowe w pełnej gotowości — rozkazał. — Podchodzimy do lądowania, bo inaczej obedną nas ze skóry.

Wookie zastosował się do polecenia i za pomocą tarcz rozproszył ogromne ilości energii cieplnej, która wytwarzała się podczas gwałtownego wchodzenia statku w atmosferę. Wskaźniki kontrolne migały szaleńczo, gdy „Sokół” zanurzał się w jej gęstych warstwach. Han manewrował w ten sposób, aby planeta znalazła się pomiędzy jego jednostką a pościgiem.

Udawało się mu to znakomicie, dopóki wskaźniki nie zanotowały gwałtownego wzrostu temperatury spowodowanego tarciem podczas lotu nurkowego frachtowca.

Spoglądając to na czujniki, to na rozciągający się przed nimi firmament, spostrzegł pierwszy punkt orientacyjny — aktywną szczelinę wulkaniczną, rozciągającą się na osi wschód–zachód, przypominającą ogromną, świeżą bliznę na ciele Duroona. Wyprowadził stawiającą opór maszynę z lotu pikującego i zaledwie parę metrów nad powierzchnią planety wyrównał kurs.

— Zobaczmy, jak im teraz pójdzie pościg — rzekł bardzo z siebie zadowolony.

Chewbacca prychnął pogardliwie. Wymowa tego prychnięcia była oczywista — manewr da tylko chwilową osłonę. Niebezpieczeństwo zlokalizowania statku za pomocą wzroku lub przyrządów było jednak niewielkie z powodu panującego na powierzchni piekielnego upału i zniekształceń wywołanych dużymi radioaktywnymi pokładami rud żelaza. Ale wiedzieli również, że nie mogą pozostać tam zbyt długo.

W sterowni wypełnionej jaskrawopomarańczową poświatą bijącą ze szczeliny Han analizował sytuację. W najlepszym razie udało mu się zgubić pogoń i statek rządowy nie powinien ich odnaleźć, chyba że udałoby mu się ponownie wznieść na odpowiednią wysokość i namierzyć „Sokoła” czujnikami. Szukając odpowiedniego miejsca do lądowania, Han starał się rozwijać maksymalną prędkość i manewrować w ten sposób, by bryła planety oddzielała go od ścigających. Przeklinał w duchu fakt, że na planecie nie było odpowiednich radiolatarni nawigacyjnych; lecieli na oślep, nie mogli przecież wychylić się ze sterowni i spytać przechodnia o drogę.

W ciągu paru minut statek zbliżył się do zachodniego końca szczeliny. Han musiał nieco wytracić prędkość i rozejrzeć się za następnymi punktami orientacyjnymi. Ponownie pomyślał o wcześniej otrzymanych instrukcjach, które zapisane były jedynie w jego pamięci. Na południe od miejsca, gdzie się znajdowali, majaczył ogromny łańcuch górski. Han przechyłem wprowadził „Sokoła” w skręt, nacisnął dwa przełączniki i poszybował w kierunku gór.

Automatycznie włączyły się SCT — specjalne czujniki terenowe. Utrzymywał statek na niewielkiej wysokości, tuż nad zastygłą, stwardniałą lawą, z rzadka poprzecinaną siecią niewielkich szczelin, najwyraźniej bezpośrednio odchodzących od wielkiego rozpadliska. Z obawy, że obecność „Sokoła” zostanie wykryta, prześlizgując się nad wulkanicznymi różninami, Han manewrował na wysokości pozwalającej na natychmiastowe lądowanie

awaryjne.

— Jeżeli ktoś jest tam na dole, to powinien prędko zmykać — rzucił, nie odrywając wzroku od czujników terenowych, które radośnie zabuczały, zlokalizowawszy poszukiwaną przez niego przełęcz górską. Skorygował kurs.

To zabawne. Według dostarczonych mu informacji, przełęcz powinna być dostatecznie szeroka dla „Sokoła”, a to, co widział na monitorze, wydawało się zaledwie wąskim przesmykiem. Przez chwilę rozważał możliwość wzniesienia się na większą wysokość i przelecenia nad górującymi szczytami, ale w ten sposób mógłby się znów znaleźć w zasięgu działania aparatury wykrywającej wroga. Zbyt blisko było do punktu odbioru towaru, a tym samym do dnia wypłaty, by ryzykować wpadkę czy ucieczkę. Zwiększył moc silników, zdecydowany na pokonanie przesmyku na niskiej wysokości.

Kropłe potu wystąpiły mu na czoło, czuł, że również koszula i kamizelka są nim przesiąknięte. Chewbacca wydał z siebie głuchy pomruk znamionujący maksymalne skupienie. Obaj pełni niepokoju sposobili się do skoku „Sokoła”. Obraz, widoczny na monitorze, nie dodawał im otuchy.

Han mocniej ujął stery, czując przez rękawiczki gładką metalową powierzchnię.

— Przedostać się, tylko się przedostać przez tę przeklętą szczelinę. Wstrzymaj dech, Chewie, musimy się jakoś precyzyjnie.

Rozpoczął ostrą walkę z własnym statkiem. Chewbacca groźnym pomrukiwaniem dawał wyraz swej niechęci do wszystkich niekonwencjonalnych manewrów, podczas gdy Han starał się jak najbardziej zredukować prędkość. Nie zmniejszyło to jednak potencjalnego zagrożenia. Szczelina zaczęła przybierać wyraźny kształt, stawała się coraz lepiej widoczna w świetle gwiazd i skrytego za górami jednego z trzech księżyców Duroona. Oczywiście była zbyt wąska.

Statek zwiększył nieco wysokość, jednocześnie tracąc prędkość. Te kilka dodatkowych sekund pozwoliło Hanowi na uruchomienie odruchowych szybkich reakcji na niebezpieczeństwo, instynktów, dzięki którym pokonywał już wiele razy trasy całej galaktyki. Wyłączył wszystkie tarcze deflektorowe, które utrudniały manewrowanie i mogły łatwo zawadzić o każdą skalną przeszkodę. Uaktywnił wszystkie czujniki i gwałtownie przechylił „Sokoła” na lewą burtę. Z obu stron osaczyły ich posępne turnie, toteż wycie silników rozbrzmiewało zwielokrotnionym echem.

Spoglądając na przybliżające się ściany, minimalnie skorygował tor lotu i czując, że jako pilot nie może wiele więcej zrobić, zaklął ze złością.

Nagle rozległ się lekki chrobot, a zaraz po nim zgrzyt metalu rozdieranego równie łatwo jak papier. Dalmierze zamigotały i zgasty; występ skalny wyrwał spory otwór w górnej części kadłuba. W chwilę potem „Sokół” precyzyjnie się przez owo „ucho igielne” i góry pozostały za nimi.

Zlany potem od stóp do głów Han doskoczył do Chewie’ego.

— A nie mówiłem? Improwizacja to moja specjalność! Statek unosił się teraz nad gęstą dżunglą porastającą podnóże gór. Han wyrównał lot, niedbale ocierając przy tym dłonią zroszone potem czoło. Chewbacca mruknął potwierdzająco.

— Zgoda — odparł Han. — To głupie miejsce na górę. Spenetrował wzrokiem mijaną okolicę w poszukiwaniu następnego punktu orientacyjnego i spostrzegł go niemal natychmiast. Była to kręta rzeka. Gdy „Sokół” znalazł się nad powierzchnią wody, Wookie opuścił podwozie statku.

W parę sekund później dotarli do lądowiska usytuowanego w pobliżu malowniczego wodospadu. Spadająca z wysokości dwustu metrów, błękitno-biała w świetle gwiazd i księżycy woda tworzyła imponujący widok. Wpatrując się w SCT, Han zdołał dojrzeć wśród gęstwiny nie zarośnięty skrawek gruntu i z wolna opuścił tam statek. Szerokie

tarcze podwozia miękko zagłębiły się w podłożu i „Tysiącletni Sokół” znieruchomiał. Han i Chewbacca pozostali jeszcze przez chwilę na miejscach, niezdolni do jakiegokolwiek ruchu. Przed nimi rozciągała się ciemna ściana dżungli, gmatwanina bujnej roślinności, zwieńczonej gigantycznymi, sięgającymi dwudziestu i więcej metrów paprociami. Lekka, zwiewna mgiełka spowijała niskie krzewy i zarośla.

Wookie wydał drugie świszczące westchnienie.

— Dobrze to określiłeś — rzucił Han. — Chodźmy się rozejrzeć.

Zdjęli hełmofony i wstali z foteli. Chewbacca sięgnął po kuszę i pas z amunicją, na którym zawieszony był pusty w tej chwili worek. Han z kolei uzbrojony był w użyteczny i szybki blaster wyposażony w makroskop. Kabura kryjąca broń wisiała mu nisko na udzie, a dodatkowe wycięte w niej otwory odsłaniały spust i bezpieczniki.

Zgodnie z informacjami, jakie posiadali, atmosfera na Duroona umożliwiała oddychanie bez użycia aparatów tlenowych. Przemytynicy podeszli do wjazdu. Pokrywa uniosła się automatycznie, a rampa opadła bezzwłocznie. Wnętrze sterowni wypełniło się zapachem dżungli, rosnących i butwiejących roślin, gorącej i wilgotnej nocy, czyhających niebezpieczeństw. Słyszeli odgłosy tej puszczy, tajemnicze pohukiwania, nawoływania błagalne i złowieszcze, a przede wszystkim wszechobecny huk wodospadu.

— No, miejmy nadzieję, że nas znajdą — powiedział Han. Rozglądał się uważnie, ale nie widział żadnych oznak życia. Nie dziwiło go to specjalnie — huk lądującego statku najprawdopodobniej wypłoszył wszystkie stworzenia w całym rejonie.

— Zaczekam na nich — zwrócił się do swego współnika. — Wyłącz czujniki, silniki, energię, wszystkie systemy, to rządowi nas nie dorwą. I sprawdź, czy uszkodzenie jest groźne.

Chewbacca skinał głową i odszedł powłócząc nogami. Han ściągnął rękawiczki, zatknął je za pas i zeskoczył z pochylni, znajdującej się w tylnej części sterowni. Nastawił czujniki broni na silny ogień i rozejrzał się ponownie. Ten smukły młody mężczyzna odziany w wysokie buty gwiazdowego wędrowca, ciemne wojskowe spodnie z czerwonymi lamówkami oraz cywilną koszulę i kamizelkę już przed laty zrezygnował z munduru, honorów i insygniów wojskowych.

Pobieźnie sprawdził spód „Sokoła” i upewnił się, że statek nie uległ uszkodzeniu, a podwozie nie ugrzęzło w ziemi. Sprawdził również, czy podkładki-bezpieczniki automatycznie znalazły się w odpowiednich miejscach względem serwowprowadnic dolnej wieżyczki, tak, aby w razie konieczności użycia broni podczas postoju, zamontowane czterolufowe działka przez przypadek nie odstrzeliły podwozia.

Usatysfakcjonowany stanem „Sokoła”, przeszedł do miejsca, gdzie pochylnia opierała się o grunt. Spojrzał na puste niebo usiane gwiazdami. Rządowi mogą mnie szukać — pomyślał — ta część planety pocięta jest gorącymi źródłami, wylotami termicznymi i wyciekami lawy nasyconej metalami ciężkimi i miejscami, gdzie występują anomalie radiacyjne. Szukałby mnie chyba przez miesiąc, a za godzinę lub dwie nie będzie już tu po nas śladu.

Usiadł na skraju rampy, żałując przez chwilę, że nie ma przy sobie czegoś mocniejszego. Wprowadził pod konsolą w sterowni spoczywała dobrze ukryta flaszka destylowanego soku gwiazdowego, ale nie chciało mu się po nią iść. Poza tym miał jeszcze coś do zrobienia.

Nocne żyjątko Duroona zaczęły powoli wypełzać na pokryte mchem podłoże. Śnieżnobiałe owady przypominające koronkowe serwetki unosiły się w powietrzu, a pobliskie drzewa iglaste były siedliskiem stworzeń wyglądających jak wiązki słomy, które powoli przesuwały się wzdłuż gigantycznych paproci. Spoglądał na nie, co jakiś czas, ale wąpił, aby zbliżyły się do tej dziwnej, obcej formy, jaką był pojazd kosmiczny.

Niespodziewanie niewielki, zielony, kulisty stwór wynurzył się z zarośli i wylądował na kadłubie. Początkowo wydawał się gładki, ale po chwili wypuścił mackę, najprawdopodobniej spełniającą rolę oka i dokładnie obserwował „Sokoła”. Spozrzeglwszy pilota, stworzenie odskoczyło. Macka zniknęła, kula sprężyła się, po czym oderwała się od statku i poszybowała w kierunku dżungli.

Przysłuchujący się odgłosom krzątający się Chewie’ego dolatującym z górnej części kadłuba Han popadł w zadumę. O ile lat świetlnych oddalona była ta nieznaną konstelacją od planety, na której się urodził? Nawet w przybliżeniu, nie był w stanie tego określić.

Profesja przemytnika i pilota do wynajęcia niosła za sobą wiele niebezpieczeństw, ale tym się najmniej przejmował. Jednak kurs do strefy zakazanej z ładunkiem, którego przechwycenie równałoby się dla niego karze śmierci, to zupełnie co innego.

Wspólny Sektor stanowił zaledwie niewielką część końca ramienia galaktyki składającej się z dziesiątków tysięcy systemów słonecznych charakteryzujących się tym, że na żadnym z nich nie odkryto obecności istot myślących. Nikt nie wiedział, dlaczego tak było. Han słyszał, że przeprowadzane badania nad neutrinami wykazały istnienie pewnych nieprawidłowości w słonecznych warstwach konwekcyjnych, które mogły się rozprzestrzenić jak wirus wśród gwiazd tego odizolowanego sektora.

W każdym razie Rządy Wspólnego Sektora uprawnione były do eksploataowania — niektórzy zwali to plądrowaniem — niezliczonych bogactw naturalnych tego regionu.

Rządy były jednocześnie właścicielem, pracodawcą, gospodarzem, zarządcą i siłą militarną Sektora. Ich zasięg i wpływy obejmowały wszystko z wyjątkiem najbogatszych rejonów Imperium. Rządy poświęcały sporo czasu i energii na odseparowanie się od jakichkolwiek wpływów z zewnątrz. Mimo że nie musiały się obawiać żadnego współzawodnictwa, były ogromnie zazdrosne i jednocześnie mściwe. Każdy statek spoza sektora przyłapany poza wyłęczonymi korytarzami lotu stawał się od razu obiektem ataku floty bojowej, której załogę stanowili wzbudzający grozę funkcjonariusze sił bezpieczeństwa.

Ale co można zrobić, gdy jest się postawionym w sytuacji bez wyjścia? — zapytywał sam siebie Han. Nie mógł przecież odmówić udziału w tak fascynującym, lukratywnym kursie, zwłaszcza po tym, jak lichwiarz Ploovo Dwa-Na-Jeden opisał wnikliwie bogactwa, jakie przypadną im w udziale.

W każdej chwili mogę to wszystko cisnąć w diabły — pomyślał. — Znaleźć gdzieś przyjemną planetę, osiedlić się. To przecież ogromna galaktyka.

Potrząsnął głową. Nie ma sensu się wygłupiać. Gdyby osiadł na mieliźnie, byłby to koniec wszystkiego. Jakie atrakcje mogła oferować planeta, pojedyncza planeta, komuś, kto poznał wszechświat? Pragnienie poznawania bezkresnych przestrzeni stanowiło integralną część jego osobowości.

Kiedy więc Hanowi i Chewbacce, załamany i zadłużony po uszy, zaproponowano kurs w głąb tego terytorium Wspólnego Sektora, gdzie latanie było zabronione, bez wahania przyjęli ofertę. Mimo niebezpieczeństw i niepewności, jakie niosła ze sobą ta misja, dawała im możliwość ponownego wzniesienia się w przestworza i przeżycia wspaniałego uczucia prawdziwej wolności. W ich mniemaniu ryzyko śmierci lub dostania się w niewolę było mniejszym złem.

Ale był również inny problem. Statek rządowych zdołał wyśledzić ich obecność, zanim czujniki „Sokoła” go namierzyły. Niewątpliwie więc siły bezpieczeństwa Wspólnego Sektora dysponowały jakimś nowym sprzętem wykrywającym, co znacznie komplikowało sytuację Hana i Chewie’ego. Należało zwiększyć czujność.

Han uważnie penetrował wzrokiem otaczającą ich dżunglę, żałując, że nie może włączyć reflektorów statku. Gdy więc tuż obok niego rozległy się słowa: „Jesteśmy tutaj”, wyrwał blaster z kabury i błyskawicznie wymierzył w kierunku, skąd dobiegał głos.

Dziwny osobnik, oddalony od Hana zaledwie o długość ramienia, stał nieruchomo obok pochylni. Był to dwunożny stwór, mniej więcej wzrostu Hana, o kulistym, pokrytym sierścią torsie i czterech kończynach różniących się od ludzkich liczbą stawów. Głowę miał niewielką, wyposażoną w parę dużych, nieruchomych oczu oraz obwisłe, workowate usta i gardło. Pachniał dżunglą.

— Rób tak dalej — wykrztusił z siebie Han, prostując się i chowając broń. — A któregoś dnia marnie zginiesz.

Stwór zdawał się nie dostrzegać sarkazmu zawartego w tych słowach.

— Czy macie to, czego potrzebujemy?

— Mamy dla was cargo. Ale na tym się kończy moja rola. Jeżeli przyszedłeś sam, zdrowo się napracujesz.

Stwór odwrócił się w kierunku zarośli i wydał z siebie niesamowity pisk. W tym samym momencie jak spod ziemi wyrosły tuziny identycznych nieruchomych postaci i w milczeniu obserwowały pilota i jego statek. Każda trzymała w ręce krótki, masywny przedmiot stanowiący, jak sądził Han, rodzaj broni.

Gdzieś z góry dobiegło ostrzegawcze warczenie. Uczyniwszy krok do przodu, Han spojrzął w górę i ujrzał Chewbaccę stojącego na dziobie „Sokoła” i mierzącego do przybyszów z kuszy. Skinął uspokajająco dłonią. Wookie opuścił broń i zniknął w czeluściach statku.

— Szkoda czasu — rzekł Han do przybysza. Ten zbliżył się do „Sokoła” wraz z towarzyszami. Han powstrzymał ich ruchem ręki. — Nie wszyscy naraz. Tylko ty.

Przywódca grupy wybełkotał coś niezrozumiale do pozostałych, po czym wszedł do kabiny.

Wewnątrz statku Chewbacca włączył przyciemniane światła tak, by dawały tylko minimalny blask, po czym przystąpił do otwierania zapieczętowanych i zabezpieczonych, prawie niewidocznych klap znajdujących się pod pokładem tajnych ładowni. Następnie schylił się i wskoczył do kryjówek, w której spoczywała przewożona przez nich kontrabanda. Po odpięciu klamer i pasków Wookie przystąpił do rozładowywania towaru, na który składały się długie, prostokątne skrzynie, pod ciężarem których napinały się z wysiłku jego potężne muskuły.

Han przyciągnął do siebie jedną ze skrzyń, obrócił i złamał znajdujące się na niej pieczęcie. Paka wypełniona była bronią, tak dobrze zabezpieczoną, że metal nie odbijał światła. Han wziął jeden egzemplarz, sprawdził, czy jest naładowany i zabezpieczony, po czym podał go przybyszowi.

Karabiny były krótkie, lekkie i proste w obsłudze. Każdy wyposażony został w prosty celownik optyczny, ramię ramieniowe, dwójnóg i składany bagnet. Choć przybysz najpewniej nie posługiwał się zbyt często bronią energetyczną, ze sposobu w jaki ją trzymał widać było, że niejednokrotnie miał już taki karabin w rękach. Uniósł go, zajrzał do wnętrza lufy i dokładnie sprawdził spust.

— Dziesięć skrzyń, dwieście karabinów — poinformował go Han, sięgając po następny. Uniósł pokrywę na kolbie, wskazując na złączki służące do ładowania baterii energetycznej. Według obowiązujących kryteriów broń była przestarzała, ale nie posiadała żadnych wewnętrznych ruchomych elementów i była na tyle trwała, że dawało się ją przewozić czy magazynować bez konieczności użycia jakiegokolwiek środka konserwującego. Nawet pozostawiona w dżungli zachowywała zdolność rażenia przez dziesięć lat. Wszystkie powyższe zalety tego typu karabinów okazywały się niezmiernie ważne na tej planecie, gdzie nowi właściciele nie zdołali zapewnić prawidłowej konserwacji.

Stwór skinął głową potwierdzając, że rozumie, w jaki sposób działa system ładowania.

— Ukradliśmy już małe generatory z magazynów rządowych — objaśnił Hana. — Przybyliśmy tutaj, ponieważ obiecywano nam pracę i dostatnie życie, więc cieszyliśmy

się, bo świat, z którego pochodzimy, jest bardzo biedny. Ale byliśmy traktowani jak niewolnicy i nie pozwolono nam wyjechać. Wielu z nas uciekło i skryło się w dżungli, która nieco przypomina planetę, z której pochodzimy. Teraz, mając tę broń, będziemy mogli walczyć...

— Dostyc — warknął Han, groźnie potrząsając pięścią. A gdy uspokoił się nieco, dodał: — Nie chcę tego słuchać, rozumiesz? Nie znam ciebie ani ty mnie nie znasz. To nie moja sprawa, więc mi nie mów.

Para dużych oczu wpatrywała się w niego nieruchomo. Spuścił wzrok.

— Przed odlotem otrzymałem połowę zapłaty. Drugą otrzymam, jak się stąd wydostanę, więc dlaczego, u diabła, nie zabieracie towaru i nie wynosicie się stąd? I pamiętajcie o jednym: żadnego strzelania, zanim nie wystartuję. Statek rządowy może zarejestrować hałas.

Stanęła mu przed oczami owa zaliczka wyptacona w dorodnych perłach, diamentach, gwiazdzistych kryształach i innych cennych klejnotach potajemnie wywiezionych z tej planety przez sympatyków zakontraktowanych niewolników. Zamiast kupić sobie wolność i uciec na pokładzie „Sokoła”, dezserterzy woleli przystąpić do rebelii przeciwko Rządowi Wspólnego Sektora. Durnie.

Odsunął się o krok od przybysza. Ten przyglądał mu się przez chwilę, po czym wskazał otwartą ładownię. Jego towarzysze, przepychając się nawzajem, zgromadzili się wokół otworu. Han teraz dokładniej przyjrzał się broni, jaką mieli przy sobie. Głównie prymitywne kusze i pistolety pneumatyczne. Niektórzy byli dodatkowo uzbrojeni w sztylety ze szkła wulkanicznego. Mieli zwinne ręce zakończone trzema rozcapierzonymi palcami. Wchodzili na pokład w sześć- i siedmioosobowych grupach, po czym wynosili ciężkie, wypełnione karabinami skrzynie. Chewbacca obserwował ich z rozbawieniem. Han widząc, jak kolejne grupy znikają z ładunkiem w głębi dżungli, pomyślał, że cała ta scena przypomina jakiś dziwny kondukt.

Nagle przyszedł mu do głowy pewien pomysł. Odciągnął przywódcę na bok.

— Czy rządowi mają tutaj w pobliżu statek wojenny? Ogromny statek z mnóstwem dział?

Przybysz zastanowił się chwilę.

— Mają jeden duży, który przewozi ładunki i pasażerów i jest uzbrojony w potężne działa. Czasami unosi się w przestrzeń, gdzie spotyka się z innym w celu wymiany ładunków. Było to zgodne z przypuszczeniami Hana. Statek, który ich wyszedł, nie był jednostką bojową, a raczej uzbrojonym transportowcem. Złe — pomyślał. — Chociaż mogło być gorzej.

Nie było to jednak wszystko, co przybysz miał mu do powiedzenia.

— Będziemy potrzebowali więcej — rzekł. — Więcej broni i więcej pomocy.

— Proście o nią waszych duchownych — odrzekł sucho Han, pomagając Chewie'emu zamknąć ładownię. — Albo starajcie się to załatwić tymi samymi kanałami co dzisiejszą dostawę. Ja już z tym skończyłem, więcej mnie nie zobaczycie. Robię to tylko dla forsy. Przybysz popatrzył na niego uważnie, jakby usiłował zrozumieć. Han odrzucił od siebie myśl o tym, jak wygląda życie w przymusowym obozie pracy — szara, niewolnicza, pozbawiona radości egzystencja, której nawet nie można określić mianem życia. Było to jednak normalne we Wspólnym Sektorze; prymitywne istoty mamiono fałszywymi obietnicami, a po przybyciu na miejsce pracy zamieniano w więźniów. Jaką nadzieję mieli jeszcze ci dezserterzy? Każdy jest kowalem swego losu—pomyślał. To, co robił, nie zawsze czynił w imię Słusznej Racji. Uważał jednak, że każdy gra kartami, jakie ma w zanadrzu, a Solo lubił ten rodzaj gry, który dawał największe wygrane.

Chewie patrzył na niego znacząco. Han westchnął —jego kumpel był dobrym oficerem,

ale miał zbyt miękkie serce. Jednak z drugiej strony, informacja o statku była cenna i czuł, że powinien jakoś się odwdziżyć. Ze zniecierpliwieniem wyszarpnął karabin z rąk przywódcy.

— Zapamiętaj sobie, że jesteście jak ścigana zwierzyna. Rozumiesz? Musicie więc myśleć jak ścigana, osaczona zwierzyna i trochę wysilić mózgowicę.

Przywódca pojmował to, więc przysunął się bliżej i stanął na palcach, by lepiej widzieć, co Han robi z karabinem.

— Tutaj są trzy przełączniki, widzisz? Zabezpieczenie, pojedynczy strzał i ciągły ogień. Siły bezpieczeństwa używają karabinów bojowych, prawda? Oburęcznych, z przyciętą lufą? Oni uwielbiają strzelać długimi seriami, bo mogą sobie pozwolić na marnowanie siły ogniowej. Was na to nie stać. Powiniście ustawić wszystkie karabiny na pojedyncze strzały. A jeżeli będziecie brali udział w nocnej potyczce lub będziecie walczyć w dżungli, wszędzie tam, gdzie widoczność jest słaba, strzelajcie w źródła ciągłego ognia. Będziecie wiedzieć, że to na pewno nie są wasi ludzie, tylko espowcy. Musicie zacząć myśleć.

Przybysz spoglądał to na Hana, to na trzymany przez niego karabin.

— Dobrze — przytaknął, odbierając karabin. — Będziemy o tym pamiętać. Dziękuję.

Han pociągnął nosem, myśląc, jak wiele jest jeszcze rzeczy, których będą się musieli nauczyć. Jeżeli sami nie posiadają tej wiedzy, Rządy zduszą ich jak robaka. Na ilu planetach dzieje się to samo? — zadał sobie pytanie.

Dobiegające z dżungli odgłosy strzałów wyrwały go z zadumy. Przywódca, trzymając wymierzony w nich karabin, podszedł do statku.

— Przykro mi — wyjaśnił. — Ale musieliśmy tutaj, na miejscu, przekonać się, czy te karabiny działają.

Opuścił broń, zeskoczył z pochylni i zniknął w ciemnościach.

— Odszczekuję wszystko, co o nich mówiłem — rzekł Han do Chewie'ego, wpatrując się w nieprzeniknioną ścianę dżungli. — Może im się uda.

Okazało się, że podczas przelotu przez przełęcz górską dalmierze „Sokoła” uległy zniszczeniu, podobnie jak talerz anteny. Cekał ich start na ślepo, co mogło stać się źródłem nie lada kłopotów.

Stojąc na kadłubie „Sokoła”, Han i Chewbacca przez blisko godzinę remontowali uszkodzoną podstawę anteny. Han nie żałował na to ani czasu, ani energii. Doprowadzenie statku do stanu pełnej gotowości było bardzo ważne, a poza tym dezserterzy mieli tym samym możliwość oddalenia się z miejsca spotkania. Zdawał sobie sprawę z tego, że start „Sokoła” zostanie zauważony, a cały teren dokładnie przeszukany.

Ale nie mogli już dłużej czekać. Wraz z nadejściem świtu cały obszar powietrzny planety zapełni się niewątpliwie rozlicznymi statkami i innymi jednostkami latającymi przeczesującymi przestrzeń w poszukiwaniu Sokoła. Chewbacca wczuwając się w nastrój Hana, zamruczał coś we własnym języku.

Han opuścił makrolornetkę.

— Masz rację. Startujemy.

Usadowili się w fotelach sterowni, przypięli pasami i przeprowadzili wstępny rozruch statku, sprawdzając silniki, działa i osłony.

— Założę się, że ten transportowiec będzie się trzymał nisko, bo wtedy czujniki mają największą moc — stwierdził Han. — Jeżeli uda się nam wznieść wyżej, odskoczmy od niego i znikniemy w nadprzestrzeni.

Chewbacca zaskowyczał. Han w odpowiedzi klepnął go porozumiewawczo w ramię.

— Co cię gnębi? Musimy przecież wydostać się z tych tarapatów.

Zdał sobie sprawę z tego, że usiłuje uspokoić siebie. Zamilkł. „Sokół” oderwał się od podłoża i przez chwilę, konieczną dla wciągnięcia podwozia, wisiał nieruchomo

w powietrzu. Następnie Han ostrożnie wyprowadził go w przestrzeń rozciągającą się powyżej dżungli.

— Przykro mi, staruszko — rzucił przepraszącą w stronę konsoly statku, zanim wykonał kolejny manewr. Zwiększył moc silników, zadarł dziób prawie pionowo w górę i szeroko otworzył przepustnice. „Sokół” zawył i uniół się, pozostawiając w dole parującą rzekę i rozpaloną dżunglę. Powierzchnia Duroona oddalała się szybko. Han pomyślał, że mają już z głowy cały problem.

I właśnie wtedy dosięgnął ich promień ściągający. Frachtowiec, trafiony potężną wiązką promieni, zadrżał. Kapitan rządowej jednostki, wiedząc, że ma do czynienia z szybszym i bardziej zwrotnym przeciwnikiem, sprytnie rozgrywał całą akcję. Przechytrzywszy przemytnika, schodził teraz w strefę silniejszego przyciągania planety i zwiększając prędkość, by móc odpowiedzieć na każdy unik, jaki wykona „Sokół” podczas swej wspinaczki w przestworza. Siła promienia ściągającego sprawiła, że obydwa statki znajdowały się prawie na tej samej wysokości.

— Włącz wszystkie osłony. Ustaw je pod odpowiednim kątem i przygotuj się do ataku. Han i Chewbacca zmagali się z przyciskami i przyrządami kontrolnymi, wszelkimi sposobami próbując umknąć przeciwnikowi. Wkrótce stało się jasne, że ich poczynania były daremne.

— Przygotuj się do zmiany kierunku deflektorów rufowych — rozkazał Han, nakładając hełm. — To będzie walka przy odsłoniętej kurtynie, Chewie.

Gdy Han raptownie zmienił kurs i skierował się prosto na nieprzyjaciela, wewnątrz sterowni wypełniło się gniewnymi pomrukami Chewie’ego. Cała energia defensywna „Sokoła” skupiła się teraz w przednich osłonach. Statek rządowych zbliżał się do nich z niesamowitą prędkością i dystans pomiędzy pojazdami topniał w oczach. Szczęściem tylko dwa z wystrzelonych pocisków dosięgły „Sokoła”, nie czyniąc w nim jednak większych spustoszeń, posłane zostały bowiem z dystansu równego granicy celności.

— Wstrzymaj ogień! Wstrzymaj ogień! — rzucił pospiesznie Han. — Wycelujemy w niego wszystkie baterie rufowe i spróbujemy się od niego oderwać.

Uchwyty urządzeń kontrolnych „Sokoła” wibrowały mu w dłoniach, gdy statek runął naprzód pełną mocą silników. Osłony deflektorowe zatrzęsyły się pod wpływem krzyżowego ognia olbrzymich blasterów wypluwających żółtozielony niszczący płomień.

„Sokół”, otoczony ze wszystkich stron strumieniami błękitnej energii, uniół się raptownie prawie pionowo w górę, jakby zdążył na spotkanie niechybnej śmierci w kolizji z przeciwnikiem. Nie podejmował prób odczepienia się od wiązki promieni ściągających, przeciwnie, zdążył prosto do ich źródła. Statek rządowy był już wyraźnie widoczny i w chwilę później zbliżyli się do niego dosłownie na kilkadziesiąt metrów.

Kapitanowi wrogiej jednostki w ostatniej chwili puściły nerwy. Wykonał desperacki unik i w tym samym momencie osłabła wiązka promieni ściągających. Han wprowadził „Sokoła” w szaleńczy przechył. Tarcze deflektorowe obu statków minęły się zaledwie o milimetry. Chewbacca już przesunął osłony rufowe. Wszystkie główne baterie „Sokoła” z bliska wypaliły w kierunku prześladowcy. Han naliczył dwa celne trafienia. Najprawdopodobniej spowodowały jedynie niewielkie zniszczenia, ale po tej długiej, niepomyślnej nocy stanowiły moralne zwycięstwo. Statek rządowy zachwiał się z lekka. Chewbacca zawył radośnie, a uradowany Han wykrzyknął: „Udało się!”

Transportowiec pikował w dół, niezdolny do zmiany kierunku lotu. W tym czasie „Sokół” jak strzała wypadł z górnych warstw atmosfery otaczającej Duroon i zagłębił się w próżni. Obserwowali, jak daleko w dole jednostka rządowa, utraciwszy wszelkie szanse doścignięcia ich, zdołała wyrównać tor lotu.

Han podał podstawowe dane do komputera nawigacyjnego, a Chewbacca pobieźnie

sprawdzał rozmiary zniszczeń. Nie doznali żadnych poważniejszych uszkodzeń, których nie dałoby się naprawić, ale „Sokół” będzie musiał być poddany dokładnemu przeglądowi. Czym jednak było to wobec faktu, że Han Solo i Chewbacca mieli wymarzone pieniądze, byli wolni i, o dziwo, wyszli z tego wszystkiego cali i zdrowi? A to — pomyślał Han — chyba wystarczy.

Pracujące pełną mocą silniki pozostawiały za sobą błękitne smugi dymu. Han włączył hipernapęd. Gdy „Tysiącletni Sokół” przechodził przez granicę światła, gwiazdy zdawały się rozpryskiwać we wszystkich kierunkach. Silniki zawyły i statek zniknął, jakby go nigdy tam nie było.

ROZDZIAŁ II

Oczywiście wiedzieli, że od momentu, kiedy umieścili w doku swój ostrzelany frachtowiec, każdy ich krok będzie dokładnie obserwowany.

Etti IV była planetą dostępną dla wolnego handlu, planetą, na której suche wiatry wciąż przeczesywały bursztynowe, porośłe mchem, płytkie słone morze, otulone cynobrowym niebem. Chociaż niezbyt zasobna w bogactwa naturalne, okazywała się jednak zawsze gościnna dla ludzi i istot człekopodobnych, a strategiczne położenie na skrzyżowaniu gwiazdnych szlaków decydowało o jej znaczeniu.

Dostojnicy Wspólnego Sektora zgromadzili tutaj niezliczone bogactwa, a w konsekwencji planeta wkrótce zapełniła się różnymi typami spod ciemnych gwiazd. Han i Chewbacca znajdowali się właśnie na ulicy wybrukowanej ciasno poukładanymi ziemnymi płytami. Mijali niskie budynki wzniesione ze spojonych pod ciśnieniem minerałów i wysokie budowle skonstruowane z gotowych prefabrykatów. Przeszli obok portu kosmicznego i pewnym krokiem zdążali ku Rządowej Kasie Wymiany Walut. Wookie pchał przed sobą wynajęty transporter repulsorowy wypełniony niewielkimi opancerzonymi kasetkami. Mieli nadzieję, że zostaną zauważeni, tego rodzaju bagaże bowiem z reguły przyciągały uwagę kryminalistów.

Han i Chewbacca byli jednak świadomi tego, że każdy obserwator musi położyć na szali ryzyko i możliwy zysk. Strój Hana, jego pewny chód, a także ogromna sylwetka uzbrojonego w kuszę i gotowego do odpowiedzenia na każdy atak zmiażdżeniem przeciwnika Chewie’ego mówiły, że ryzyko jest duże.

Przyjaciele szli więc spokojnie i pewnie, wiedząc, że każdy mający trochę zdrowego rozsądku i instynktu samozachowawczego bandyta będzie trzymał się od nich z daleka. W Rządowej Kasie Wymiany nikt nie miał pojęcia, że przeprowadzana transakcja dotyczyła handlu bronią, a jej celem było przygotowanie do zbrojnego powstania. Han i Chewbacca wyładowali już większość klejnotów, którymi opłacono ich usługi, po czym wymienili je na cenne metale i bryły rzadkich kryształów. We Wspólnym Sektorze obejmującym swym zasięgiem dziesiątki tysięcy systemów gwiazdnych niemożliwe było zarejestrowanie wszystkich wpłat i wypłat pieniężnych. Tak więc Han Solo, kapitan frachtowca, szmugler i notoryczny gwałciciel prawa w jednej osobie, bez przeszkód wymienił swoją część honorarium na sympatyczny, „czysty” rządowy czek kasowy, wprowadzony automatycznie przez robota do punktu wymiany walut. Han wetknął niewielką plastikową kartę do kieszeni kamizelki.

Gdy tylko wyszli z punktu wymiany, Chewbacca zawył w charakterystyczny dla siebie, nieco przenikliwy sposób.

— W porządku, zaraz zapłacimy Ploovo Dwa-Na-Jeden, ale najpierw musimy jeszcze gdzieś zajrzeć — odparł Han.

Jego kudłaty towarzysz groźnie warczał, odstraszał przechodniów, ale zarazem niebezpiecznie zwracał na siebie uwagę. Nagle spośród tłumu ludzi, androidów i obcych istot wypełniających ulicę wynurzył się patrol sił bezpieczeństwa.

— Hej, uspokój się, do diabła! — wymamrotał pod nosem Han.

Członkowie patrolu, odziani w brązowe mundury, z gotową do strzału bronią powoli kroczyli środkiem ulicy, obojętnie lustrując spod bojowych czarnych hełmów schodzących im z drogi przechodniów. Han zobaczył, że dwie przyłbice uchyliły się lekko i zrozumiał, że zachowanie Chewie'ego nie umknęło ich uwadze. Nie zrobił jednak na żołdakach zbyt wielkiego wrażenia, bowiem po chwili espowcy odmaszerowali swą drogą.

Han odprowadził ich wzrokiem i z niezadowolaniem potrząsnął głową. Galaktyka roiła się od gliniarzy, z których jedni byli dobrzy, inni źli. Jednakże tajne rządowe siły bezpieczeństwa, popularnie określane mianem Espo, zaliczały się do najgorszych. Ich działalność nie miała nic wspólnego z prawem czy sprawiedliwością, opierała się jedynie na edyktach Rządów Wspólnego Sektora. Han nigdy nie mógł pojąć, jakie przesłanki kierowały młodymi ludźmi wstępującymi do Espo, ale robił co mógł, aby nie wchodzić im w drogę.

Przypomniawszy sobie o Chewbacce, podjął przerwana rozmowę.

— Jak mówiłem, zapłacimy Ploovo. Tamta sprawa zajmie nam najwyżej minutę. Zgodnie z planem spotkamy się z nim zaraz potem, obgadamy, co mamy do obgadania, i będziemy wolni.

Ułagodzony Chewbacca roześmiał się niezobowiązująco i podążył za swym partnerem. Aby zaspokoić pragnienia najzamożniejszych mieszkańców planety obnoszących się ze swym bogactwem, na terenie portu kosmicznego otwarto kilka sklepów trudniących się sprzedażą egzotycznych zwierząt Imperium. Według powszechnego mniemania „Sabodor” był z nich najlepszy. I właśnie tam Han skierował swe kroki. Chociaż sklep wyposażono w kosztowne urządzenia dźwiękoszczelne, zewsząd dobiegały odgłosy i zapachy różnych, często dziwnych stworzeń zgromadzonych tu pod nieco mylącym szyldem „Ulubieńcy domowi”. Spośród eksponatów znajdujących się na wystawie przyciągały wzrok prawdziwe unikaty, takie jak pająkowate nocne szybowce z Altami, opalizująco upierzone śpiewające węże z pustyni planety Proxima Dibal, a także niewielkie, baryłkowate, śmieszne torbacze z Kimananu, bardziej znane pod nazwą „futranych kul”. Klatki i kufry, akwaria i bańki próżniowe roiły się od błyszczących ślepiów, ruchliwych macek i szczękających kleszczy.

Powitał ich sam właściciel — Sabodor, naturalizowany obywatel pochodzący z Rakrury. Jego niskie, wielocłonowe, rurowate ciało opierało się na pięciu giętkich kończynach, a ruchliwe czułki oczne poruszały się nieustannie. Ujrawszy wchodzących do sklepu klientów, Sabodor uniósł się, opierając się na dwóch najniższych kończynach i dokładnie, ze wszystkich stron przyjrzał się Hanowi, przewiercając go oczyma znajdującymi się na wysokości piersi przybysza.

— Bardzo mi przykro — głos Sabodora dobywał się z organu mowy umiejscowionego w samym środku centralnego segmentu stwora. — Nie prowadzimy handlu Wookie. Są zbyt wrażliwi i nie wolno ich używać w charakterze zwierząt domowych. To nielegalne. Nic mi po nim.

Chewbacca przerwał ten monolog dzikim, mrozącym krew w żyłach rykiem, obnażył ogromne zębiska i tupnął owłosioną nogą wielkości sporego talerza. Gabloty wystawowe i pojemniki zadrżały. Sabodor przeraźliwie piszcząc skrył się za plecami Hana i zasłonił kończynami czułki słuchowe. Pilot usiłował uspokoić Wookie'ego, a wewnątrz sklepu w jednej chwili wypełniło się świergotem, pokrzykiwaniami i piskiem przerażonych istot, usiłujących schronić się przed tym nowym, nie znanym niebezpieczeństwem.

— Chewie, uspokój się! On nie miał tego na myśli — łagodził Han, jednocześnie osłaniając właściciela sklepu przed rozwścieczonym Chewbacca.

Drżące oczy na słupkach należące do Sabodora wychylały się to z jednej to z drugiej strony kolan Hana.

— Powiedz Wookie'emu, że nie chciałem go urazić. Zaszło po prostu małe nieporozumienie. Zupełnie nie zamierzone.

Chewbacca uspokajał się. Han, mając wciąż przed oczami napotkany patrol, był mu za to wdzięczny.

— Chcieliśmy coś kupić — rzekł do Sabodora, który wreszcie odważył się wypełznąć z ukrycia. — Słyszysz mnie? Kupić!

— Kupić? Ach tak! Proszę, niech pan wejdzie i się rozejrzy. Dostanie pan tutaj wszelkie możliwe zwierzęta domowe, największy wybór w całym sektorze. Mamy...

Han uciszył go machnięciem ręki. Przyjacielskim gestem położył dłoń w miejscu, gdzie podenerwowany sklepikarz powinien mieć ramię.

— Panie Sabodor. Dajmy sobie spokój z tym ceremoniałem. Chciałbym kupić dinko. Czy dostanę go u pana?

— Dinko? — wąskie wargi i rozliczne macki Sabodora wyrażały niesmak. — Ale w jakim celu? Dinko? Przecież to takie wstrętne!

Han skrzywił się w fałszywym uśmiechu. Sięgnął do kieszeni i wyjął z niej garść pobrzękujących monet.

— Znajdziesz go dla mnie?

— W porządku, w porządku! Niech pan chwilę zaczeka! Sabodor chwiejnym krokiem podążył w kierunku bocznych drzwi. Zanim Han i Chewbacca zdążyli się rozejrzeć, właściciel sklepu był znowu w nimi. Dwoma górnymi mackami podtrzymywał przezroczystą szklaną skrzynkę, w której znajdował się dinko.

Niewiele istot cieszyło się sławą równą tej, która była udziałem dinko, stworzenia o niemalże psychopatycznym usposobieniu. Pozostało zagadką dla zoologów, jakim cudem przy swojej agresywności dinko mogły ścierpieć się nawzajem na tyle długo, by zdążyć się rozmnożyć. Niewielkie stworzenie, które mogłoby się zmieścić w ludzkiej dłoni — gdyby jakkolwiek człowiek odważył się wziąć je do ręki — patrzyło na nich groźnie. Jego silne tylne nogi poruszały się nieustannie, a bliźniacze kończyny chwytne wyrastające z klatki piersiowej najwyraźniej poszukiwały jakiegoś obiektu ataku. Język stwora to wysuwał się, to chował, ukazując błyszczące, złowrogie kły.

— Czy został pozbawiony organów zapachowych? — zapytał Han.

— Och, nie! Odkąd go tu przywieziono, jest w okresie rui. Ale usunięto mu gruczoły jadowe.

Chewbacca wyszczerzył zęby w uśmiechu i zmarszczył nos.

— Ile? — zapytał Han.

Sabodor wymienił astronomiczną sumę. Han przeliczył plik banknotów.

— Mogę dać dokładnie połowę. Zgoda?

Rozłatane oczy na szypułkach napełniły się łzami. Widząc to, Wookiee pochylił się nad Sabodorem i ponownie zmusił go do szukania schronienia za kolanami Hana.

— Przyznaj, Sabodor — wesoło powiedział Han — że ubijasz dobry interes.

— Dobrze, wygrałeś — zawył właściciel sklepu, podając im skrzynkę.

Rozwścieczony dinko rzucał się bezsilnie między ściankami swego więzienia, wydzielając przy tym ogromne ilości śliny.

— Jeszcze jedno — dodał pogodnie Han — chciałbym, żebyś zaaplikował mu niewielką dawkę środka uspokajającego, bo przez chwilę będę musiał go nieść. A poza tym przelóż go do innej skrzynki, może czegoś bardziej podłużnego.

Tak naprawdę były to dwa żądania, ale zrezygnowany Sabodor zgodziłby się na wszystko, byle jak najprędzej pozbyć się ze sklepu Wookie'ego, człowieka i dinko.

Ploovo Dwa-Na-Jeden, prawdziwy rekin wśród lichwiarzy, a poprzednio rabuś, awanturnik i uciekinier z Cron Drift, niecierpliwie czekał, aż Han Solo spłaci swój okazały dług.

Był podniecony tą perspektywą nie tylko dlatego, że z pożyczonej sumy miał uzyskać znaczny profit dla siebie i swoich popieczników, ale również dlatego, że z całej duszy nienawidził Hana, a właśnie rysowała się przed nim interesująca perspektywa zemsty.

W przesłanej wiadomości obiecującej spłatę długu Han zaproponował spotkanie na Etti IV, w najelegantszym bistro portu kosmicznego. Ploovo Dwa-Na-Jeden przystał na to bez oporów, gdyż, jeżeli tylko było to możliwe, starał się zawsze łączyć interesy z przyjemnościami. Klub taneczny „Swobodny Lot” należał bądź co bądź do najlepszych. Sam Ploovo nie należał do zbyt interesujących mężczyzn — był zwalisty, a jego złą twarz co chwila wykrzywiały nerwowy tik — jednak jego dochody sprawiały, że zajmował dość wysoką pozycję społeczną.

Siedział właśnie wygodnie rozparty przy jednym z narożnych stolików w towarzystwie trzech ochroniarzy, których ze sobą przywiózł. Dwaj byli ludźmi — typami spod ciemnej gwiazdy, naszpikowanymi różnymi rodzajami dobrze ukrytej broni. Trzecim okazał się dwunożny, długonosy, pokryty łuską stwór, pochodzący z Davnar II. Doskonale dawał sobie radę z egzekwowaniem zaległych płatności.

Ploovo, hojnie szastając pieniędzmi, by zapewnić sobie dobrą opiekę kelnerek, z lubością mierzwił czarne tłuste włosy. Czas oczekiwania skracał sobie rozmyślaniami o planowanej zemście na Hanie Solo. Nie obawiał się tego, że pilot mu nie zapłaci. Ten niezwykle zdolny specjalista od udzielania pożyczek umiał wyciągnąć od ludzi pieniądze. Ale Solo irytował go już od dłuższego czasu. Zawsze znajdował jakiś pretekst do przesunięcia terminu płatności, co jednocześnie rozniewiało i zdumiewało lichwiarza. Parokrotnie Han ośmieszył go w oczach jego ochroniarzy, a ci nie należeli do istot posiadających szczególnie poczucie humoru. Niepisana zasada wzajemnej lojalności istot zajmujących się podejrzanymi interesami powstrzymywała Ploovo przed oddaniem kapitana „Tysiącletniego Sokoła” w ręce prawa; ale tutejsze warunki mogą równie dobrze sprzyjać zemście.

Prowadząc za sobą Chewbaccę i dzierżąc w dłoni metalową skrzynkę, Han wszedł do klubu tanecznego „Swobodny Lot” i z uznaniem rozejrzał się po pomieszczeniu.

Jak na prawie każdej cywilizowanej planecie, również tutaj przewijała się prawdziwa mieszanina znanych i obcych istot. Mimo obycia i znajomości prawie całej galaktyki Han nie był w stanie określić mniej więcej połowy z nich. Nie dziwiło to go specjalnie. W skład galaktyki wchodziła tak ogromna liczba przeróżnych gwiazd, że niemożliwe było dokładne skatalogowanie wszystkich zamieszkujących je gatunków. Han tyle razy znajdował się w podobnych miejscach wypełnionych szalonym konglomeratem obcych kształtów, dźwięków i zapachów, że bez trudu dostrzegł dziesiątki różnych aparatów tlenowych podtrzymujących życie, stosowanych przez istoty pochodzące z planet, których biologiczna atmosfera całkowicie różniła się od przyjaznej ludziom.

Sz szczególnie rzuciły mu się w oczy kobiety i osobniczki innych gatunków odziane w błyszczące jedwabie, powłoki chromatyczne i iluminacyjne. Podeszła do niego jedna z nich, jeszcze przed chwilą zajęta przegrywaniem pieniędzy w rozlicznych grach, takich jak rozumny Jaś, zmysłowa szpicrutka czy wyścigi refleksu. Była to młoda, smukła dziewczyna o dość ciemnej cerze i platynowosrebrnych włosach, odziana w szatę, która wyglądała jak utkana z mgły.

— Witamy w naszym gronie, kosmonauto — roześmiała się, obejmując go ramieniem.

— Może się trochę przejdziemy po klubie?

Czując na sobie karcący wzrok Chewie'ego, który pamiętał, że kilka mniej bohaterskich przygód Hana zaczęło się właśnie w ten sposób, Solo zdjął z ramienia dłoń dziewczyny. — Oczywiście — odparł z entuzjazmem — zatańczymy, popieścimy się, zabawimy — tu lekko odepchnął ją od siebie — ale nieco później!

Uśmiechnęła się do niego zawodowym uśmiechem pozwalającym odczuć, że z jej strony był to tylko czysty interes, i skierowała się w stronę innego, wchodzącego właśnie do lokalu gościa.

Klub taneczny „Swobodny Lot” był lokalem pierwszej kategorii. Wyposażono go w najnowsze urządzenie umożliwiające zmianę pola grawitacyjnego. Odpowiednia konsola widniała w tle rozlicznych butelek, dozowników alkoholowych i kurków oraz innych elementów wyposażenia baru. Urządzenie to umożliwiało swobodne manewrowanie siłą przyciągania w całym lokalu, a zwłaszcza na parkiecie, dzięki czemu pojedynczy tancerze, pary i grupy z gracją wykonywały prawdziwie cyrkowe, akrobatyczne figury, skoki i salta. Han zauważył, że również przy niektórych stolikach i łóżach zajmowanych przez mieszkańców planet o niewielkiej sile grawitacji sztucznie zmniejszono przyciąganie, dzięki czemu goście mogli się czuć jak u siebie w domu.

Han i Chewbacca, wsłuchując się w gwar różnojęzycznych rozmów i brzęk kieliszków, wyszli z mrocznego miejsca, w którym się zatrzymali. Uderzyła ich cała gama woni — mieszanina dymu, potu, zapachów rozpylanych i przeznaczonych do inhalacji — wypełniająca wnętrze lokalu mimo sprawnie działającego systemu wentylacyjnego.

Han od razu zauważył Ploovo Dwa-Na-Jeden, zajmującego stojący stolik w kącie, żeby z łatwością mógł dostrzec swego dłużnika. Wraz z nieodłącznym Chewbacca wolnym krokiem zbliżyli się do lichwiarza. Na ich widok Ploovo przywołał na usta wymuszony, niezbyt przekonujący uśmiech.

— Witam, Solo, stary koleżko! Podejdz i usiądź.

— Dajmy sobie spokój z tymi gównianymi grzecznościami, Dwa-Na-Jeden — rzucił Han, zajmując miejsce obok lichwiarza.

Chewbacca oparł kuszę na ramieniu i usiadł po przeciwnej stronie stolika, tak aby każdy z nich mógł obserwować, co dzieje się za plecami przyjaciela. Han postawił na podłodze przyniesioną ze sobą skrzynkę, na którą Ploovo chciwie popatrywał.

— Zresztą błaznuj sobie — mruknął.

— Do rzeczy, Solo — rzekł Ploovo, gotów przełknąć każdą obrazę, byle jak najprędzej dostać swoje pieniądze. — Nie powinieneś w ten sposób zwracać się do swojego dobroczyńcy.

Jego informatorzy donieśli mu już, że ci dwaj włóczędzy dokonali wymiany znacznej ilości precjozów na gotówkę. Sięgnął dłonią do skrzynki, ale Han go uprzedził. Popatrzył na lichwiarza wyzywająco i zmarszczył brwi.

— Twoja zapłata jest w środku. Razem z odsetkami. Teraz nasze rachunki są wyrównane, Ploovo.

Ploovo przyjął tę wiadomość z niezwykłym spokojem. Nieznacznie skinął głową, co sprawiło, że zadrżało także jego podgardle. Zdziwiło to nieco Hana i już miał zapytać o przyczyny tak dziwnego zachowania wierzyciela, gdy Chewbacca zawarczał ostrzegawczo. Do lokalu wszedł cały oddział sił bezpieczeństwa. Kilku espowców pozostało na straży przy wejściu, a reszta zaczęła obchodzić pomieszczenie.

Han odpiął rzemień przytrzymujący pochwę blastera. Słyszając ten charakterystyczny szcęk, Ploovo zwrócił twarz w jego kierunku.

— Hm, Solo, przysięgam, że to nie moja robota. Jak to niedawno powiedziałeś, nasze rachunki zostały wyrównane. Nawet ja nie ośmieliłbym się zwrócić do konfidentów i ryzykować życie. — Położył chciwą, tłustą dłoń na skrzynce. — Wydaje mi się, że ci

dżentelmeni w brązowych mundurach poszukują mężczyzny odpowiadającego twemu rysopisowi. Ponieważ nie jestem już osobiście zainteresowany twoim bezpieczeństwem, proponuję, żebyś wraz ze swym włochatym towarzyszem natychmiast sobie stąd poszedł.

Han nie tracił czasu na zastanawianie się, w jaki sposób rządowym udało się wpaść na jego ślad, mimo że zdobył nowe numery rejestracyjne dla „Sokoła” i nowe dokumenty tożsamości dla siebie i Chewie’ego. Przysunął się do Ploovo, trzymając prawą dłoń na blasterze.

— A dlaczegoż to nie możemy chwilę razem posiedzieć, przyjacielu? I tak długo, jak tutaj będziemy — tu zwrócił się do pacholków lichwiarza — pozwalam, żebyście wszyscy trzymali ręce na stole, a my z Chewie’em sobie na nie popatrzymy. No już!

Na górnej wardze Ploovo ukazały się kropelki potu. Zdawał sobie sprawę z tego, że jeden nieostrożny ruch któregośkolwiek ochroniarza i zginie jako pierwszy. Nakazał swoim ludziom wypełnić polecenie Hana. Goryle posłuchali.

Uspokój się, Solo — błagał Ploovo, chociaż Han był całkiem spokojny, to jemu twarz zbieleła jak kreda. — Nie pozwól na to, by zwyciężył twój słynny temperament. Ty i ten Wookie czasami zachowujecie się bardzo nierozsądnie. Przypomnij sobie chociażby, jak kiedyś Big Bunji był na tyle nieostrożny, że zapomniał wam zapłacić, a wy zbombardowaliście jego kopułę ciśnieniową. On i jego służba ledwie zdołali włożyć kombinezony ochronne. Takie incydenty powodują złą reputację, Solo! — Ploovo trząsał się ze zdenerwowania i prawie zapomniał o swoich pieniądzach.

Espowcy krążyli po całej sali. Dwóch oficerów i sierżant zatrzymali się przy stoliku. Ich obecność nie mogła już mniej uciechy lichwiarza.

— Wszyscy przy tym stole, proszę okazać dowody tożsamości.

Chewbacca zrobił minę niewiniątka i zwrócił swe duże, niebieskie oczy na patrol. Wraz z Hanem podali fałszywe karty identyfikacyjne. Ręka Hana wciąż oscylowała w pobliżu kabury, chociaż strzelanina w sytuacji, gdy wejście było starannie strzeżone przez mundurowych dawała niewielkie szanse przeżycia.

Sierżant Espo nie zwrócił najmniejszej uwagi na dowody tożsamości Ploovo i jego towarzyszy.

— Te są w porządku. Czy to ty jesteś właścicielem frachtowca, który dzisiaj wylądował na tej planecie? — spytał, wskazując Hana.

Solo doszedł do wniosku, że wszelkie wykręty nie mają sensu. Jeżeli na dodatek rządowi skojarzyli jego osobę z nielegalnym lądowaniem na Duroonie, mógł się uważać za martwego. Popatrzył na nich jednak z lekkim rozbawieniem, jakby zdumiewało go to pytanie.

— „Słonecznego Wojownika”? Tak, oficerze, czy coś się stało? — Patrzył na nich wzrokiem niewinnego dziecka.

— Otrzymaliśmy twój rysopis od kontrolera lądowisk — odpowiedział sierżant. — Twój statek został skonfiskowany. — Cisnął kartą identyfikacyjną o stół. — Nie zastosowałeś się do zaleceń rządowych związanych z kwestią bezpieczeństwa.

Han zmienił taktykę.

— Mój statek posiada wszelkie potrzebne zaświadczenia — sprzeciwił się, myśląc o tym, że w końcu sam je fałszował.

Espowiec lekceważąco machnął ręką.

— Są przestarzałe. Statek nie odpowiada współczesnym normom. Władze dokładnie określiły dopuszczalne kształty i normy, a z tego, co słyszałem, chłopaczk, twój frachtowiec nie odpowiada im nawet w przybliżeniu, więc został skreślony z listy pojazdów dopuszczonych do ruchu. Już podczas oględzin z zewnątrz stwierdzono, że

wskaźniki uniesienia, masy i uzbrojenia są niezgodne z niemilitarnym charakterem jednostki. Poza tym jest wyposażony w dodatkowe, niestandardowe podwozie, tarcze deflektorowe, potężne kompensatory przyspieszenia oraz system dalekiego reagowania. To prawdziwy statek bojowy.

Han skromnie założył ręce. W sytuacji, w jakiej się znalazł, nie miał ochoty na okazywanie dumy i radości z powodu posiadania tak wspaniałej jednostki.

Sierżant kontynuował przerwana myśl:

— Widzisz, kiedy przybywasz tutaj z takim osprzętem i tak małym ładunkiem handlowym, Rządy Wspólnego Sektora zaczynają uważać, że możesz mieć fantazję wykorzystać tę wizytę do jakiegoś nielegalnego przedsięwzięcia. Jednostkę trzeba będzie poddać rekonstrukcji, zgodnie z obowiązującymi normami. Musisz stanąć przed sądem i podpisać umowę w tej sprawie.

Han zaśmiał się z ulgą.

— Zgadzam się, że ma kilka odchyłeń.

Zdawał sobie sprawę, iż mieli ogromne szczęście, że espowcom nie udało się sforsować zamków i dostać do wnętrza „Sokoła”. Gdyby ujrzeli wyposażenie antycyjnukowe, aparaturę zagłuszającą i obronną, tudzież monitor szerokopasmowy, zostałyby niewątpliwie zatrzymani. A co gdyby znaleźli skrzynki na kontrabandę?

— Jak tylko pozabawiam wszystkie sprawy w mieście, wpadnę do biura naczelnika portu — obiecał.

Dopiero teraz zrozumiał przyczynę zadowolenia Ploovo Dwa-Na-Jeden. Stary spryciarz nie musiał łamać niepisanych praw ani ryzykować własnej wpadki, żeby zaszkodzić Hanowi i Chewbacce, bo wiedział o tym, że „Sokół” — obojętnie pod jaką nazwą latał obecnie — w żadnej mierze nie odpowiada rządowym normom.

— Nie — odrzekł sierżant. — Otrzymałem wyraźny rozkaz doprowadzenia cię tam natychmiast, jak tylko cię znajdę. Naczelnik portu pragnie tę sprawę wyjaśnić od razu. Espowcy nagle stali się bardziej czujni.

Han uśmiechnął się ze smutkiem i współczuciem. Rzucił kilka pełnych zrozumienia komunałów. Jednocześnie trzeźwo rozważał sytuację, w której się znaleźli. Niewątpliwie władze portu zażądają okazania wszystkich dokumentów statku, dziennika okrętowego, listów uwierzytelniających dla kapitana jednostki handlowej. Jeżeli znajdą jakiegokolwiek rozbieżności w zapisach, przeprowadzą dokładną kontrolę identyfikacyjną i badanie odcisków palców oraz wszelkie inne rutynowe badania. W końcu ustalą prawdziwe personalia Hana i Chewie’ego, i to będzie dopiero początek prawdziwych kłopotów.

Nigdy nie należy robić ani kroku bliżej w stronę więzienia niż to konieczne — to był aksjomat, na którym opierała się filozofia Hana Solo. Ale siedząc tutaj, nie mógł stawić praktycznie żadnego skutecznego oporu. Zerknął na Chewbaccę, zabawiającego się wyszczerzaniem zębów w przeraźliwym uśmiechu do stojącego obok funkcjonariusza bezpieczeństwa. Wookie zrozumiał jego wzrok i w odpowiedzi prawie niedostrzegalnie skinął głową.

Han wstał.

— Dobrze, załatwmy to od razu sierżancie, żebyśmy prędko mogli ruszyć w dalszą drogę.

Chewie powoli wychodził zza stolika, uważnie przypatrując się Hanowi, który pochylił się ku Ploovo.

— Dziękuję za miłe spotkanie, przyjacielu. Obiecuję ci, że wrócimy tu tak prędko, jak to będzie możliwe. Aha, żebym nie zapomniał. Tutaj jest twoja zapłata. — Otworzył z jednej strony skrzynkę i cofnął się o krok.

Ploovo włożył do środka rękę, spodziewając się wyciągnąć garść brzęczących,

błyszczących monet. Zamiast tego ostre, niewielkie kły wbiły mu się w kciuk. Ploovo donośnie wrzasnął widząc, jak rozwścieczony dinko wyskakuje ze skrzynki i rzuca się z wyszczerzonymi zębami do jego brzucha. Do grzbietu dinko przymocowany był rządowy czek gotówkowy, rozsądna forma spłacenia z nawiązką wszelkich długów — finansowych i osobistych.

Uwaga espowców skupiła się na stoliku, przy którym wył szef przestępczego świata. Jeden z ochroniarzy Ploovo usiłował oderwać rozwścieczone zwierzę od piersi pracodawcy, podczas gdy inni w milczeniu przypatrywali się zajściu. Dinko mocno opierając się na tylnych sprężystych nogach, trzymał Ploovo w silnym uchwycie, a w pewnej chwili spryskał wszystkich stojących wkoło gapiów cuchnącą wydzieliną swych gruczołów. Niewiele jest w naturze rzeczy równie obrzydliwych jak wydzieliną dinko. Ochroniarze, kaszląc i krztusząc się, odskoczyli od stolika. O swoim szefie na śmierć zapomnieli.

Espowcy usiłowali zrozumieć, co się dzieje i dlaczego tamci tak prędko uciekają, zostawiając Ploovo na łasce żarłocznej, małej bestii. Dinko próbował teraz dobierać się do nosa Ploovo, do złudzenia przypominającego widocznie jednego z wielu jego naturalnych wrogów.

— Auu! — wrzeszczał Ploovo, szamocząc się z rozjuszonym zwierzęciem. — Weźcie go ode mnie!

— Chewie! — Rozległ się donośny krzyk Hana.

Pilot dzielił pięścią stojącego najbliżej funkcjonariusza, nie chcąc wszczynać strzelaniny w tak małym pomieszczeniu. Zaskoczony strażnik bezpieczeństwa upadł na podłogę, rozgniatając przy okazji kilka szklanek i kieliszków. Chewie schwycił dwóch następnych, uniósł ich i tłukł hełmem o hełm. W chwilę później zostawił swe ofiary i podążył za Hanem w kierunku wyjścia.

Espowcy pilnujący drzwi byli potężnie zbudowani i uzbrojeni w blastery naramienne, ale wskutek ogromnego zamieszania nie mogli się zorientować, co się dzieje. Tancerze skupieni na parkiecie antygravitacyjnym zaczęli z niego zeskakiwać niczym ludzkie istoty, których uwagę rozpraszają substancje toksyczne, środki pobudzające czy choćby nawet placebo. Wkrótce całe pomieszczenie wypełniło się gwarem różnorodnych okrzyków i zapytań.

Ploovo Dwa-Na-Jeden, uwolniwszy się w końcu od dinko, cisnął nim w drugi kąt sali. Zwierzę wylądowało na talerzu bogatej wdowy, pozbawiając ją i całe towarzystwo przy stoliku apetytu.

Ploovo, rozcierając zraniony nos, ujrzał Hana w chwili, gdy ten usiłował przeskoczyć szynkwias.

— Tam jest! — wrzasnął lichwiarz.

Dwaj barmani rzucili się, aby zatrzymać Hana, chwycili za schowane za ladą pałki, których używali do przywracania porządku. Han zaatakował jednego pięściami, wytrącił mu z rąk broń, uderzył go kolanem w brzuch i odepchnął w kierunku szykującego się do ataku drugiego barmana. Przeskakujący właśnie przez szynkwias Chewbacca z radosnym, mrożącym krew w żyłach okrzykiem wylądował na plecach obalonych napastników.

Wystrzał blastera oddany przez jednego ze stojących przy drzwiach espowców zniszczył przezroczystą, kryształową czaszę wypełnioną czterystuletnim nowańskim grogiem. Tłum wpadł w panikę i prawie wszyscy rzucili się na podłogę. Dwa kolejne wystrzały spowodowały lekkie uszkodzenie baru i całkowite zniszczenie kasy.

Hanowi udało się ominąć Chewbaccę szamoczącego się z dwoma barmanami. Sięgnął po swój blaster i rzucił się na espowców, strzelając na oślep w ich kierunku. Jeden upadł z dymiącym przedramieniem, a inni rozpierzchli się w poszukiwaniu schronienia. Z tyłu dobiegały do Hana głosy Ploovo i jego ludzi, którzy usiłowali się przedrzeć przez

krzyczący, kłębiący się tłum. Solo pospieszył w kierunku baru.

Był już u celu, tuż przy aparaturze grawitacyjnej. Nie zastanawiając się ani chwili nad przeznaczeniem poszczególnych dźwigni, w pośpiechu przesunął je na pozycję „maksimum”. Szczęściem dla tych, którzy znajdowali się nieco dalej od szynkwasu, dostrzegł regulator głównego pola i przesunął go dopiero wówczas, gdy w powietrzu nie było już żadnych tancerzy. Dzięki temu nikt nie został zmiążdżony.

Han ustawił przełącznik ciężenia w pozycji trzy i pół jednostki standardowej. Wszystkie, znajdujące się na sali istoty przywarły do ziemi, przygwożdżone ogromnym nagle ciężarem własnych ciał. Funkcjonariusze również nie byli zdolni wykonać ruchu. Han pomyślał, że rozplaszczony na podłodze Ploovo wygląda jak gigantyczny, wyrzucony na brzeg morza pikling.

W całym lokalu panowała cisza, jeżeli nie liczyć przyspieszonych oddechów i postękiwań tych, którzy przy upadku doznali drobnych obrażeń. Wydawało się jednak, że nikt nie odniósł poważniejszych ran. Han odłożył dymiący blaster i w skupieniu spoglądał na dźwignie sterujące polem grawitacyjnym, myśląc jednocześnie, że on i Chewie potrzebują wąskiego przesmyku, którym mogliby się stąd wydostać. Przygryzał z niezdecydowania wargi, niepewnie bębniąc palcami w konsolę.

Chewbacca z pełnym zniecierpliwieniem gwizdnięciem uniósł Hana za ramiona i odsunął go od pulpitu. Pochylił się nad nim i precyzyjnie poruszając potężnymi palcami spoglądał to na drzwi, to na miejsce, w którym się znajdowali. Dwóch czy trzech ludzi leżących wzdłuż przesmyku o mniejszej grawitacji poruszyło się z lekka. Cała reszta, łącznie z Ploovo i espowcami była przygwożdżona do podłoża.

Chewbacca ostrożnie wysunął się zza konsoli, pokrzykując coś niezrozumiale do Hana.

— No dobrze, ale musisz przyznać, że to ja na to wpadłem — odrzekł pilot, podążając za przyjacielem. Gdy wyszli już ze „Swobodnego Lotu”, dyskretnie przymknął i otrzepał ubranie, a Chewie przecesał palcami rozwichrzone futro.

— Chewie, kiepsko ci szło z tymi dwoma — rzucił Han. — Czyżbyś tracił szybkość, staruszk?

W odpowiedzi Chewbacca zamruczał coś gniewnie — wiek był stałym tematem ich dowcipów.

Widząc sporą grupę zdążających do klubu gości, Han powstrzymał ich gestem.

— Klub został oficjalnie zamknięty — obwieścił autorytatywnie — w celu poddania go dezynfekcji. Gorączka Fronka.

Przybysze przerażeni brzmieniem tego słowa nie usiłowali podawać w wątpliwość ostrzeżenia. Oddalili się natychmiast. Nieco zmęczeni całym epizodem przyjaciele złapali pierwszą napotkaną taksówkę powietrzną i popędzili w kierunku swego statku.

— Coraz trudniej prowadzić niezależny interes — rzucił ponuro Han.

ROZDZIAŁ III

W parę minut później powietrzna taksówka dowiozła Hana i Chewbaccę w pobliże lądowiska numer czterdzieści pięć, w którym oczekiwał na nich „Sokół”. Zdecydowali, że rozsądniej będzie najpierw się rozejrzeć, czy przypadkiem przedstawiciele prawa i porządku nie przybyli tam przed nimi. Wyglądając ostrożnie zza rogu, ujrzeli zastępcę naczelnika portu zakładającego plomby na drzwiach hangaru.

Han pospiesznie wciągnął Chewbaccę do kryjówek.

— Nie ma co czekać, aż teren się oczyści, Chewie. W każdej chwili mogą odkryć, co się

stało w klubie. Poza tym widzisz przecież, że ten facet zamierza zamknąć opancerzone wrota, a espowcy niewątpliwie by się zainteresowali, dlaczego je wysadzamy.

Ponownie wystawił głowę zza rogu. Zastępca naczelnika już prawie zakończył łączenie przewodów czujników alarmowych i uzwojeń. Niewątpliwie drugie wejście do hangaru zostało zabezpieczone w identyczny sposób. Han rozejrzał się bacznie i spostrzegł, że z tyłu znajduje się rządowy punkt sprzedaży alkoholu i narkotyków.

— Coś wpadło mi do głowy...

W chwilę później zastępca naczelnika umocował masywne połówki zamka i ostatecznie zabezpieczył drzwi. Zamknęły się powoli, wydając przy tym charakterystyczny, metaliczny dźwięk. Wyciągnął z zamka molekularnie zakodowany klucz i system zabezpieczający włączył się automatycznie. Od tej chwili każda próba uszkodzenia czy zniszczenia drzwi hangaru została by natychmiast odnotowana na monitorach Espo.

Mężczyzna włożył klucz do niewielkiej, umocowanej u pasa szaszki i sposobił się do zameldowania o wykonaniu zadania. Właśnie wtedy zza rogu wytoczył się ogromny, sprawiający wrażenie zupełnie pijanego Wookie z dziesięcioletrowym pojemnikiem z niezbyt apetycznie pachnącym piwem w zębach. Gdy Wookie zrównał się z zastępcą naczelnika portu, nadchodzący z przeciwka mężczyzna potknął się i z całym impetem wpadł na niego. Nastąpiła skomplikowana potrójna kolizja, skutkiem której Wookie wpadł na nieszczęsnego pracownika portu, oblewając go od stóp do głów niesionym przez siebie piwem. W chwilę później nastąpiło istne pandemonium — gwałtowna wymiana wzajemnych oskarżeń, wypowiedzianych podekscytowanymi, uniesionymi głosami. Wookie gniewnie pomrukiwał na obydwu mężczyzn, wskazując jednocześnie na rozlany trunek. Zastępca naczelnika portu bezskutecznie usiłował doprowadzić do porządku swą przemoczoną tunikę. Drugi z mężczyzn starał się za wszelką cenę jakoś mu w tym pomóc.

— Och, tak mi przykro — usprawiedliwiał się Han zmartwionym, pełnym uniżenia głosem. — To wszystko tutaj wsiąknięło — rzekł, próbując wykręcać zalane trunkiem włókno tuniki.

W tym czasie zastępca naczelnika i Wookie wzajemnie obwiniali się o spowodowanie całego zajścia. Przypadkowy przechodzień nie zwolnił nawet kroku, by nie być wciągniętym w całą tę sprawę.

— Powinieneś od razu wyprać tę tunikę, przyjacielu—radził Han. — Bo inaczej nigdy nie pozbędziesz się tego zapachu.

Po raz ostatni zagrożony Wookie'emu wyciągnięciem konsekwencji prawnych, pracownik portu oddalił się z miejsca zajścia. Zdawszy sobie sprawę, że może przecież spotkać zwierzchnika, a trudno byłoby mu wytłumaczyć się z opłakanego stanu swego stroju i dziwnego zapachu, który rozsiewał się wokół, przyspieszył kroku. Odszedł, zostawiając tam tych dwóch obarczających się nawzajem winą i odpowiedzialnością. Ledwie sobie poszedł, wszelkie spory umilkły. Han triumfalnie uniósł klucz wykradzony zastępcy naczelnika podczas całego zajścia. Podał go Chewbacce.

— Idź rozgrzać silniki, ale nie melduj o starcie. Najprawdopodobniej wydano już rozkaz, aby nas zatrzymać. Jeżeli mają statek patrolowy, od razu wyślą go za nami w pościg. Oceniał, że minęło około ośmiu minut od chwili ich ucieczki ze „Swobodnego Lotu” i obawiał się, że i tak już zbyt długo szczęście im sprzyjało.

Chewbacca rozgrzał silniki, a Han pobiegł wzdłuż lądowisk. Minał już trzy, zanim spostrzegł to, czego szukał. W jednej z nich znajdował się podobny do „Sokoła” frachtowiec — czysty, świeżo odmalowany, odpowiednio uzbrojony. Nazwa statku i jego symbole identyfikacyjne były uwidocznione na kadłubie, a kilka robotów pod nadzorem załogi dokonywało właśnie załadunku. Han pochylił się w ich kierunku i przyjacielsko

machnął ręką.

— Cześć, wy tam! Czy startujecie jeszcze dzisiaj? Jeden z nich, nieco zmieszany, odpowiedział:

— Nie dzisiaj, przyjacielu, jutro, o dwudziestej pierwszej czasu planetarnego.

Han udał zdziwienie.

— Ach tak! W porządku, spokojnego nieba! Mężczyzna pozdrowił oddalającego się Hana tym samym, tradycyjnym pozdrowieniem ludzi przestworzy. Znalazłszy się poza zasięgiem ich wzroku, kapitan Solo puścił się biegiem.

Gdy dotarł do lądowiska numer czterdzieści pięć Chewbacca właśnie kończył rozłączanie zainstalowanych systemów awaryjnych. Widząc to, Han skinął głową z uznaniem.

— Jesteś całkiem pojętny. Włączyłeś silniki?

Wookie zaskowyczał potwierdzająco i zatrzasnął drzwi hangaru. Po dokładnym ich zamknięciu, tym razem od wewnątrz, wyrzucił klucz szyfrowy.

Han sadowił się już w swym fotelu w sterowni. Włożył hełmofon i wywołał kontrolę lotów. Podając nazwę i numery identyfikacyjne frachtowca zaparkowanego na lądowisku numer czterdzieści jeden zażądał przesunięcia godziny startu z dwudziestej pierwszej czasu planetarnego i zgody na natychmiastowy odlot. W przypadku frachtowca, którego rozkład lotów mógł się w każdej chwili zmienić, żądanie takie nie było niczym niezwykłym. Ponieważ w porcie panował spokój, a zgoda na odlot statku została już wydana, kontroler prawie natychmiast przystał na prośbę Hana.

Chewbacca nie zdążył jeszcze dobrze zapiąć pasów, gdy „Sokół” uniósł się w powietrze. Silniki statku zamigotały i jednostka, przez nikogo nie niepokojona, opuściła planetę Etti IV. Han starał się wyobrazić sobie reakcję espowców, gdy będą się zastanawiać, jak można było uciec tuż sprzed nosa naczelnika portu.

Sokół wyszedł już poza granicę pola grawitacyjnego planety. Podniecony stosunkowo łatwym zwycięstwem Chewbacca radośnie „podśpiewywał” na całe gardło, podrygując przy tym tanecznie. Hanowi wydawało się przez chwilę, że ryk Wookie’ego rozsadzi ściany niewielkiej sterowni.

— Daj spokój, Chewie — skarcił go, uderzając lekko pięścią we wskaźnik. — Nie widzisz, że wszystkie wskaźniki skaczą jak oszalałe? — O dziwo Wookie umilkł prawie natychmiast. — Poza tym — kontynuował Han — to chyba jeszcze nie koniec naszych problemów.

Na twarzy Chewie’ego odmalowały się niepokój i nieme pytanie. Han potrząsnął głową. — Ploovo dostał już swoje pieniądze, ale nie ma się co łudzić, że zechce ponownie skorzystać z naszych usług. Ten statek to przecież w gruncie rzeczy stara, wysłużona maszyna. Potrzebny nam jest inny, nowocześniejszy. Poza tym podejrzewam, że Espo dysponuje jakimiś nowymi czujnikami, które zakłócają pracę starych modeli, i domyślam się, że mają ochotę arestować tych, którzy mają stare statki z nowym sprzętem. Będzie nam taki potrzebny, jeżeli w ogóle myślimy o zarobieniu pieniędzy. Jeszcze jedno... jeżeli chcemy działać na terenie Wspólnego Sektora, musimy jakoś załatwić przepustkę i dostać się na tę przeklętą listę statków dopuszczonych do ruchu. Do diabła, Rządy Wspólnego Sektora wycisnęły tyle forsy z tysięcy systemów słonecznych, że chwilami wydaje mi się, że czuję jej zapach. Nie zrezygnujemy z łowów tylko dlatego, że komuś nie podoba się masa czy zasięg naszego pojazdu.

Wprowadziwszy „Sokoła” w nadprzestrzeń, Solo uśmiechnął się przebiegle do Chewie’ego.

— Ponieważ ani ty, ani ja nie cieszymy się specjalną sympatią Rządów, co innego nam pozostaje?

Pierwszy oficer zawarczał coś niezrozumiale. Han przyłożył dłoń do piersi, udając

zdziwienie.

— Mówisz, że jesteśmy wyłączeni spod prawa? My dwaj? — zaśmiał się. — Masz rację, przyjacielu. Zobaczysz, zarobimy na nich tyle forsy, że będziemy musieli przewozić ją osobnym statkiem.

Nieco zmniejszył moc silników.

— Ale najpierw musimy spotkać i powitać starych przyjaciół. A potem drżycie wszyscy bogacze! — zakończył.

Musieli, oczywiście, to wszystko robić po kolei. Po szczęśliwym odlocie z Etti IV udali się na prawie bezludną, całkowicie wyeksploatowaną planetę, na której Rządy nie utrzymywały nawet żadnych urzędów. Tam stary znajomy, człowiek, który dużo w życiu widział i przeszedł, skontaktował ich z kapitanem statku orbitalnego przewożącego rudę. Po pewnym okresie oczekiwania, kiedy to dokładnie sprawdzono informacje o nich i stwierdzono, że są tymi, za których się podają, otrzymali zgodę na spotkanie.

W umówionym miejscu przestrzeni kosmicznej oczekiwał ich niewielki statek holowniczy. Gdy już szybko, ale dokładnie przeszukano pokład „Sokoła” i stwierdzono, że na jego pokładzie znajdują się jedynie pilot i pierwszy oficer, pozwolono im udać się na drugą planetę należącą do pobliskiego systemu gwiazdnego. Holownik odłączył się od nich, a „Sokół” śledzony przez ciemne wyloty luf turbolaserowych działek, wylądował na powierzchni planety. Cały teren zajmowały hangary i pomieszczenia mieszkalne o kopulastym kształcie. Tu i ówdzie zaparkowane były różne statki, większość z nich jednak znajdowała się w stanie kompletnej ruiny lub wymagała natychmiastowego remontu.

Gdy Han zeskoczył z rampy trapu „Sokoła”, jego twarz rozjaśniła się uwodzicielskim, dobrze znanym zazdrosnym mężom uśmiechem.

— Witaj, Jesso. Bardzo długo cię nie widziałem, lalczko, zbyt długo.

Kobieta czekająca u stóp pochylni spojrzała na niego karcąco. Była to wysoka, złotowłosa istota, odziana w prosty kombinezon roboczy, który wręcz dodawał jej uroku. Lekko zadarty nos zdobiły liczne pęgi. W swoim życiu zwiedziła prawie tyle planet co Solo. Teraz popatrzyła na Hana dużymi, brązowymi oczami.

— Zbyt długo, Han? Nie wątpię, że byłeś bardzo zajęty. Co to było tym razem? Sprawy religijne, konferencje handlowe, dostawy dla Międzygwiazdnego Systemu Pomocy Dzieciom? Nic dziwnego, że nie miałam wieści od ciebie. A poza tym, co to znaczy standardowy rok więcej czy mniej?

— To istotnie długo, dziecino — odpowiedział łagodnie. — Tęskniłem za tobą.

Wyciągnął rękę na powitanie.

Jessa uchyliła się, a kilku uzbrojonych w karabiny mężczyzn wyszło z ukrycia. Mimo że mieli na sobie kombinezony robocze, maski ochronne i poplamione opaski na głowach, sprawiali wrażenie obeznanych z bronią. Han z niesmakiem potrząsnął głową.

— Jesso, naprawdę źle mnie rozumiałaś. — Wiedział jednak aż za dobrze, że było to po prostu ostrzeżenie, i uznał, iż lepiej zrobi, skierowując rozmowę na inne tory. — Gdzie jest Doc?

Rysy Jessy nieco złagodniały, jednak pominęła milczeniem jego pytanie.

— Chodź ze mną, Solo.

Pozostawiwszy Chewbaccę na straży „Sokoła”, Han udał się za nią w głąb tymczasowej bazy. Lądowisko wykonane było z ubitych, połączonych ze sobą płyt ziemnych (prawie każdy materiał organiczny nadawał się do tego celu — minerały, odpadki roślinne czy zwierzęce). Liczni zatrudnieni na terenie cementarzystka mechanicy — kobiety, mężczyźni i istoty obce — pracowali przy statkach i maszynach, mając do pomocy duży wybór androidów i innych robotów pomocnych przy naprawach, modyfikacjach i przeróbkach. Han z podziwem obserwował całe to przedsięwzięcie. Wszędzie można znaleźć

techników trudniących się nielegalnymi naprawami, ale Doc, ojciec Jessy, cieszył się znakomitą sławą wśród wszelkich łamiących prawo osobników. Jeśli chciało się naprawić uszkodzony w walkach statek, zmienić jego dane identyfikacyjne i wygląd zewnętrzny bez zbędnych pytań i z zachowaniem pełnej dyskrecji, należało zwrócić się do Doca. Również w przypadku sprzedaży czy kupna najlepiej było się z nim skontaktować — oczywiście jeżeli po szczegółowych badaniach tożsamości wyraził on zgodę na przyjęcie klienta. Jeżeli tylko naprawa leżała w granicach ludzkich możliwości, Doc i jego mechanicy mogli ją wykonać.

Szereg udoskonaleń zamontowanych na „Sokole” było dziełem stacji naprawczej Doca, który parokrotnie stykał się już z Hanem. Solo podziwiał starego człowieka za jego spryt i odwagę, za to, że przez całe lata udawało mu się ukrywać przed poszukującymi go rządowymi. Trzeba jednak przyznać, że Doc dbał również o odpowiednie zabezpieczenie, przekupując rzesze biurokratów i opłacając lojalnych informatorów. Parokrotnie zdarzyło się, że zespoły kontrolne niespodziewanie przybywały na planetę z zamiarem przyłapania Doca i jego techników na gorącym uczynku, lecz za każdym razem natrafiały jedynie na opustoszałe budynki i kupę bezużytecznego złomu. Czasami Doc żartował sobie z tego, mówiąc, że jest prawdopodobnie jedynym przestępcą, który zmuszony będzie w przyszłości do utworzenia funduszu emerytalnego dla byłych pracowników.

Klucząc wśród porozbieranych na części kadłubów i tętniących życiem doków naprawczych, Jessa przeprowadzała Hana przez największy hangar stacji. Na końcu znajdowało się pomieszczenie biurowe, niewielki kantor odgradzony płytami permeksowymi. Gdy na rozkaz Jessy drzwi pomieszczenia odsunęły się, Han stwierdził, że znakomity gust Doca nie zmienił się ani trochę. Posadzka była przykryta dywanami wrodiańskimi, prawdziwymi arcydziełami kolorystyki i rękodzieła. Półki wypełniono cennymi książkami, a na ścianach wisiały drogie malowidła, gobeliny i inne wytwory sztuki, niektóre stworzone przez słynnych dawnych mistrzów, a inne przez nieznanych, prymitywnych twórców. Na środku pomieszczenia stało monolityczne, ręcznie rzeźbione biurko z pachnącego drewna. Centralne miejsce na jego blacie zajmowało trójwymiarowe zdjęcie Jessy. Odziana w stylową, kobiecą szatę, uśmiechała się łagodnie i niewinnie jak ładna dziewczyna podczas pierwszego oficjalnego balu. W niczym nie przypominała sprytnego mechanika.

— Gdzie staruszek? — spytał Han, widząc, że pokój jest pusty.

Jessa wślizgnęła się na fotel za biurkiem. Zaciśnęła dłonie na potężnych, wyściełanych drogim materiałem oparciach tak mocno, że pobieleły jej paznokcie.

— Nie ma go tutaj, Solo.

— Cieszę się, że mi to powiedziałaś. Nie domyśliłbym się, widząc zupełnie pusty pokój. Posłuchaj, co ci powiem, Jess. Nie mam czasu na żadne gry, nawet jeżeli ty masz na to ochotę. Chcę...

— Wiem, czego chcesz! — Odmalowująca się na jej twarzy gorycz nieco go zdumiała.

— Powinieneś zdawać sobie sprawę, że wiemy wszystko o naszych klientach, zanim do nas przybędą. Ale mojego ojca tutaj nie ma. Zniknął i mimo rozlicznych prób nie udało mi się ustalić, co się z nim stało. Wierz mi, Solo, zrobiłam wszystko, co w mojej mocy.

Han usiadł w fotelu naprzeciw Jessy, po przeciwległej stronie biurka.

— Doc wyjechał w interesach — wytłumaczyła Jessa. — Wiesz, co mam na myśli... nabycie towaru potrzebnego na rynku i wypełnianie specjalnych życzeń klientów. Zatrzymał się w trzech planowanych miejscach i nie dotarł do czwartego. Właśnie to się wydarzyło. On, trzech członków załogi i jacht gwiazdny po prostu rozplynęli się we mgle.

Hanowi na chwilę stanął przed oczami stary człowiek ze spracowanymi rękami,

szczerem, szerokim uśmiechem i burzą gęstych siwych włosów. Han lubił Doca i relacja Jessy sprawiła mu przykrość. Ludzie znikający w podobnych okolicznościach najczęściej nigdy nie wracają. Trudno, widać tak chciał los. Filozofia życiowa Hana nie pozwalała mu na poddawanie się emocjom, a żal i smutek należały do tego typu bagażu, którego lepiej nie wozić ze sobą po całej galaktyce.

Pozostało mu więc tylko pożegnanie w duchu starego Doca i załatwienie interesów z Jessą, jego jedyną spadkobierczynią. Gdy otrząsnął się nieco z zadumy, spostrzegł, że Jessa doskonale odczytała jego myśli.

— Łatwo przeszedłeś nad tym do porządku, prawda Solo? — zapytała miękko. — Tak naprawdę to nikt cię chyba nie obchodzi?

Jej słowa dotknęły go do żywego.

— Powiedz mi, Jess, czy gdybym to ja wsiąkł gdzieś bez śladu, Doc zalewałby się łzami? A ty? Przykro mi, ale życie toczy się dalej, a jeżeli, moja droga, o tym zapominasz, prędzej czy później zginiesz.

Otworzyła usta, by coś odpowiedzieć, ale raptownie zmieniła taktykę. Jej głos był teraz ostry jak brzytwa.

— Dobrze. Pomówmy o interesach. Wiem, czego potrzebujesz: aparatury wykrywającej, anteny parabolicznej i przepustki. Mogę się tego podjąć. Mamy w posiadaniu czujniki, niewielkie, ale o potężnej mocy, skonstruowane specjalnie dla jednostek bojowych o dalekim zasięgu. Prosto z magazynów wojskowych. Dotarły do nas dzięki szczęśliwemu zbiegowi okoliczności, który udało mi się zaaranżować. Mogę również załatwić przepustkę. Pozostaje nam tylko do uzgodnienia — tu spojrzała na niego chłodno — kwestia ceny.

Han przyjął jej oświadczenie spokojnie.

— Myślę, że się dogadamy, Jess. Muszę tylko... Przerwała mu w pół zdania:

— Kto mówił o pieniądzach? Wiem dobrze, ile masz, skąd i jaką sumę dałeś Ploovo. Nie wpadło ci do głowy, że do nas w końcu wszystko dociera? Czy mogłabym się spodziewać, że uganiający się po całej galaktyce półgłówki może mieć duże pieniądze? — Oparła się głębiej w fotelu i spłótła dłońe.

Han poczuł się trochę niepewnie. Planował zawarcie długoterminowej umowy z Docem, ale obawiał się, że z Jessą może mu się to nie udać. Jeżeli wiedziała, że nie stać go na zapłacenie odpowiedniego honorarium, dlaczego w ogóle z nim rozmawiała?

— Jess, czy zamierzasz wyjaśnić, o co ci chodzi, czy mam oddać się słynnej sztuce zgadywania?

— Zamknij się na chwilę i posłuchaj, co powiem. Proponuję umowę, rodzaj wymiany.

Był bardzo podejrzliwy, bo wiedział, że nie należy się po niej spodziewać żadnej wielkoduszności. Ale czy miał alternatywę? Statek wymagał remontu i modernizacji, inaczej Han będzie zmuszony polecieć gdzieś na krańce galaktyki i nając się do wywożenia śmieci.

— Zamieniam się w słuch — odparł więc z przesadną słodyczą.

— Chodzi o pomoc w ucieczce, Solo, o umożliwienie komuś wydobycia się z pewnego miejsca. Oczywiście, dochodzą do tego jeszcze różne drobiazgi, ale ogólnie można to właśnie w ten sposób określić. Skontaktujesz się z pewnymi ludźmi i zawieszysz ich tam, dokąd będą chcieli się udać, oczywiście w granicach rozsądku. Nie będą od ciebie oczekiwali wysadzenia ich w żadnym ryzykownym miejscu. Mam nadzieję, że to zadanie nie przekracza twoich umiejętności.

— Skąd miałbym ich wywieźć?

— Z Orrona III. To w przeważającej części planeta rolnicza, ale Rządy utrzymują tam centrum danych. Właśnie tam przebywają twoi pasażerowie.

— Rządowe Centrum Danych? — wybuchnął Han. — A w jaki sposób się tam dostanę?

Przecież cały teren musi być naszpikowany espowcami i innymi tajniakami. Posłuchaj, ślicznotko, potrzebuję twoich usług, ale również zależy mi na długim życiu, chciałbym kiedyś spokojnie bujać się w fotelu w Centrum Starego Kosmonauty, a obawiam się, że to, co proponujesz, uniemożliwiłoby mi spełnienie tego marzenia.

— To nie jest takie straszne — odrzekła spokojnie. — System bezpieczeństwa wewnętrznego nie jest specjalnie rozwinięty, ponieważ na Orronie III mają prawo lądować tylko dwa rodzaje statków: transportery do przewożenia zbiorów i statki należące do floty rządowej.

— Tak, ale nie wiem, czy się orientujesz, że „Sokół” nie zalicza się do żadnej z tych dwóch kategorii.

— W tej chwili nie, Solo, ale postaram się to zmienić. Mamy do dyspozycji frachtowce, który ostatnio wpadł w nasze ręce. Nie było to nawet takie trudne, gdyż załogę stanowiły wyłącznie roboty. Wmontujemy system kontroli zewnętrznej, odpowiednie grodzie i całkowicie zmienimy wygląd twojego „Sokoła”. Moi technicy dokonają zmian i przeróbek kadłuba, tak, że nikt, włącznie z espowcami i pracownikami portu, nie spostrzeże różnicy. Wylądujesz, skontaktujesz się z tymi osobami i odlecieś. Frachtowce przebywają na powierzchni średnio przez trzydzieści godzin, więc będziesz miał mnóstwo czasu na załatwienie wszystkich spraw. Jak już znajdziesz się poza strefą planety, odrzucisz zbędny kadłub i wrócisz do domu.

Han gorączkowo rozważał przekazaną mu propozycję. Nie podobało mu się to, że ktoś ośmiela się dysponować nim i jego statkiem.

— Dlaczego wybrałaś akurat mnie i „Sokoła”?

— Po pierwsze dlatego, że czegoś ode mnie potrzebujesz, więc nie odmówisz. A po drugie, mimo że jesteś niemoralnym chytrusem, uważam cię za znakomitego pilota z ogromnym doświadczeniem. Pilotowałeś przecież wszelkie możliwe jednostki, poczynając od statków wycieczkowych do największych frachtowców. Jeżeli zaś chodzi o „Sokoła”, to jest on akurat odpowiedniej wielkości i ma odpowiedni komputer do tego zadania. To uczciwa umowa.

Jedna sprawa nie dawała mu wciąż spokoju.

— Kim są ci ludzie? Wydaje mi się, że pakujesz się dla nich w solidne kłopoty.

— Nie znasz ich. To wszystko amatorzy, a poza tym dobrze mi za to zapłacą. To, co robią, zupełnie mnie nie interesuje, jeżeli ciebie o tym poinformują, będzie to wyłącznie ich decyzja.

W milczeniu i zamyśleniu wpatrywał się w wyłożony błyszczącymi perlami sufit. Jessa oferowała wszystko to, co było mu niezbędne do prowadzenia walki z Rządami. Gdyby mu się udało, mógłby całkowicie zrezygnować z poniewierki Po prowincjonalnych światach w poszukiwaniu paru groszy i zacząć żyć na jakim takim poziomie.

— No więc — odezwała się Jessa — czy mam zagonić techników do roboty, czy też ty i Wookie zamierzacie umrzeć z głodu i udowodnić wszystkim, że przestępstwo nie popłaca?

Uniósł się z fotela.

— Lepiej, żebym najpierw powiedział o tym Wookie’emu, bo inaczej twoi pracownicy mogą zostać zamienieni w eksponaty nadające się tylko do banku części organicznych. System pracy stworzony przez Doca, a teraz podlegający Jessie, był nadzwyczaj precyzyjny i dokładny. Technicy posiadali szczegółowy opis fabryczny „Sokoła” i dokładny hologram wszystkich możliwych do zamontowania części pojazdu. Z pomocą Chewie’ego i kilku techników Han w ciągu paru godzin zdołał rozmontować osłonę silnika i systemy kontrolne statku.

Roboty poruszały się we wszystkich kierunkach, piły energetyczne rozświetlały wnętrze

hangaru, a cała rzesza mechaników pochodzących z różnych planet pracowała pod „Sokołem”, na jego kadłubie i w jego wnętrzu. Han czuł się trochę nieswojo, widząc tak ogromną liczbę narzędzi, rąk, czulek, samozaciskaczy i podnośników w pobliżu swego ukochanego statku, ale zacisnął zęby i starał się być obecny w każdym miejscu, gdzie mógł być potrzebny. Chewbacca wykrywał wszelkie niedokładności przeoczone przez Hana i ostrzegawczym warczeniem dawał technikom i robotom znać o swoim niezadowoleniu. Wszyscy obecni doskonale zdawali sobie sprawę z tego, jaki los spotkałby kogoś, kto nawet niechcący uszkodziłby pojazd.

W pewnej chwili w hangarze pojawiła się Jessa, chciała osobiście sprawdzić, jak posuwają się prace. Towarzyszył jej niezwykle robot, przypominający wyglądem istotę ludzką. Maszyna była raczej krępa, mniej więcej wzrostu niskiej kobiety, pokryta szczerbami, zadrapaniami, plamami oleju i śladami po rozlicznych spawaniach. W górnej części tułowia była niezwykle szeroka, a zwisające do kolan ramiona sprawiły, że robot wyglądał dosyć komicznie. Obrazu dopełniały: nieco zniszczona ciemnobrązowa powłoka i sztywny, chwiejny sposób poruszania się. Czerwone nieruchome fotoreceptory robota spoczęły na Hanie.

— Poznaj swojego pasażera — przedstawiła maszynę Jessa. Han zmarszczył brwi.

— Nie mówiłaś nic o tym, że mam zabrać ze sobą robota. — Spojrzał uważnie na wiekowego androida. — Czy on działa na torf?

— Nie. Ale ostrzegałam cię, że będą dodatkowe szczegóły. Bollux jest jednym z nich.

— Zwróciła się do robota. — W porządku Bollux, pokaż co masz w środku.

— Tak jest, proszę pani — odparł android, wolno cedząc słowa.

Rozległo się lekkie buczenie i plastron okrywający górną część korpusu rozwarł się na środku, ukazując mechanizm. Pomiędzy elementami stanowiącymi wnętrze robota znajdowała się specjalna skrytka, w której umieszczono dziwny, sześcienny przedmiot, naszpikowany czułkami i różnymi dziwnymi akcesoriami. Sześcián zwieńczony był wyposażonym w pojedynczy obiektów fotoreceptorem i pomalowany na ochronny, metaliczny błękit. Fotoreceptor rozjarzył się czerwonym światłem.

— Przywitaj się z kapitanem Solo, Max — rozkazała Jessa. Mechanizm ukryty wewnątrz maszyny uważnie lustrował

Hana, kręcąc i ustawiając położenie obiektu fotoreceptora.

— Dlaczego? — zapytał robot. Głos wydobywający się z jego wnętrza przypominał dziecięcy szczebiot.

— Ponieważ jeżeli tego nie zrobisz — odparła rzeczowo Jessa — ten miły człowiek gotów cię schwycić za kark i wyrzucić w przestrzeń. Wiesz już dlaczego?

— Cześć! — zaszczębiotał Max, jak się wydawało Hanowi, zmuszając się do dobrego nastroju. — Bardzo miło mi pana poznać, kapitanie!

— Ludzie, których weźmiesz na pokład, muszą zgromadzić dane i wycofać je z systemu komputerowego na Orron III — wyjaśniła Jessa. — Oczywiście nie mogą zażądać od Rządów wydania przepisu próbnego bez wzbudzenia podejrzeń, a twoje przechadzki z Maxem mogłyby również napytać wam sporo biedy. Ale nikt nie zwróci uwagi na przestarzałego robota pomocniczego. Nazwaliśmy go Bollux, gdyż sporo nagłówkowaliśmy się podczas jego konstruowania. Na przykład nigdy nam się nie udało ustawić właściwej szybkości mówienia. Ta skrzynekczka w otworze piersiowym Bolluxa, to Błękitny Max. Max dlatego, że włożyliśmy w niego ogromną pamięć komputerową, a Błękitny z powodu, jaki nawet ty jesteś zdolny odgadnąć. Błękitny Max to arcydzieło, także w naszych warunkach. Jest niewielki, ale kosztował fortunę, mimo że nie może się sam poruszać i pozbawiony jest części standardowego wyposażenia. Ale wystarczy im do zarejestrowania danych komputerowych.

Han spoglądał na obydwie maszyny, wciąż mając nadzieję, że Jessa stroi sobie z niego żarty. Widywał już w życiu przedziwne konstrukcje, ale nigdy w kabinie pilotowanego przez siebie statku. Nie przepadał za robotami, lecz zdecydował, że chyba uda mu się koegzystować z tymi dwoma.

Schylił się, aby dokładniej obejrzeć Błękitnego Maxa.

— Cały czas przebywasz w środku?

— Mogę funkcjonować niezależnie lub w połączeniu — odpowiedział Max.

— Niewiarygodne — stwierdził Han i stuknął palcem w głowę Bolluxa. — Zamknij się.

Gdy brązowe połówki plastronu zakryły Maxa, Han zwrócił się do Chewie'ego:

— Wspólniku, znajdź miejsce dla tego manekina, dobrze? Pojedzie z nami. — Spojrzał na Jessę. — Czy coś jeszcze? Może kapela wojskowa?

Nie zdążyła odpowiedzieć na tę złośliwość. Klaksony i syreny alarmowe zawyły ogłuszająco, a megafony donośnie wzywały ją do punktu dowodzenia bazy. Wszyscy znajdujący się w hangarze mechanicy cisnęli narzędzia na podłogę i podążyli w stronę stacji alarmowej. Jessa rzuciła się w stronę punktu dowodzenia, a Han nakazawszy Chewbacce pozostanie przy statku, pobiegł za nią.

Mijali po drodze całe kompleksy budynków. Wokół nich chaotycznie przemieszczały się rzesze ludzi, obcych istot i robotów, zagradzając im drogę i zmuszając do raptownych uników. Centrum dowodzenia znajdowało się w zwykłym bunkrze, ale po pokonaniu prowadzących do niego schodów Han i Jessa weszli do świetnie wyposażonego centrum operacyjnego. Większą jego część zajmował olbrzymi rozświetlony hologram, imitacja otaczającego ich systemu słonecznego. Słońce, planety i inne ważniejsze ciała niebieskie były oznaczone różnymi kolorami.

— Czujniki zarejestrowały nieokreślony sygnał, Jesso — oznajmił jeden z dyżurnych oficerów, wskazując na żółty punkt na krańcu systemu. — Czekamy na jego identyfikację.

Jessa przygryzła wargę i wraz ze wszystkimi obecnymi, w napięciu wpatrywała się w monitor kontrolny. Han przysunął się do niej. Żółty punkt nieustannie zbliżał się ku środkowi monitora, ku białej plamie symbolizującej planetę, na której się znajdowali. Jego prędkość raptownie zmalała i sensory odczytały wysyłane ze statku sygnały. W chwilę później obiekt zwiększył prędkość i zniknął z ekranu monitora.

— To był statek należący do floty rządowej, korweta — objaśnił oficer. — Wypuściła cztery myśliwce, a sama wróciła w nadprzestrzeń. Prawdopodobnie zdołała wyśledzić naszą obecność i udała się po posiłki, zostawiając myśliwce, żebyśmy mieli zajęcie dopóki nie wróci. Nie mam pojęcia, dlaczego przybyli na poszukiwania właśnie do tego systemu.

Han zdał sobie sprawę, że oficer dyżurny wpatrywał się w niego oskarżycielsko. Prawdę mówiąc, oczy wszystkich zebranych w centrum dowodzenia skierowane były na Hana, niektórzy nawet sięgnęli po broń.

— Jess — zaoponował, szukając jej wzroku — powiedz, czy kiedykolwiek sprzedałem kogoś Espo?

Przez chwilę na twarzy dziewczyny odmalowywało się wahanie.

— Myślę, że gdyby to była twoja robota, nie czekałbyś, aż się pojawią — przyznała. — A poza tym wydaje mi się, że gdyby byli pewni, że tutaj jesteśmy, uderzyliby z nienacka dużymi siłami. Jednak musisz przyznać, Solo, że te dwa wydarzenia dziwnie zbiegły się w czasie.

Postanowił zmienić temat rozmowy.

— Dlaczego korweta nie powiadomiła o tym za pomocą transmisji z nadprzestrzeni? Nie byli przecież aż tak daleko od bazy, żeby nie mogli wezwać wsparcia.

— Na tym terenie występują liczne anomalie gwiazdne — odrzekła automatycznie Jessa, wpatrując się uważnie w monitor. — Dzięki zakłóceniom w hiperprzestrzeni udało nam się ich zlokalizować. Jaki jest szacunkowy czas przybycia myśliwców? — spytała oficera.

— Niecałe dwadzieścia minut — padła odpowiedź. Głęboko westchnęła.

— Oprócz myśliwców nie mamy tutaj żadnych jednostek bojowych. Nie ma sensu tego ukrywać... trzeba przygotować się do walki. Wydać rozkaz ewakuacji.

Spojrzała na Hana.

— Obce myśliwce to najprawdopodobniej typ IRD, dadzą sobie łatwo radę ze wszystkimi maszynami, jakie mam do dyspozycji. Potrzebuję zyskać nieco czasu, a nie mam tutaj nikogo, kto miałby za sobą loty bojowe. Czy pomożesz nam? Czuję na sobie ciężkie spojrzenie wszystkich obecnych. Ujął Jessę pod ramię. Odciągnął ją na bok i pogłaskawszy po policzku, rzekł cicho:

— Droga Jess, to nie należy do naszej umowy. Pamiętaj, co ci mówiłem o Domu Starego Kosmonauty? Nie mam najmniejszej ochoty popełniać samobójstwa.

— Chodzi o życie! — odparła porywczo. — Nie zdołamy ewakuować się na czas, nawet gdybyśmy zostawili cały sprzęt. Jeżeli zajdzie taka konieczność, wyślę niedoświadczonych pilotów na spotkanie tych myśliwców, ale dobrze wiesz, jaki los czeka ich w potyczce ze starymi wyjadaczami z Espo. Masz więcej praktyki niż my wszyscy razem wzięci!

— I właśnie praktyka mówi mi, żeby trzymać się od tego wszystkiego z daleka — odrzekł, czerwieniąc się nieco pod wpływem spojrzenia, jakie mu rzuciła. Chciał jeszcze coś powiedzieć, ale powstrzymał się, nie w pełni przekonany o swojej racji.

— Więc idź się ukryć — rzekła prawie niedosłyszalnym szeptem. — Ale zapomnij na dobre o swoim wspaniałym „Tysiącletnim Sokole”, bo w całym wszechświecie nie ma takiej siły, która pozwoliłaby ci wystartować, zanim najeźdźcy uderzą. A gdy przybędą posiłki, cała baza i wszystko, co się na niej znajduje, zostanie kompletnie zniszczone.

Statek. O nim muszę myśleć. Musi ocalać — powiedział sobie Solo. Turbolaserowe działa nie zdołają zatrzymać szybkich, zwinnych myśliwców, a gdy te zbliżą się do powierzchni planety, nie będzie już żadnej szansy ratunku dla bazy i pracowników. On i Chewbacca być może zdołają się uratować, ale bez statku będą tylko bezimiennymi i bezdomnymi okruciami przestrzeni.

W punkcie dowodzenia panował trudny do opisanego chaos wywołany napływem nowych, alarmujących wiadomości. Jessa w napięciu wpatrywała się w ekran.

— Jess. — Głos Hana wyrwał ją z zadumy. — Czy mogłabyś mi dać jakiś hełmofon?

— Udawał, że nie zauważa odmalowującej się na jej twarzy ulgi. — Najlepszy byłby sportowy model i żeby mi się głowa w nim zmieściła.

ROZDZIAŁ IV

Podczas tego kolejnego biegu przez bazę Han podążał krok w krok za Jessą. Dotarli do stosunkowo niewielkiego, zwieńczonego kopułą hangaru, z którego dolatywały charakterystyczne odgłosy pracujących na wysokich obrotach silników. Wewnątrz liczni mechanicy z obsługi naziemnej sprawdzali wskaźniki kontrolne, deflektory i uzbrojenie, przygotowując do lotu sześć myśliwców.

Były to samoloty przechwytyjące, a raczej były nimi ćwierć wieku wcześniej. Wszystkie reprezentowały płaskonosy, przestarzały typ Z-95 „łowca Główny” — niewielki, dwusilnikowy, ale stosunkowo zwinny dzięki zmiennej geometrii skrzydeł. Ich kadłuby, skrzydła i rozszczepione ogony pokrywały liczne ślady spawania, zacieki smaru oraz

warstwa maskująca. Umieszczone na zewnątrz kadłubów pojemniki na rakiety i bomby były teraz puste.

— Zamierzacie otworzyć muzeum? — spytał Han z przekąsem, wskazując myśliwce.

— Zdobyliśmy je od policji planetarnej. Były używane w akcjach antyprzemysłowych. Myśleliśmy o dokonaniu niezbędnych przeróbek i odsprzedaniu tych maszyn z zyskiem, ale ostatecznie zdecydowaliśmy się je zatrzymać, bo są jedynymi maszynami bojowymi, jakie posiadamy. A poza tym nie narzekaj za bardzo, Han, sam sporo czasu latałeś na takich gratach.

Rzeczywiście latał. Podeszedł do myśliwca, którego kończono właśnie tankować. Chwycił za skrzydło, podciągnął się na rękach i zajął do kabiny. Przez tyle lat większość instrumentów i wskaźników została usunięta lub przekazana do modernizacji, a w miejscach, gdzie powinny się znajdować, sterczała płatanina kabli lub ziały dziury. Samo pomieszczenie było ciasne i niewygodne.

Pomijając te wszystkie niedogodności, „Łowca Główny” Z-95, mimo że niewielki, był dobrą maszyną, owianą legendą ze względu na liczbę uszkodzeń, które potrafił znieść. Miejsce pilota — potocznie zwane „fotelem klubowym” — było odchylone o trzydzieści stopni do tyłu, co ułatwiało pilotowi manewrowanie i kontrolę panelu uzbrojenia. Po dokonaniu pobieżnej inspekcji Han opuścił się na podłogę.

Kilku pilotów zebrało się już w hangarze, a kolejny, humanoid, dołączył do nich po chwili. Z malującego się na ich twarzach zaszępienia Solo odgadł, że dotychczas żaden nie pilotował takiej jednostki w warunkach bojowych. Jessa podeszła do Hana i wcisnęła mu w dłoń stary, nieco podniszczony hełmofon.

— Czy któryś z was latał już wcześniej na tych bydlakach? — zapytał Han, przymierzając tymbit ciasny i nieco uwierający hełmofon. Zdjął go i usiłował nieco poluzować wewnętrzne zabyt dopasowujące.

— Wszycy odbyliśmy na nich loty szkoleniowe — odparł jeden z pilotów. — I zaznajomiliśmy się z podstawowymi taktykami obronnymi.

— To dobrze — wymamrotał Han, znów przymierzając hełmofon. — Na pewno damy sobie radę.

Hełmofon był ciągle za ciasny — Jessa cmoknęła ze zniecierpliwieniem i sama zajęła się jego dopasowaniem.

— Rządy dysponują nowszymi statkami, bo stać je na zakup wszystkiego, czego zapagną. W skład eskadry, jaka zdąży w naszym kierunku, wchodzi najprawdopodobniej myśliwca IRD, fabrycznie nowe, może prototypy albo modele wykonane na specjalne zamówienie. A faceci, którzy je prowadzą, kończyli niewątpliwie szkoły pilotażu. Obawiam się, że żaden z was nie może się poszczycić takim wykształceniem i doświadczeniem bojowym.

Niestety, jego obawy były uzasadnione. Przekrzykując huk silników, pracujących na coraz wyższych obrotach, Han kontynuował:

— IRD mają przewagę w rozwijaniu prędkości, ale nasi starzy „Łowcy Główni” są zwinniejsi i bardziej wytrzymali, o czym najlepiej świadczą te znajdujące się tutaj egzemplarze. Modele IRD są z natury mało aerodynamiczne. Ich piloci unikają jak ognia schodzenia w niższe warstwy atmosfery. W tym przypadku będą jednak musieli, bo ich celem jest zniszczenie bazy. A my musimy za wszelką cenę zatrzymać ich tam, w górze. Nie możemy ryzykować, że któryś zdoła się przedrzeć.

Mamy do dyspozycji sześć statków, czyli trzy zespoły po dwie maszyny. Jeżeli pod tymi hełmofonami zostało wam trochę rozumu, pamiętajcie o jednym: musicie się zawsze trzymać statku, który macie na skrzydle. Bez jego pomocy czeka was śmierć. Dwie współpracujące ze sobą jednostki są pięciokrotnie bardziej efektywne niż działające w pojedynkę, a wasze bezpieczeństwo wzrasta aż dziesięciokrotnie.

Myśliwce były gotowe do startu, z docierających informacji wynikało, że wróg jest już niedaleko. Han wiedział, że nie przekazał tym żółtodziobom nawet cząstki koniecznej wiedzy, ale czyż w ciągu dosłownie paru minut można przekazać doświadczenia nabywane latami?

— Nie będę się wdawał w szczegóły. Mieście oczy szeroko otwarte i uważajcie, by w nieprzyjaciela wycelować działa, a nie ogon swojej maszyny. Ponieważ bronimy urządzeń naziemnych, musimy zajeżdżić na śmierć naszych przeciwników. Znaczy to, że jeżeli nie jesteście pewni, czy wróg rzeczywiście atakuje, czy tylko udaje, siedźcie mu na ogonie, dbajcie o to, by nie schodził w dół, i starajcie się odciągać go w górę. Nie dajcie się nabrać na markowany lot nurkowy ani na tracenie mocy. To wszystko stare sztuczki. Jeżeli IRD na waszych oczach eksploduje lub stanie w płomieniach, możecie go zostawić własnemu losowi. W każdym innym przypadku gońcie go. Mamy zbyt wiele do stracenia.

Wypowiadając ostatnie zdanie, usiłował przekonać sam siebie, że jedynym motywem, jaki nim kierował przy podejmowaniu decyzji o uczestniczeniu w walce, był „Sokół”, a ci ludzie i cała reszta nie mieli dla niego żadnego znaczenia. Po prostu dbał o swoje interesy, nic ponadto.

Jessa podała mu hełmofon. Włożył go i stwierdził z zadowoleniem, że tym razem pasuje idealnie. Odwrócił się, by jej podziękować, i ze zdumieniem zauważył, że ona również ma na głowie hełm lotniczy.

— Och, nie, Jess. Co to, to nie.

Prychnęła pogardliwie.

— Po pierwsze, to moje jednostki. Doc uczył mnie latać, odkąd skończyłam pięć lat, wiem o nich wszystko. A po drugie, jak myślisz, kto szkolił tych pilotów? Oprócz ciebie nie ma tu nikogo, kto dorównywałby mi doświadczeniem.

— Loty szkoleniowe, to zupełnie co innego! — Obawiał się, że jej obecność tam, w górze, może być dla niego dodatkowym utrapieniem. — Wezmę Chewie’ego, wiesz, że on...

— Wspaniale, Solo! Chyba nie chcesz mi wmówić, że ten kudłacz, którego wszędzie ze sobą ciągniesz, może pilotować taki statek?

Han uległ, bo doszedł do wniosku, że z logicznego punktu widzenia rzeczywiście tylko ona może polecieć. Jessa zwróciła się do pozostałych pilotów.

— Solo ma rację, czeka nas ciężkie zadanie. Nie możemy wydać im tam, w górze, otwartej walki, bo mają w niej zdecydowaną przewagę, a jednocześnie nie możemy dopuścić, by znaleźli się blisko powierzchni planety. Nasza obrona naziemna nie dałaby rady całej eskadrze. Więc gdzieś tam, w górze, będziemy musieli stworzyć barierę nie do przebycia. Jeżeli uda nam się zająć ich przez jakiś czas, personel naziemny będzie miał szansę przeprowadzenia całkowitej ewakuacji. Włączamy do akcji „Sokoła” — powiedziała do Hana. — Wydałam rozkaz natychmiastowego doprowadzenia twojego statku do stanu gotowości. Musiałam skierować do niego dodatkowych ludzi, ale cóż, umowa jest umową. I powiadomiłam Chewie’ego o tym, co się wydarzyło.

Włożyła na głowę hełmofon.

— Han dowodzi. Ja wyznaczę skrzydłowych. Ruszamy!

Z piskiem i świstem sześcioro „Łowców Głównych” Z-95 jak sześć ostrych strzał wzniosło się w przestworza. Han opuścił na oczy lekko przyciemnioną osłonę przeciwsłoneczną. Ponownie sprawdził uzbrojenie, na które składały się po trzy blastery na każdym skrzydle. Zadowolony z ich stanu, manewrował w ten sposób, by jego skrzydłowy przez cały czas znajdował się nieco powyżej i w tyle. Usadowiony wygodnie w „klubowym” fotelu kabiny pilota miał znakomitą widoczność w promieniu prawie trzystu sześćdziesięciu stopni, co było najcenniejszą zaletą modelu Z-95.

Ostaniał go samolot prowadzony przez szczupłego, spokojnego mężczyznę. Han

miał nadzieję, że kiedy zacznie się prawdziwy „pokaz”, pilot nie zapomni wcześniej udzielonych mu wskazówek.

Pomyślał: „pokaz” — to słowo było często używane w żargonie pilotów bojowych. Nie przypuszczał, że jeszcze kiedyś będzie je stosował, i to w sytuacji, która wymagała maksymalnej koncentracji, zimnej krwi, panowania nad podkomendnymi, wrogami i własnym statkiem. A jeżeli coś pójdzie nie tak, może to być ostatni w jego życiu „pokaz”.

Poza tym uważał, że „pokaz” to domena bardzo młodych ludzi. Myśliwce wyposażone były jedynie w najprostsze urządzenia nawigacyjne i bojowe, umożliwiające dotarcie do celu i uczestnictwo w walce, ale nie dające możliwości raptownych przyspieszeń i skomplikowanych manewrów. Te niedoskonałości trzeba było nadrabiać młodzieńczym refleksem, odwagą i brawurą.

Kiedyś Han jadał i spał podczas lotów na dużych prędkościach. Jego nauczycielami byli ludzie, którzy poświęcili temu całe życie. Nawet gdy nie był na służbie, ćwiczył koordynację i zdolność utrzymywania równowagi. Pijał stojąc na głowie, potrafił owinąć się kocem i grać w strzałki, wisząc swobodnie w stanie nieważkości. Pilotował identyczne jednostki, podobne oraz całkiem inne, o wiele szybsze i bardziej zwrotne.

Kiedyś, dawno temu. Nie był jeszcze stary, ale od wielu lat nie latał już na tego typu myśliwcach. Eskadra „Łowców Główn” rozbiła się na grupy po dwie maszyny każda. Han mocniej ujął stery.

Piloci złożyli skrzydła myśliwców, by zredukować tarcie. Zakrzywione skrzydła automatycznie wykonały manewr i „Łowcy Główn” lecieli teraz pełną mocą silników. Piloci chcieli zmierzyć się z najeźdźcami na granicy atmosfery.

— Dowódca eskadry — zameldował Han — do eskadry: kontrola radiofonów.

— Zgłasza się Łowca Główn Dwa. — To był głos jego skrzydłowego.

— Łowca Główn Trzy: sprawdzam — usłyszał czysty alt Jessy.

— Łowca Główn Cztery: wszystko w porządku — zameldował osłaniający Jessę pilot, szaroskóry humanoid z Lafry, którego ciało pokryte było licznymi bliznami, świadczącymi o tym, że brał udział w niejednej potyczce.

Jak się okazało, miał już na swoim koncie czterominutową walkę, co było dobrym znakiem. Najczęściej niedoświadczeni piloci byli eliminowani w ciągu pierwszych sześćdziesięciu sekund.

Zgłosili się Łowcy Główn Pięć i Sześć — dwaj dobrzy strzelcy Jessy, a na dodatek bracia. Wiadomo było od początku, że to właśnie oni polecą na skrzydle. Pozostawali nierozłączni w każdej sytuacji, więc przydzielenie ich do kogokolwiek tylko utrudniałoby sytuację.

Zgłosiła się kontrola naziemna.

— Do eskadry „Łowców Główn”: w ciągu dwóch minut wróg znajdzie się w polu widzenia.

Han wydał rozkaz zwania szyku.

— Trzymajcie się parami. Jeżeli będą chcieli bezpośredniej walki, podejmijcie ją. Możecie uderzyć z równą siłą.

Pomyślał, że lepiej nie wspominać o tym, że przyjdzie im się zmierzyć ze statkami mającymi o wiele większy zasięg. Rozkazał braciom, Piątce i Szóstce, trzymać się z tyłu i pilnować, by żaden wrogi myśliwiec nie przedarł się przez linię ich obrony. Dwie pozostałe pary rozłączyły się na maksymalną, umożliwiającą wzajemny kontakt, odległość. W chwilę później, kiedy czujniki myśliwców obydwu stron wykryły obecność maszyn przeciwnika, natychmiast włączyły się systemy zagłuszające i fałszujące dane. Han doskonale wiedział, że przyjdzie im polegać wyłącznie na własnym wzroku — cała, wysoce skomplikowana aparatura wykrywająca była już w tej chwili bezużyteczna.

Na monitorach bliskiego zasięgu zapaliły się trzy ostrzegawcze światełka.

— Przełączyć się na naziemne systemy kontrolne — rozkazał Han.

Światełka zgasty. Mieli teraz przed sobą zupełnie czyste, ciemne monitory, a to zwalniało pilotów od obowiązku odszyfrowywania zapisów, co zawsze odwracało uwagę od atakowanego z bliska celu.

— To oni! — krzyknął ktoś. — Kierunek jeden-zero-dwa-pięć.

Nieprzyjacielskie statki były to rzeczywiście IRD o nieco cebulowatych w kształcie kadłubach i charakterystycznych dla

najnowszych modeli bojowych komorach silnikowych. Wszystkie okazały się maszynami eksperymentalnymi. Na oczach Hana wroga eskadra rozdzieliła się na dwie dwustatkowe grupy.

— Uważajcie, rozdzielają się! — wrzasnął Han. — Brać ich!

Poprowadził skrzydłowych wprost na myśliwce nieprzyjaciela, podczas gdy Jessa i osłaniający ją humanoid usiłowali zaatakować wroga z lewej strony.

Z eteru dobiegały ostrzegawcze okrzyki. Piloci Espo zlekceważyli manewr obronny eskadry Hana i lecieli prosto na ich spotkanie, dążąc do bezpośredniej konfrontacji. Han pomyślał, że otrzymali rozkaz zadania możliwie najcięższych strat tym wyjętym spod prawa maszynom.

Wrogie myśliwce otworzyły zielonożółty ogień dalekiego zasięgu, który dobywał się z miotaczy energii, umieszczonych w podwoziach samolotów. Osłony deflektorowe na razie spełniały swoje zadanie. Han zaciskał zęby, trzymał palec na dźwigni ze spustem, ale jeszcze nie otwierał ognia. Przez chwilę kusiło go, aby odwrócić się w fotelu i zobaczyć, jak radzi sobie druga para pilotów. Zdani byli wyłącznie na własne siły. Mógł tylko mieć nadzieję, że będą trzymać się razem, gdyż oderwanie od grupy w takiej sytuacji równałoby się niechybnej śmierci.

Han i dowódca wrogiej eskadry zmierzali ku nieuchronnemu starciu. Skrzydłowi, zajęci utrzymywaniem maszyn w odpowiedniej pozycji i wykonywaniem rozkazów swoich dowódców, nie mieli na razie czasu na strzelanie.

Nagle nieprzyjacielski myśliwiec zasypał maszynę Hana gradem pocisków. Szczęściem Hanowi udało się nieco zbliżyć do wroga, nie otwierając ognia. Możliwe, że pilot Espo nie znał dokładnie zasięgu rażenia starego modelu Z-95, ale Han domyślał się, jaka może być jego reakcja, kiedy „łowca Główny” zacznie strzelać. Zręcznie manewrując statkiem wśród eksplodujących pocisków, starał się zyskać nieco na czasie i modlił się w duchu, by osłony starego myśliwca wytrzymały.

Bawił się tak dłuższą chwilę i udało mu się tym sposobem zyskać parę dodatkowych sekund, żeby podprowadzić statek na odpowiednią odległość. Wystrzelił. Wróg wcale nie zamierzał dać się łatwo zniszczyć, czego można się zresztą było spodziewać. IRD, nie przerywając ognia, przekreślił się podwoziem do góry i Han miał okazję oddać wymarzony strzał. Lecz wrogi myśliwiec, chroniony przez własne pole, zatoczył pętlę i jak duch zawrócił, toteż Han wiedział, że nie wyrządził mu większej szkody. A poza tym maszyny rządowych okazały się szybsze, niż sądził.

W chwilę później wszelkie plany i taktyka Hana wzięły w łeb, ponieważ, na przekór wszelkiej logice i przewidywaniom, eskadra IRD rozpierzchnęła się, a skrzydłowy espowiec poszybował swą maszyną w nieznaną. Osłaniający Hana pilot, niepomny wskazówek swego dowódcy, podążył za nim.

Han natychmiast rozkazał mu zawrócić i nie ryzykować utraty przewagi, jaką dawała walka parami.

Dowódca eskadry IRD skierował swój myśliwiec nieco w dół. Han pojął intencje wroga — zaatakować od tyłu, co praktycznie równało się śmierci przeciwnika. Han, dysponując

o wiele wolniejszym samolotem, mógł tylko uciekać w przestworza, a potem opanować sytuację. Ale dobiegająca go z eteru wymiana zdań pomiędzy Jessą a jej skrzydłowym uświadomiła mu, że druga para wrogich myśliwców również się rozpierzchła, usiłując oderwać Jessę od jej towarzysza.

Han maksymalnie zadarł dziób maszyny, ogarniając wzrokiem cały obszar walki i jednocześnie wrzasnął do swego skrzydłowego:

— Trzymaj się mnie! Chcą cię wciągnąć w pułapkę! Ale pilot zlekceważył jego ostrzeżenie.

W tym momencie strategia zmiażdżenia ich eskadry była już całkowicie jasna. Zbyt późno. Myśliwiec pilotowany przez dowódcę wrogiej eskadry wykonał gwałtowny zwrot, następnie półpętlę, i od tyłu zdążył w kierunku skrzydłowego Hana. Drugi wrogi samolot, ten, który po mistrzowsku wciągał niedoświadczonych pilotów w pułapkę, sunął w kierunku Łowców Głów Pięć i Sześć. Dołączył do niego myśliwiec atakujący Jessę i jednostki stworzyły nową formację dwójkową.

Espowcy liczą głównie na brak doświadczenia młodych pilotów — pomyślał Han.

— Gdybyśmy trzymali się razem, zmietlibyśmy ich bez problemu.

— Jess, do diabła, rozbili nas! — krzyknął, podążając w jej kierunku.

Ale Jessa miała własne kłopoty. Ponieważ ona i jej skrzydłowy zostali rozdzieleni, jeden z myśliwców IRD mógł bezkarnie sięść na ogonie jej maszyny.

Kątem oka Han dostrzegł, że jego skrzydłowy był także w tarapatkach, ale z powodu niewielkiej prędkości swego statku Solo nie mógł nic na to poradzić. Dowódca wrogiej eskadry mknął w morderczym pościgu za nowicjuszem, który błagalnym głosem wzywał:

— Pomóżcie mi! Uwolnijcie mnie od niego!

Mimo dużej odległości Han zdecydował się na otwarcie ognia, mając nadzieję, że uda mu się tym sposobem odwrócić uwagę atakującego. Wróg był jednak twardy i nieustępliwy. Bezbłędnie wycelował, po czym nacisnął odpowiedni guzik na tablicy rozdzielczej. Rażące, żółtozielone strumienie energii dosięgły ściganego i w chwilę później maszyna runęła w dół, otoczona kłębamii białego dymu i kawałkami kadłuba.

Hanowi pozostało już tylko jedno wyjście — utworzyć z pozostałych maszyn formację obronną w kształcie koła. Przeklinając w duchu bezwzględność wroga, zapominając o zdrowym rozsądku i rozwadze, podążył śladem dowódcy espowców. Jeszcze nikt nigdy bezkarnie nie zaatakował mojego pilota skrzydłowego. Nikt!

Przyszło mu do głowy, że nawet nie znał imienia nieszczęsnego chłopca.

Skrzydłowy Jessy, Lafrańczyk, zakrzyknął:

— Łowca Głów Trzy, skręcaj w prawo! W prawo! Umiejętnie manewrując statkiem, Jessa w ostatniej chwili zdołała uniknąć śmiertelniego trafienia. Maksymalnie zwiększyła prędkość, podczas gdy jej pilot skrzydłowy wykonał raptowny zwrot, po czym zwolnił i ustawił się w pozycji strzeleckiej, tuż za ogonem myśliwca, podążającego w ślad za Jessą. Lafrańczyk wyrównał lot maszyny, przyspieszył i otworzył ogień.

Działa bluznęły czerwonym ogniem. Trafiony IRD stracił sporą część kadłuba, na pokładzie nastąpiła eksplozja, po której runął w dół, ku planecie, skazany na śmierć przez siłę grawitacji.

W dole, piloci Łowców Głów Pięć i Sześć, owi dwaj bracia, starali się maksymalnie angażować siły wroga. W pewnej odległości od nich Han Solo i dowódca eskadry Espo to zbliżali się do siebie, to oddalali, od czasu do czasu wystrzelijując czerwono i zielono błyskające wiązki. Przygotowywali się do ostatecznej konfrontacji.

Jessa była jednak dobrze zorientowana w możliwościach swych pilotów i zdawała sobie sprawę z tego, że Piątka i Szóstka należą do najsłabszych punktów obrony. Już

parokrotnie prosili o posiłki. Wraz ze swym skrzydłowym-humanoidem podążyła im na pomoc.

Jeden z wrogich samolotów atakował Piątkę i mimo rozpaczliwych uników i manewrów osaczonego, nie dawał się zbić z tropu. Pilotujący „Łowcę Główn” mechanik robił wszystko, by oderwać się od ścigającego go myśliwca, ale jego statek był zbyt wolny, więc wszelkie próby kończyły się niepowodzeniem. W końcu wrogie pociski dosięgły kadłuba i poważnie uszkodziły całą konstrukcję. Kabina uległa dekompresji. Uszkodzona maszyna poszybowała w stronę planety i tajnej bazy, a prześladowca ruszył na spotkanie drugiego z braci.

Jessa i jej pilot skrzydłowy lecieli na pomoc Szóstce, wzywając ją do schronienia się pod ich osłoną.

— Nie mogę! Dostał mnie! — krzyknął pilot. Pozostający dotychczas z tyłu myśliwiec, gdy skończył robić beczkę, zdołał zahaczyć „Łowcę Główn” wiązką promieni. W asyście Jessy i jej towarzysza ścigające się statki poszybowały w kierunku powierzchni planety.

Śmiercionośna salwa padła w chwilę później. „Łowca Główn” Sześć eksplodował w chwili, gdy pilot skrzydłowy Jessy zamierzał otworzyć ogień osłonowy.

Myśliwiec Espo raptownie zwiększył prędkość i wzniósł się, jakby zamierzał wykonać pętlę, co zmyliło Lafrańczyka. W ostatnim momencie pilot zrezygnował z wykonania manewru, zmienił kierunek lotu i otworzył ogień ze wszystkich dział deflektorowych. Lecący tuż obok Jessy „Łowca Główn” zadrżał, gdy dziewczyna podniosła głos do krzyku i raptownie zboczyła z kursu. Wprowadziła maszynę w gwałtowny przechył, ale nadal czuła tuż za plecami obecność nieprzyjaciela. Wypaliła w jego kierunku prawie na oślep. Strzał był celny, uszkodzony statek pozostał daleko w tyle, a jego pilot za wszelką cenę starał się wyrównać lot, by nie doprowadzić do katastrofy. Puściwszy mimo uszu przekazane jej przez Hana gratulacje, Jessa skierowała swą maszynę w kierunku myśliwca Lafrańczyka.

Statek był uszkodzony, ale nie zagrażało mu większe niebezpieczeństwo; wysunąwszy w pełni skrzydła, lotem ślizgowym opadał ku powierzchni planety.

— Dasz sobie radę?

— Tak, Jess. Ale co najmniej jeden zdołał się przedrzeć. Drugi może do niego dołączyć.

— Sprowadź statek do bazy. Zajmę się tym.

— Dobrych łowów, Jess. Zwiększyła moc silników.

Już na samym początku walki Han zorientował się, że dowódca wrogiej eskadry jest znakomitym pilotem. Przekonał się o tym, gdy tamten o mały włos nie odstrzelił spod niego fotela.

Pilot Espo był odważny, precyzyjnie operował bronią i sprawnie wykonywał manewry. Wkrótce rozpoczęli żaartą walkę na śmierć i życie. Robili beczki i pętle, byle tylko wejść na kurs przeciwnika, wchodzili na pozycje dogodne do strzału, schodzili z nich. I tak to trwało, ale nigdy nie prowadzili ciągłego ognia.

Han już trzykrotnie wymknął się wrogiemu myśliwcowi, wykorzystując większą zwrotność swego statku przeciwko większej szybkości IRD. Obserwował, jak wróg po raz kolejny próbuje go dostać.

— Pewnie należysz do miejscowych asów — mruknął pod nosem. — Dobrze, niech ci będzie. Zobaczmy, na co cię naprawdę stać.

Skierował swego Z-95 lotem nurkowym w spowijające planetę gęste warstwy atmosfery i udało mu się nieco oderwać od wroga. Ten podążył jego śladem, lecz choć stracił Hana z pola widzenia, nadal atakował. Nie widząc przeciwnika, Han zadął dziób maszyny, wykonał półpętlę, obrócił samolot o sto osiemdziesiąt stopni i, wykonawszy tym razem pełną pętlę, wyrównał lot, po czym posuwał się w przeciwnym kierunku.

Wiązka energii z dział pokładowych wroga minęła jego statek dosłownie o milimetry. On jest faktycznie niezły — pomyślał Han. — Ale musi się jeszcze sporo nauczyć. Nie wszystkiego ucza w szkołach.

Han przeszedł w lot nurkowy. Myśliwiec IRD trzymał się blisko, jednak nie na tyle, by zdołać przyciągnąć go wiązką promieni. Solo zwiększył prędkość statku do maksimum, pikując i manewrując maszyną tak, aby unikać trafienia. Silniki „Łowcy” wyły i jęczały, a każda część trzęsła się i drgała, jakby cudem utrzymywała się na właściwym jej miejscu. Han nacisnął parę guzików i przez chwilę wpatrywał się w przekazywane przez kontrolę naziemną dane. Wystrzeliwane przez wroga pociski eksplodowały coraz częściej i coraz bliżej starego myśliwca.

Wreszcie nadszedł moment, którego Han od dawna się spodziewał. Przystąpił do wyprowadzania samolotu z lotu nurkowego, lekko unosząc dziób statku i modląc się w duchu, by wróg nie trafił go właśnie teraz, niwecząc tym samym wszystkie jego plany i nadzieje.

Jednak pilot myśliwca IRD jeszcze czekał, by nie stracić okazji. Cekał, aż cała sylwetka Z-95 ukaże się w jego celowniku. Han uśmiechnął się do siebie i pomyślał: Chyba chce, aby to był naprawdę ostatni strzał.

Myśliwiec Hana raptownie zmienił kurs, zmuszając nieprzyjaciela do ruszenia w pościg. Skręcał jeszcze parokrotnie, za każdym razem szybciej i pod ostrzejszym kątem, jednak jego prześladowca nie dał się zbić z tropu. Chciał wreszcie zakończyć walkę i udowodnić, który z nich jest lepszy.

Wtedy właśnie Han wykonał manewr, do jakiego przygotowywał się od dłuższego czasu — ostry skręt, prawie pod kątem prostym. Pilot Espo, zaniedbawszy kontrolę wysokościomierza, znalazł się nagle w gęstych warstwach atmosfery, a to bardzo niekorzystnie odbiło się na zwrotności jego statku. Tym razem nie zdołał skierować maszyny śladem „Łowcy Główny”.

Widząc, że przeciwnik przerwał na chwilę pościg, Han pod wpływem instynktu, który przyniósł mu sławę telepaty, poderwał statek pionowo w górę. Nieprzyjaciel był teraz na tyle blisko, że nie mógł już umknąć. Han pchnął dźwignię i wszystkie działa „Łowcy Główny” wypaliły jednocześnie, zamieniając supernowoczesny myśliwiec Espo w odłamki żelastwa i spowijając go gęstą, białą chmurą dymu.

— Wszystkiego najlepszego, frajerze! — wrzasnął radośnie Han, oddalając się z miejsca walki.

Tymczasem czwarty nieprzyjacielski myśliwiec trzykrotnie zbombardował już teren bazy. Znajdujące się tam działa stanowiły niewielką ochronę przeciwko tak małemu obiektowi — instalowane były raczej z myślą o zmasowanych atakach dużych bombowców.

Podczas pierwszego podejścia espowiec skoncentrował się głównie na unieszkodliwieniu obrony naziemnej. Teraz większość stanowisk artyleryjskich milczała. Wśród zgłiszcz leżeli martwi lub ciężko ranni członkowie personelu bazy.

Właśnie wtedy na horyzoncie ukazał się myśliwiec Jessy. Utrzymywała stały pułap lotu, a potem nie zważając, że delikatnemu w sumie Z-95 mogą odpaść skrzydła, z furją pikowała w górę, wprost na nieprzyjaciela. Ci ludzie w dole znaczyli dla niej bardzo wiele, cierpieli i ginęli tylko dlatego, że pracowali dla niej. Była zdecydowana nie dopuścić do następnych strat.

Kiedy udało jej się zrównać z wrogim statkiem, została ostrzelana przez nadlatujący myśliwiec Espo. Prawe skrzydło „Łowcy” uległo uszkodzeniu. Dopiero teraz Jessa zorientowała się, że zaatakował ją statek, który przedtem uznała za unieszkodliwiony. Wysłane w jej kierunku promienie zdołały przebić się przez tarcze ochronne i o mało nie oderwały skrzydła.

Jessa nie zważała jednak na to, zdecydowana zniszczyć przynajmniej jednego przeciwnika, zanim sama zginie.

Teraz celem stał się drugi IRD. Han wysłał w jego kierunku potężną wiązkę promieni. Opłacało się, bo statek zatrząsł się i, pikując w dół, zniknął z pola widzenia.

— To ostatni, Jess! — poinformował dziewczynę. — Dalej, ruszaj na niego!

Po raz kolejny zbliżyła się do nieprzyjacielskiej maszyny. Wypaliła, ale tylko z działek pokładowych, bo uszkodzone skrzydło zablokowało pozostałe. Cel znajdował się z prawej strony, więc chybiła.

Pilot Espo natychmiast zrozumiał, jak ogromnie zmalowały jej szanse. Spróbował ataku od strony, z której nie mogła się bronić. Jessa poderwała dziób statku, obróciła maszynę o sto osiemdziesiąt stopni i ponownie przesunęła dźwignię aktywizującą działa. Tym razem czerwone promienie dosięgły wroga; trafiony myśliwiec stanął w płomieniach i w chwili później z oguszającym hukiem eksplodował.

— Wspaniały strzał, laleczko! — wykrzyknął Han. Wciąż odwrócony statek Jessy leciał teraz tuż nad ziemią.

Widząc co się dzieje, Han maksymalnie zwiększył prędkość i podążył za nią.

— Jess, lecisz w nienaturalnej pozycji!

— Nie mogę się odwrócić! — krzyknęła z rozpaczą. — Widocznie uszkodzenie spowodowało jakieś zwarcie. Żadne wskaźniki nie działają!

Już miał jej doradzić katapultowanie się, ale zdał sobie sprawę z tego, że znajdowała się zbyt blisko powierzchni planety i podczas manewru nie zdołałaby się utrzymać w prawidłowej pozycji. Jej statek nieustannie tracił wysokość. Pozostały im już tylko sekundy.

Podjął decyzję i leciał teraz równoległe do uszkodzonego myśliwca Jessy.

— Jess, przygotuj się do opuszczenia statku na mój sygnał. Była zdumiona. O czym on myśli? Przecież i tak czeka ją niechybna śmierć w czasie kraksy czy podczas katapultowania. Ale przygotowała się do tego, by wykonać jego polecenie. W tej samej chwili skrzydło myśliwca Hana znalazło się tuż pod obróconym do góry skrzydłem statku Jessy. Dziewczyna pojęła jego plan i serce podeszło jej do gardła.

— Bądź gotowa na „trzy” — rzucił. — Raz! — Maksymalnie zbliżył się do skrzydła jej myśliwca. — Dwa!

Obydwoje byli świadomi tego, że za najmniejszy błąd przyjdzie zapłacić życiem obydwójga.

W tej właśnie chwili Han obrócił swój myśliwiec o dziewięćdziesiąt stopni w lewo, zmieniając tym samym położenie maszyny Jessy. Świat zawirował przed oczami dziewczyny i wszystko zdawało się kręcić jak na karuzeli.

— Trzy! Wskakuj, Jess! — krzyknął Han, desperacko walcząc o odzyskanie kontroli nad własnym statkiem.

Jessa nacisnęła dźwignię awaryjną i w tej samej chwili znalazła się razem z fotelem poza maszyną. W parę sekund później „Łowca Głów” zarył nosem w powierzchnię planety, pozostawiając za sobą głęboką, rozoraną bruzdę.

Jessa obserwowała zagładę swego myśliwca, siedząc wygodnie w fotelu, który powoli, niczym dziwny spadochron, opadał na powierzchnię. Nieco dalej Lafrańczyk przygotowywał do lądowania swój uszkodzony myśliwiec.

Han zdołał zapanować nad maszyną, skręcił w kierunku Jessy i wylądował w pobliżu w chwili, gdy repulsorowy fotel wraz z pasażerką dotykał ziemi.

Wierząca kabinę przejrzysta kopuła rozwarła się. Han zdjął hełmofon i zeskoczył na ziemię, podczas gdy Jessa, uwolniwszy się z pasów, z niedowierzaniem przyglądała się swoim cudem ocalałym rękom i nogom.

Powolnym krokiem, ściągnąjąc po drodze rękawice, Han podszedł do dziewczyny.

— W moim statku jest dosyć miejsca dla dwojga — oznajmił.

— Czyżbyśmy po raz pierwszy mieli okazję zobaczyć Hana Solo, który nie robi czegoś z czystego egoizmu? Niewieściejesz? Kto wie, może przyjdzie taki dzień, kiedy staniesz się porządnym człowiekiem z zasadami, oczywiście jeżeli się ockniesz i zmądrzejesz.

Zatrzymał się, a jego twarz raptownie spochmurniała.

— Wiem już wszystko, co można wiedzieć na temat moralności, Jess. Miałem kiedyś przyjaciela, któremu wydawało się, że postępuje zgodnie z zasadami. Złe na tym wyszedł. Stracił wszystko: dziewczynę, szansę kariery. Skończyło się to tak, że pozbawiono go wszelkich dystynkcji i wszyscy, cała planeta, wyśmiewali się z niego. Opuścił to miejsce i dotychczas tam nie powrócił.

Jego twarz wykrzywił trudny do określenia grymas.

— Czy nikt nie stanął w obronie twego przyjaciela? Zaśmiał się gorzko.

— Dowódca fałszywie go oskarżył. Był tylko jeden świadek jego niewinności, ale przecież nikt nie uwierzyłby Wookie'emu.

By uniknąć dalszych pytań, rozejrzał się i rzekł:

— Wygląda na to, że główny hangar jest nienaruszony. Możecie dokończyć naprawę „Sokoła” i zdążyć z ewakuacją, zanim przybędą espowcy. Do tego czasu mnie tu już nie będzie. Mamy zatem sporo do zrobienia.

Mrugnęła porozumiewawczo i uśmiechnęła się do niego filuternie.

— Dobrze, że wiem, jaki jesteś chciwy. Dobrze, że wiem, że pomagałeś nam tylko dlatego, by chronić statek, a nie ludzi. No, a ponieważ i mnie ocaliłeś, mogę dotrzymać naszej umowy. Dobrze, że wiem, że nie robisz niczego bezinteresownie i wszystko, czego dzisiaj dokonałeś, jest tylko dziwną konsekwencją twojego modelu życia.

Spojrzał na nią z zaciekawieniem.

— Dobrze?

Zmęczonym krokiem ruszyła w kierunku jego myśliwca.

— Dobrze dla mnie — rzuciła przez ramię.

ROZDZIAŁ V

— Co mówisz, Bollux? Skończ wreszcie z tym szeptaniem.

Han uniósł wzrok znad planszy gry, rozłożonej pomiędzy nim a Chewbaccą, i spojrzał w kierunku niewielkiego okratowanego luku bagażowego znajdującego się w przedniej części „Tysiącletniego Sokoła”, gdzie umieszczony był stary android. Oprócz robota znajdowały się tam puste kontenery, beczki ciśnieniowe, kanistry i liczne części zapasowe.

Wookie, usadowiony na łagodzącej skutki przyspieszenia kanapie, podpierając głowę na ogromnej, włochatej ręce, uważnie studiował na hologramie położenie pionków. Zmrużył oczy w zamyśleniu i nerwowo poruszał czarnymi nozdrzami. Zauważył dwa pionki Hana i zamierzał właśnie wykorzystać nadarżającą się sposobność. Solo był raczej kiepskim graczem, a na domiar złego komplikacje i dziwny przebieg dotychczasowej podróży utrudniały mu koncentrację. Nowy system wykrywający i antena paraboliczna sprawowały się na razie bez zarzutu, a urządzenia nawigacyjne zostały znakomicie dostrojone przez mechaników Jessy. Ale Wookie markotniał, ilekroć pomyślał o dodatkowej konstrukcji maskującej, w której „Sokół” tkwił jak insekt w piórach ptaka. Podróż zabierała im o wiele więcej czasu niż zazwyczaj, gdyż transportowce nie były przystosowane do rozwijania zbyt dużych prędkości.

Han przez cały czas słyszał huczące głośno silniki barki transportowej, odczuwał wibracje, które zdawały się przenikać przez podłogę jego statku i podeszwy jego butów do wnętrza ciała. Z nienawiścią myślał o maszynie maskującej „Sokoła”, chwilami pragnął zrzucić tę osłonę i po prostu zniknąć gdzieś w przestrzeni. Jednak umowa była umową, a poza tym, jeśli wierzyć zapewnieniom Jessy, przepustkę dla „Sokoła” zdobyli ludzie, których miał wywieźć z Orrona III. Już sam ten fakt decydował o tym, że nie mógł się wycofać.

— Nic nie mówiłem, proszę pana — odparł Bollux uniżenie. — To Max.

— W takim razie, co on mówił? — warknął Han. Roboty czasami porozumiewały się ze sobą za pomocą impulsów o dużej częstotliwości kodujących informacje, ale zdecydowanie preferowały rozmowę z użyciem dźwięku. Hana irytował głos dobiegający z bliżej nie określonego źródła, umiejscowionego gdzieś w głębi korpusu Bolluxa.

— Poinformował mnie, kapitanie — odrzekł Bollux, śmiesznie przeciągając każdą zgłoskę — że życzy sobie, abym otworzył swój plastron. Czy mogę?

Han powrócił do gry i spostrzegł zastawioną przez Chewbaccę sprytną pułapkę. Niepewnie przebierał palcami po klawiaturze poruszającej pionkami i w zamyśleniu odparł:

— Oczywiście, oczywiście, możesz się trochę przewietrzyć, Bollux.

Spojrzał krzywo na Wookie'ego, widząc, że nie ma wyjścia ze stworzonej przez niego na planszy sytuacji. Chewbacca odrzucił do tyłu rudobrazową głowę i wybuchnął donośnym, szczerym śmiechem, ukazując przy okazji wystające kły.

Z cichym sykiem uciekającego powietrza na piersi Bolluxa rozwarł się hermetyczny i odporny na wstrząsy plastron. Z wnętrza wychylił się czerwony obiekt i najwyraźniej przypatrywał się planszy, oceniając posunięcia graczy. Pionek Hana, będący trójwymiarową miniaturą jakiegoś dziwnego potwora, rzucił się do walki przeciwko pionkowi Chewie'ego. Jednak Solo mylnie ocenił swoje szanse. Po krótkiej walce jego potwór został pobity i zniknął z planszy w nicości komputera, z której przyszedł.

— Powinien pan skorzystać z drugiego typu Obrony Ilthmar — stwierdził autorytatywnie Błękitny Max.

Han poderwał się z fotela i z wściekłością zwrócił się ku robotowi. Max, przeczuwając, co się może stać za chwilę, dorzucił pospiesznie:

— Próbuję panu doradzić.

— Błękitny Max jest zupełnie nowy i bardzo młody, kapitanie — rzucił Bollux, starając się nieco ułagodzić Hana. — Uczyłem go gry, ale obawiam się, że wciąż wie zbyt mało na temat ludzkiej wrażliwości.

— Czyżby? — zapytał nieco zdziwiony Han. — Więc to ty go uczysz?

— Oczywiście — wybełkotał Max. — Bollux był wszędzie. Siedzimy i rozmawiamy przez cały czas, a on opowiada mi o miejscach, które widział.

Han wduśił główny przycisk, wymazując z planszy swoje pokonane statki i potwory oraz te zwycięskie, należące do Chewie'ego.

— Naprawdę? Należałoby to spisać w formie pamiętnika i zatyłować: „Moje podróże po galaktykach. Instruktaż dla nowicjuszy”.

— Powołano mnie do życia na jednym ze statków wojennych, strzegących granic systemu Fondor — wyjaśnił Bollux. — Potem przez jakiś czas pracowałem dla zespołu badawczego Grupa Alfa, a następnie służyłem w ekipie zajmującej się kontrolą warunków atmosferycznych. Byłem robotnikiem portowym przy Wędrowniej Menażerii Gana Jana Rue i pomocnikiem konserwatora na Założycielach Trigdale. Wykonywałem też inne prace. Jednakże na skutek wprowadzania coraz to nowych robotów nigdzie nie mogłem długo zagrać miejsca. Zgłaszałem się na ochotnika do wszelkich możliwych modyfikacji i przeprogramowań, ale w końcu nie wytrzymałem konkurencji bardziej nowoczesnych i

pojętnych robotów.

— Jak to się stało, że Jessa właśnie ciebie wybrała na tę wyprawę? — spytał Han, zaintrygowany opowieścią Bolluxa.

— To nie ona mnie wybrała, proszę pana. Poprosiłem ją o to. Krążyły plotki, że jeden z robotów wykonujących najprostsze prace będzie poddany jakimś bliżej nie określonym modyfikacjom. Znajdowałem się wśród nich, ponieważ poprzedni właściciel sprzedał mnie za grosze na otwartej aukcji. Udałem się więc do pani Jessy z zapytaniem, czy mógłbym się do czegoś przydać.

Han zarechotał.

— I dlatego rozłożyli cię na części, usunęli co trzeba i zamontowali w środku tego drugiego. I ty to nazywasz umową?

— Oczywiście, ma to pewne wady. Ale dzięki temu nadal jestem do czegoś przydatny, a poza tym trochę się unowocześniłem. W końcu na pewno znalazłbym jakąś pracę, kapitanie, nawet gdyby to miało być odgarnianie śmieci i biologicznych odpadów gdzieś na planetach zacofanych pod względem technicznym, ale tym sposobem udało mi się uniknąć starzenia się. Przynajmniej przez jakiś czas.

Han z niedowierzaniem patrzył na robota, zastanawiając się, czy przypadkiem obwody Bolluxa nie zwariowały.

— Co z tego, Bollux? O czym ty właściwie mówisz? Przecież nie jesteś panem samego siebie. Nie masz nawet imienia, za każdym razem programujesz się na imię wymyślone przez kolejnego właściciela. W końcu staniesz się bezużyteczny i tak czy inaczej wylądujesz na złomowisku.

Chewbacca uważnie przysłuchiwał się wywodowi Hana. Był o wiele starszy od ludzi i jego punkt widzenia siłą rzeczy różnił się od punktu widzenia człowieka... czy androida.

— Starzenie się dla robota jest prawie tym samym co śmierć dla człowieka czy Wookie'ego.

— Powolność formułowania słów sprawiała, że głos Bolluxa brzmiał pogodnie. — Oznacza koniec funkcjonowania, co jest równoznaczne z końcem jakiegokolwiek znaczenia. Moim zdaniem, kapitanie, należy tego za wszelką cenę uniknąć. Poza tym jaki jest sens istnienia, jeżeli nie dąży się do żadnego celu?

Han poderwał się na równe nogi, nie wiedzieć dlaczego rozwścieczony dyskusją z tą stertą złomu. Postanowił powiedzieć Bolluxowi wprost, czym jest naprawdę stary, zużyty robot pomocniczy.

— Bollux, czy zdajesz sobie sprawę z tego, czym ty naprawdę jesteś?

— Tak, proszę pana, jestem przemytnikiem — odparł pośpiesznie Bollux.

Odpowiedź zaskoczyła Hana do tego stopnia, że przez chwilę nie był zdolny wykrztusić słowa. Wydawało mu się, że nawet robot powinien zrozumieć, że to było pytanie retoryczne.

— Co powiedziałeś?

— Powiedziałem: „Tak proszę pana, jestem przemytnikiem” — wycedził Bollux. — Tak jak pan. Jestem istotą zajmującą się nielegalnym wywozem lub przywozem — tu wskazał na Błękitnego Maxa, ukrytego w głębi klatki piersiowej — towarów zakazanych.

Chewbacca ryknął dzikim śmiechem i trzymając się za brzuch, parokrotnie zwinął się na kanapie i fikał nogami z uciechy.

Han był już porządnie wściekły.

— Zamknij się! — wrzasnął w kierunku Bolluxa.

Robot we właściwy sobie sposób zrozumiał polecenie dosłownie i zamknął plastrony. Chewbacca dusił się ze śmiechu, aż łzy płynęły mu po policzkach. Rozwścieczony Han rozglądał się gorączkowo w poszukiwaniu łomu, młotka lub innego ciężkiego narzędzia, zdecydowany unieszkodliwić na zawsze złośliwego robota i pozbyć się tym samym

świadka swojej kompromitacji. Nagle komputer nawigacyjny zahuczał ostrzegawczo. Han i Chewbacca natychmiast podążyli do sterowni. Wookie rozcierając obolałe od śmiechu mięśnie brzucha, zaczął przygotowywać statek do powrotu w normalną przestrzeń.

Męcząca, długotrwała podróż w kierunku Orrona III dała się im mocno we znaki. Zarówno Solo jak drugi pilot byli szczęśliwi, widząc pojawiające się na horyzoncie gwiazdy, bo był to znak, że wynurzali się właśnie z nadprzestrzeni. Wprawdzie łączyło się to ze wzmożonymi wstrząsami i trzeszczeniem całej konstrukcji statku, ale oznaczało bliski koniec podróży. Mechanicy Jessy zdołali zamontować nowy kadłub na tyle umiejętnie, że w najmniejszym stopniu nie ograniczał pola widzenia.

Han i Chewbacca nie dotykali sterów, pozwalając komputerowi na wykonanie większości prac, jak w przypadku normalnych, rejsowych transportowców. Automaty przyjęły instrukcje naziemne i statek zanurzył się w gęstej warstwie atmosfery.

Orron III był planetą przyjazną człowiekowi, charakteryzującą się niewielkim odchyleniem osiowym i umiarkowanym klimatem. Przez większą część roku jego żyzne gleby dawały wspaniałe plony. Rządy postanowiły w pełni wykorzystać tutejszy potencjał żywieniowy — ową możliwość prowadzenia całorocznych upraw. Ponieważ Orron III był również zasobny w bogactwa naturalne, duże, wolne obszary i zajmował strategiczną pozycję, postanowiono wybudować tam centrum danych, aby zapewnić całemu przedsięwzięciu bezpieczeństwo i ułatwić poczynania logistyczne.

Planeta była niezaprzeczalnie piękna — otoczona zewsząd kłębiącymi się, białymi chmurami, posiadała połacie widocznej z daleka, zielonobłękitnej bujnej roślinności i rozległych oceanów. W miarę zbliżania się do powierzchni Orrona III Han i Chewbacca odczytywali informacje komputerowe, dotyczące położenia zabudowań rządowych.

— Co to było? — zapytał Han, pochylając się nad instrumentami.

Wookie zamruczał coś niepewnie.

— Wydawało mi się przez chwilę, że natrafiłem na jakiś dziwny obiekt na orbicie transpolarnej, ale albo zniknął za horyzontem, albo jesteśmy zbyt nisko, żeby go zidentyfikować. Względnie i jedno i drugie.

Przez chwilę myśl ta nie dawała Hanowi spokoju, lecz doszedł do wniosku, że nie ma co się martwić na zapas. Nawet jeżeli był tam jakiś statek przechwytyjący, nie miało to większego znaczenia.

To, co jeszcze parę minut temu było jedynie wielobarwną kulą, zaczęło przybierać coraz konkretniejsze kształty. Powoli zaczęły wyłaniać się staranne kwadraty i prostokąty pól uprawnych. Rozmaitość odcieni świadczyła o mnogości roślin. Przy tak dużej liczbie upraw wszelkie prace polowe musiały odbywać się według odgórnie ustalonego harmonogramu, pozwalającego na maksymalne wykorzystanie sprzętu i pracowników.

W końcu ujrzeli port kosmiczny. Wielokilometrowe pasy startowe i obszerne lądowiska umożliwiały osiadanie ogromnym transportowcom. Główna część portu, stanowiąca bazę wojennej floty rządowej, zajmowała stosunkowo niewielki teren i obejmowała jedynie mały procent zainstalowanych urządzeń, nawet jeśli uwzględnić cały kompleks mieszkaniowy i informacyjny. Reszta to stanowiska cumownicze dla barek transportowych oraz doki, których konstrukcja umożliwiała zarówno prędką naprawę i konserwację, jak rozładowanie przy użyciu ruchomych, nieco przyciężkich silosów. Eskadry samolotów transportowych i myśliwców bliskiego zasięgu nieustannie zdążyły specjalnie wytyczonymi szlakami do portu, wylądowywały żywność do silosów i wracały na miejsce aktualnie odbywających się prac polowych.

Barka ukrywająca w swym wnętrzu „Sokoła” osiadła w wyznaczonym miejscu, pośród setek innych znajdujących się w tej chwili w porcie. Gdy wylądowali, komputery przerwały nadawanie informacji. Han i Chewbacca wyłączyli panel i opuścili sterownię.

Gdy weszli do kabiny dziobowej, Bollux spojrział na nich pytająco.

— Czy wychodzimy, proszę panów?

— Nie — odrzekł Han. — Jessa mówiła, że ludzie, których mamy stąd zabrać, sami nas znajdują.

Wookie podszedł do głównej śluzy i uruchomił ją. Rampa opadła, ale do wnętrza wciąż nie docierało światło ani powietrze z Orrona III, gdyż maskująca konstrukcja pokrywała większą część kadłuba „Sokoła”, a zewnętrzny luk zainstalowany był tuż za końcem rampy.

Pochylnia nie zdążyła obniżyć się całkowicie, kiedy dobiegły ich odgłosy stukania w ścianę transportowca. Wookie groźnie zawarczał, a Han odruchowo sięgnął po broń. Chewbacca, upewniwszy się, że jego partner jest przygotowany na wszystko, nacisnął dźwignię otwierającą zewnętrzny luk.

Ujrzeni stojącą tuż przy rampie dziwną postać. Ubrana była w zielony, nieco spłowiały kombinezon robotnika portowego z przywieszoną u pasa torbą na narzędzia. Nie wyglądała jednak na zwykłego robotnika kontraktowego. Kolor skóry, tak ciemny, że prawie przechodzący w indygo, świadczył o tym, że osobnik pochodził z jednej z silnie nasłonecznionych planet. Był mniej więcej o pół głowy wyższy od Hana, a szerokie, barczyste ramiona, na których mocno opinał się kombinezon, sugerowały tężyznę. Czarne, kędzierzawe włosy i broda poprzetykane były tu i ówdzie srebrnymi nitkami siwizny. Mimo siły i powagi, które z niego emanowały, czarne oczy mężczyzny spoglądały z lekkim rozbawieniem.

— Jestem Rekkon — oświadczył.

Patrzył im wprost w oczy, a jego głos był głęboki i czysty. Przybysz włożył do torby narzędziowej płaski klucz, którym posłużył się przy stukaniu w kadłub statku.

— Czy jest tu kapitan Solo?

Chewbacca gestem wskazał swego dowódcę. Han podchodził właśnie do krawędzi rampy. Wookie wymamrotał coś w swoim języku. Rekkon roześmiał się i, ku ich zdumieniu, odpowiedział grzecznie w tym samym narzeczu. Niewielu ludzi rozumiało mowę tych potężnych humanoidów, a naprawdę nieliczni posiadali siłę i zakres głosu umożliwiające porozumiewanie się w tym języku. Chewbacca dał wyraz swej radości donośnym wyciem i serdecznie poklepał Rekkona po ramieniu, przycinając go nieco do ziemi.

— No, ponieważ już się przywitaliście — przerwał Han, zdejmując rękawiczki — pozwólcie, że się przedstawię. Jestem Han Solo. Kiedy ruszamy?

Rekkon spojrział na niego badawczo, nie zmieniając jednak przyjaznego, jowialnego wyrazu twarzy.

— Tak samo jak pan, kapitanie Solo, chciałbym, aby nastąpiło to jak najprędzej. Ale najpierw musimy udać się z krótką wizytą do centrum po dane, których potrzebuję, i po innych członków mojej grupy.

Han spojrział w stronę wejścia do śluzy, gdzie oczekiwał Bollux i skinął na robota.

— Chodź, sterto złomu. Jesteś znowu w pracy.

Bollux, tym razem z zamkniętym plastronem, sztywnym krokiem podążył w dół rampy. Później, już w trakcie podróży, wyjaśnił im, że jego dziwny sposób poruszania się wynikał z faktu, że swego czasu wykorzystywano go w charakterze podnośnika ciężkiego sprzętu.

Rekkon podał Hanowi i Chewbacce dwie jaskrawoczerwone, kwadratowe karty z białymi stemplami identyfikacyjnymi.

— Tymczasowe dowody tożsamości — wyjaśnił. — Gdyby ktoś pytał, jesteście tutaj na krótkotrwałym kontrakcie jako asystenci mechanika piątej kategorii.

— My? — warknął Han. — My się stąd nie ruszymy ani na krok, przyjacielu. Pan zabierze

z sobą robota, pójdzie po ludzi i całą resztę, po czym wrócicie tutaj. My będziemy przez ten czas grzali silniki.

Rekkon uśmiechnął się przebiegle.

— A co zrobicie, jak pojawi się ekipa odkażająca? Cała barka, a wraz z nią wasz statek zostaną poddane napromieniowaniu, aby unieszkodliwić bakterie, które ewentualnie się na nich znajdują. Pewnie, możecie włączyć osłony, ale czujniki portowe niewątpliwie to wykryją.

Wspólnicy spojrzeli na siebie z powątpiewaniem. Nie pomyśleli o tym, że odkażanie było normalnie przyjętą procedurą, a pilot i Wookie kręcący się na terenie lądowiska podczas wykonywania tego typu prac mogli tylko wzbudzić Podejrzenia.

— I jeszcze jedna sprawa — kontynuował Rekkon — a mianowicie przepustka dla waszego statku i nowe kody identyfikacyjne. To właśnie ja będę je załatwiać. Wydawało mi się, że ponieważ panu, kapitanie, i pierwszemu oficerowi bardzo na nich zależy, zechcecie mi towarzyszyć.

Han ucieszył się na samą myśl o przepustce, ale zawsze unikał wkładania palców między drzwi, a wizyta w Rządowym Centrum Danych najwyraźniej tym groziła. Wrodzona ostrożność zwyciężyła.

— Dlaczego pan chce, żebyśmy poszli z panem? Czy jest coś, o czym nie jesteśmy poinformowani?

— Ma pan rację, kapitanie, są również inne powody — odparł Rekkon — dlatego wydaje mi się, że najlepiej będzie i dla was, i dla mnie, jeżeli udacie się ze mną. Będę wielce zobowiązany.

Han wpatrywał się przez chwilę w wysokiego, ciemnoskórego mężczyznę, myśląc jednocześnie o dobrodziejstwach przepustki i ekipie odkażającej.

— Chewie, daj torbę na narzędzia.

Odpiął pas podtrzymujący blaster, bo zdawał sobie sprawę z tego, że nie może paradować z bronią po tak silnie strzeżonym terenie. Chewbacca przytaszczył swoją kuszę i obszerną torbę, do której wspólnicy załadowali broń. Wookie zarzucił sobie torbę na ramię i ruszyli w drogę.

W towarzystwie kroczącego sztywno tuż za nimi Bolluxa przeszli przez zewnętrzny luk, zamknęli go dokładnie i prowadzeni przez Rekkona, skierowali się ku dokom naprawczym. Kadłub barki pozostał daleko w tyle. Po drugiej stronie stanowisk remontowych unosił się ślizgacz powszechnego użytku z dodatkową platformą i taksówką powietrzną. Zajęli miejsce w taksówce — Rekkon usiadł za sterami, Han na miejscu pasażera, natomiast Chewbacca z trudem wcisnął się na tylne siedzenie. Bollux usadowił się na platformie roboczej i zapiął pas bezpieczeństwa. W chwilę później ślizgacz wzleciał w powietrze.

— W jaki sposób udało się panu tak prędko nas odnaleźć? — spytał Han.

— Otrzymałem wiadomość, jak jest oznaczony wasz statek i podano mi przewidywany czas przybycia. Gdy tylko naziemne komputery nawigacyjne zasygnalizowały, że się zbliżacie, wyruszyłem do portu. Miałem przy sobie sfałszowaną przepustkę na lądowisko, więc bez obawy mogłem was oczekiwać. Domyślam się, że ten robot jest przenośnym komputerem?

— Czymś w tym rodzaju — odrzekł Han, podczas gdy Rekkon ustawił prędkość ślizgacza na maksymalną dozwoloną, zręcznie wymijając liczne startujące i lądujące barki. — Ma w środku wmontowany drugi, specjalnie na pańskie potrzeby-

Port otoczony był ze wszystkich stron rozległymi łąkami dojrzewających zbóż, łagodnie falującymi pod wpływem słabych podmuchów wiatru. Podziwiając wspaniały krajobraz planety, Han zwrócił się do Rekkona:

— Jakich danych poszukuje pan w komputerach rządowych?

Mężczyzna przez chwilę przyglądał mu się badawczo, po czym ponownie ujął stery i skierował maszynę na szlak przeznaczony dla pracowników. Han zdawał sobie sprawę z tego, że swobodnie poruszać się mogli jedynie w bezpośrednim sąsiedztwie portu, później będą zmuszeni wybierać zatwierdzone szlaki, lecieć z określoną prędkością i na określonej wysokości. W każdym innym przypadku natychmiast staliby się obiektem niepożądanego zainteresowania. Lecąc, obserwowali z góry pracę robotów zatrudnionych na polach przy sadzeniu, sianiu, oporządzaniu i żniwach.

Rekkon dostroił polaryzację przedniej szyby i okien ślizgacza. Nie zaciemnił jej całkowicie, ani nie włączył systemów odblaskowych, które uniemożliwiały obserwację wnętrza pojazdu z zewnątrz, bo to mogłoby wzbudzić podejrzenia. Przyciemnił je tylko dla ochrony przed silnymi promieniami słonecznymi. We wnętrzu taksówki zapanował mrok, Hanowi zdawało się chwilami, że znajduje się na jakiejś tajemniczej, zamieszkałej przez dzikie stwory planecie. Gdy tak podążali wzdłuż wytyczonej trasy dla pracowników, pozostawiając za sobą łany zbóż i morze, Rekkon zapytał:

— Czy orientuje się pan, kapitanie, jaką misję miałem tutaj do spełnienia?

— Jessa poinformowała mnie, że to, czy się tego dowiem, zależy wyłącznie od pana. Dlatego omal nie zrezygnowałem z całego przedsięwzięcia, ale domyślam się, że za takie ryzyko płaci się pokazną gotówkę.

Rekkon potrząsnął głową.

— Myli się pan, kapitanie Solo. Chodzi o poszukiwanie zaginionych osób. Grupa, którą zorganizowałem, składa się wyłącznie z tych, którzy w dziwnych, zupełnie niewytłumaczalnych okolicznościach, utracili krewnych i przyjaciół. Dziwne rzeczy dzieją się od pewnego czasu na całym obszarze Wspólnego Sektora. Udało mi się ustalić, że wiele osób, podobnie jak ja, poszukuje zaginionych. Ponieważ wszystkie te sprawy były zaskakująco podobne, postanowiłem zgromadzić wokół siebie grupę takich poszukiwaczy. Z pomocą Jessy udało nam się dotrzeć do centrum danych i w ten sposób kontynuować poszukiwania.

Han w zamyśleniu postukał palcem w szybę. Teraz zrozumiał, dlaczego Jessa była tak oddana sprawie Rekkona i zdecydowana zapewnić mu wszelką niezbędną pomoc. Córka Doca miała nadzieję, że przy okazji poszukiwania własnych krewnych Rekkon i jego grupa trafią na ślad jej ojca.

— Siedzimy tutaj już prawie standardowy miesiąc — kontynuował Rekkon — i większość tego czasu spędziłem na poszukiwaniu sposobów wejścia do systemu rządowych, mimo że jestem tutaj zatrudniony w charakterze nadzorca komputerowego pierwszej klasy. Ich systemy zabezpieczające są staranne, chociaż projektanci nie grzeszyli wyobraźnią.

Han obrócił się w fotelu, by móc dokładniej obserwować swego rozmówcę.

— Więc w czym tkwi ten sekret?

— W tej chwili nie mogę tego jeszcze wyjawić, chcę uzyskać stuprocentowy dowód. Odkryłem pewną współzależność danych, którą muszę dokładnie sprawdzić. Końcówki komputerów, do jakich mam dostęp w centrum, mają wbudowane wewnętrzne blokady bezpieczeństwa. Brakuje mi źródeł informacji, odpowiednich urzędzeń, a przede wszystkim czasu, aby móc to wszystko rozwikłać. Ale od początku wiedziałem, że wspaniali technicy Jessy wymyślą coś, czego mi potrzeba, a jednocześnie zmniejszą ryzyko wykrycia moich działań.

— Wciąż niepokoi mnie jedna sprawa, Rekkon. Nie powiedział nam pan, jaki jest ten drugi powód, dla którego jedziemy do centrum.

Rekkon wyraźnie się zafrasował.

— Jest pan uparty, kapitanie. Bardzo starannie wybierałem moich towarzyszy spośród ludzi, którzy stracili najbliższych, a mimo to...

Han wyprostował się w fotelu.

— A mimo to macie w waszym gronie zdrajcę. — Rekkon wytrzymał twardy wzrok pilota. — Podejrzałem to. Byłem świadkiem ataku na warsztaty Jessy, jaki nastąpił tuż po moim przybyciu. Rządowa korweta wypuściła na nas eskadrę myśliwców. Nie muszę panu mówić, że szanse wykrycia nas na tak ogromnym terenie Wspólnego Sektora są praktycznie równe zeru. Pozostaje zatem szpieg, ale taki, którego w danym momencie na planecie nie było, inaczej bowiem Espo wysłałoby nie formację zwiadowczą, lecz uderzyło wszystkimi siłami. Widocznie rządowi przeprowadzali tylko kontrolę paru systemów słonecznych.

Zadowolony z siebie i swego logicznego myślenia Han oparł się wygodniej w fotelu.

Rekkon zachował kamienną twarz.

— Jessa dostarczyła nam listę miejsc, przez które możemy się z nią kontaktować, gdyby zostały zniszczone zwykłe kanały komunikacyjne. Widocznie ten system słoneczny znajdował się na tej liście.

Han był zdumiony. Jessa z reguły nie ufała nikomu na tyle, by powierzać tego rodzaju informacje. Widocznie jednak pokładała w Rekkonie wszelkie nadzieje na odnalezienie ojca.

— W porządku, w takim razie wśród was jest ktoś, kto pracuje na dwie strony. Czy ma pan jakieś podejrzenia?

— Żadnych, mogę jedynie wyeliminować dwóch członków mojej grupy, którzy już nie żyją. Domyślam się, że zginęli, gdyż odkryli, kto był zdrajcą. Podczas mojej ostatniej rozmowy z pewną kobietą padła z jej strony aluzja na ten temat. W związku z tym oczywiście nikomu nie powiedziałem o pańskim przybyciu i sam po pana wyjechałem. Potrzebowałem waszej pomocy, aby być pewnym, że zdrajca nie zdoła wszcząć alarmu przed naszym odlotem. Wezwałem każdego do swego biura, nie informując jednak o tym, że pozostali będą tam również obecni.

Han z coraz większą niechęcią odnosił się do projektu wycieczki do centrum, ale zdawał sobie sprawę, że jego własne bezpieczeństwo w dużym stopniu zależy od tego, czy pomoże Rekkonowi. Jeżeli zdrajca zdołałby podnieść alarm, szanse odlotu czy ucieczki z planety byłyby znikome. Han w myślach postanowił obarczyć Jessę i innych dodatkowymi kosztami za usługi nie przewidziane w kontrakcie. Niespokojnie kręcił się w fotelu.

— Kim są pozostali członkowie pańskiej grupy „Miłośnik Nocy”?

— Moim zastępcą jest Torm, który pracuje jako robotnik kontraktowy — odparł Rekkon, wprawnie manewrując ślizgaczem. — Jego rodzina miała duże posiadłości na rządowej Planecie Korn. Doszło do jakichś sporów na tle cen produktów i praw do uprawy gruntów. Kilku jego bliskich krewnych, którzy ośmielili się sprzeciwić, zniknęło.

— Kto jeszcze?

— Atuarre. To istota płci żeńskiej, pochodząca z kocięj rasy, z plemienia Trianii. Plemię to osiedliło się na jednej z obecnie krańcowych planet Wspólnego Sektora całe wieki przed jego powstaniem. Gdy wreszcie Rządowi udało się zaanektować świat Trianii, napotkały tam na duży opór. Mąż Atuarre zniknął, a odebrane jej dziecko było przetrzymywane w charakterze zakładnika. Malec o imieniu Pakka był widocznie torturowany, ponieważ gdy Atuarre zdołała w końcu do niego dotrzeć, nie mógł mówić. Jak pan widzi, rządowi nie przejmują się ani wiekiem przeciwników, ani podpisanymi konwencjami. W końcu Atuarre i Pakka zdecydowali się ze mną skontaktować. Na Orronie III zatrudniona jest jako praktykantka w zawodzie agronoma.

Droga służbowa, nad którą lecieli, dołączyła do głównej arterii wiodącej bezpośrednio do centrum. Samo centrum było właściwie niezależnym miastem, a znajdujące się tam biura i ośrodki zajmowały się przepływem informacji w ramach całego Wspólnego

Sektora. Życie miasta skupiało się wokół kompleksu operacyjnego, składającego się z szeregu różnobarwnych, błyszczących budowli wyrastających pośród pól i łąk.

— Ostatnim członkiem naszej grupy jest Engret, który właściwie jest jeszcze chłopcem, ma dobre serce i łagodny charakter — kontynuował w zamyśleniu Rekkon. — Jego siostra była bojowniczką praw człowieka i również zniknęła bez śladu. — Przerwał na chwilę. — Inni, przebywający poza granicami systemu, także poszukują swoich krewnych, a ja jestem przekonany o tym, że wielu zostało po prostu zmuszonych do milczenia. Ale być może im też uda się pomóc.

Han skrzywił się z lekka.

— Obawiam się, że nie, Rekkon. Jestem tutaj na zasadzie umowy. Wolałbym, aby wstrzymał się pan ze swoimi zapędami wolnościowymi do czasu, gdy mnie już tu nie będzie, jasne?

Na twarzy Rekkona odmalowało się rozbawienie.

— Angażuje się pan w to wszystko tylko dla pieniędzy? — Zmierzył go wzrokiem od stóp do głów, po czym dodał: — Gruboskórność i fałszywa znieczulica są częstym sposobem ukrywania ideałów, kapitanie. Chronią idealistów przed kpinami i żartami głupców i tchórzów. Ale jednocześnie to działa demobilizująco, a także często sprawia, że próbując w ten sposób chronić te wartości, zatracą się je.

Słowa tego dziwnego, potężnego mężczyzny były niezwykle trafne. Han nie starał się nawet rozwikłać, w jakim stopniu zawierały pochwałę, a w jakim naganę.

— Jestem facetem, który ma swój statek i kilka zadań do wykonania, Rekkon, więc proszę, niech pan nie dorabia do tego filozofii.

Wjechali na teren centrum. Rekkon zręcznie manewrował taksówką między licznymi wieżowcami, gdzie mieściły się biura, banki, hotele dla personelu, a także tereny rekreacyjne, sklepy i komisariaty. Ruch był olbrzymi, powietrzne ulice zatłoczone ślizgaczami, statkami handlowymi, krążownikami Espo oraz niezliczoną liczbą innych pojazdów.

Zniżyli lot i wjechali do podziemnego garażu, sięgającego dziesięciu poziomów poniżej powierzchni planety. Kiedy nareszcie znaleźli wolne miejsce parkingowe, Rekkon wyłączył silniki i wyskoczył z pojazdu. Han i Chewbacca zrobili to samo, po czym wszyscy trzej odczekali chwilę, by Bollux wreszcie się wygramolił. Han i Chewbacca przypięli identyfikatory. Rekkon zdjął kombinezon roboczy i torbę na narzędzia, po czym wepchnął je do bocznej skrytki ślizgacza. Odziany był teraz w długą, luźną szatę, uszytą z jasnego materiału w geometryczne wzory. Na samym środku jego szerokiej klatki piersiowej widniał identyfikator. Stopy Rekkona obute były w wygodne, miękkie sandały. Han zapytał go, w jaki sposób zdobył ślizgacz i pozostały sprzęt.

— Nie było to trudne. Gdy już częściowo spenetrowałem system komputerowy, zdobycie fałszywego zlecenia i rezerwacja taksówki okazały się dziecinną igraszką.

Chewbacca podniósł torbę z narzędziami. Bollux, który dotychczas nie miał okazji włączenia się do rozmowy, zbliżył się do Rekkona.

— Jessa poleciła mi, abym wraz z moim ukrytym towarzyszem był całkowicie do pańskich usług.

— Dziękuję ci... Bollux. Tak masz na imię, prawda? Twoja pomoc będzie nam bardzo potrzebna.

Stary robot pęczniał z dumy. Han stwierdził, że Rekkonowi udało się zdobyć serce, a raczej obwody sterujące androida.

Rządy nie szczędziły pieniędzy na budowę centrum — w miejsce normalnych wind lub wózków podnośnikowych zainstalowano rynny podnośnikowe. Rekkon poprowadził w kierunku jednej z nich. Gdy tylko znaleźli się pod czaszą, natychmiast dzięki polu

grawitacyjnemu, zostali uniesieni w powietrze. Na następnym poziomie wsiedli dwaj miejscowi technicy — należało przerwać rozmowę. Wznosząc się tak jeszcze przez minutę czy dwie, dwaj mężczyźni, Wookie i android, obserwowali wchodzących i wychodzących z rynien i bacznie przyglądali się mijanym garażom, stacjom serwisowym, biurom oraz pomieszczeniom, w których zajmowano się bezpośrednio przetwarzaniem danych. Większość pasażerów odziana była w uniformy techników komputerowych. Niektórzy z nich wymieniali z Rekkonem słowa powitania. Widząc, że ich obecność nie wzbudza praktycznie niczyjej ciekawości, Han doszedł do wniosku, że widocznie sporo asystentów i androidów przewija się każdego dnia przez centrum.

W pewnej chwili Rekkon pochylił się i w tym samym momencie został uniesiony w kierunku platformy dla wysiadających. Han, Chewbacca i Bollux uczynili to samo. Po chwili wszyscy czterej znaleźli się na potężnej, szerokiej galerii. Łączyła ze sobą dwa poziomy — wyższy, przechodził w okalający środkową część galerii taras, z którego rozpościerał się znakomity widok na całą część „transportową” centrum.

Rekkon poprowadził ich w głąb mrocznego korytarza o dziwnych, odbijających światło ścianach, podłodze i suficie. Przyjrząwszy się swemu odbiciu w jednej ze ścian, Han zastanawiał się, jak to się mogło stać, że on, poszukiwany wyjęty spod prawa przemytnik, znajdował się teraz w samym sercu rządowego terytorium, dosłownie w jaskini lwa. Byłby o wiele szczęśliwszy pilotując „Sokoła” bez żadnego ładunku gdzieś, pośród dalekich gwiazd.

Rekkon zatrzymał się w końcu przed jakimiś drzwiami, przykrył dłonią płytkę zamka, a kiedy drzwi się otworzyły, wszedł do środka. Pozostała trójka ruszyła za nim. Znaleźli się w dużej, wysokiej sali, której trzy ściany były całkowicie zabudowane licznymi komputerami, monitorami, panelami kontrolnymi i dodatkowym wyposażeniem. Czwarta, przeciwnie do drzwi i wykonana w postaci pojedynczej transpastalowej płyty, ukazywała panoramę urodzajnych pól Orrona III, widzianą z wysokości stu metrów. Han podszedł i spojrzął w kierunku kosmicznego portu, leżącego w łagodnej kotlinie pomiędzy polami i łąkami. Chewbacca usadowił się na usytuowanej wzdłuż ścian ławie, po czym położył torbę na narzędzia pomiędzy wielkimi, owłosionymi stopami. Z niewielkim zainteresowaniem spoglądał na otaczające go supernowoczesne twory współczesnych technologii.

— Czy mógłbym teraz zobaczyć, co dla mnie przywozisz? — zwrócił się Rekkon do Bolluxa.

Plastron na piersiach androida otworzył się, ukazując wewnętrzny komputer.

— Cześć — rozległo się w całej sali —jestem Błękitny Max.

— W to nie wątpię — odparł rozbawiony Rekkon. — Jeżeli twój przyjaciel cię uwolni, przyjrzymy ci się dokładniej, Max.

— Oczywiście — rzekł powoli Bollux.

Przez parę chwil z jego wnętrza dobiegały krótkie, metaliczne szczęknięcia spowodowane odłączaniem przewodów i metalowych zacisków. Później Rekkon bez trudu wy dobył komputer. Max z łatwością mieścił się w jego dużych, silnych dłoniach.

Rekkon roześmiał się donośnie.

— Gdybyś był jeszcze mniejszy, musiałbym cię chyba wyrzucić, Max.

— Co mam przez to rozumieć? — zapytał Max niepewnie.

— Nic, to był tylko żart, przyjacielu.

Zbliżył się do konsoly, która przypominała stół opierający się na wielkiej nodze. Znajdowały się na niej gniazda umożliwiające dołączenie różnych urządzeń, przełączniki i aparatura pomiarowa. Frontową część konsoly stanowiła długa, uniwersalna klawiatura.

— Podoba ci się ten rodzaj pracy, Max? — zapytał Rekkon. — Dysponuję podstawowymi

i programowymi danymi, którymi zamierzam cię nafaszerować, informacje te dotyczą wniknięcia do systemu. Następnie chciałbym podłączyć cię do głównej sieci.

— Czy mógłby pan podać te dane w języku forb basic? — zapytał Max swoim nieco piskliwym, jakby dziecinnym głosem.

— Nie sprawi mi to żadnego kłopotu. Widzę, że jesteś wyposażony w pięciobolcowe gniazdko wejściowe.

Rekkon wybrał spośród licznych, znajdujących się na konsolecie kabli zakończony pięciobolcową wtyczką i podłączył ją do gniazdko znajdującego się w bocznej ścianie Maxa. Następnie wydobył z kieszeni swej szaty płytkę informacyjną, włożył ją w odpowiednią szczelinę na konsolecie i jednocześnie wduśił jakiś przycisk na klawiaturze. Obiektyw Maxa zmienił zabarwienie na ciemnoczerwone i maleńki komputer skoncentrował całą swą moc na odbiorze przekazywanych mu informacji. Jednocześnie kilka monitorów rozświetliło się, ukazując przepływające błyskawicznie obrazy informujące, jakie dane kopiuje Max.

Rekkon podszedł do Hana Solo, wciąż obserwującego krajobraz, i podał mu inną płytkę.

— To obiecana przepustka z nowymi danymi dla waszego statku. Musicie tylko dokonać odpowiednich zmian we wszystkich pozostałych dokumentach. Nie powinniście napotkać żadnych formalnych utrudnień na całym obszarze Wspólnego Sektora.

Han mocno ścisnął w dłoń niewielką płytkę, która była jego przepustką do bogactwa, i ostrożnie włożył ją do kieszeni.

— Pozostałe sprawy nie zajmą nam wiele czasu — oznajmił Rekkon. — Członkowie mojej grupy mają się wkrótce stawić, a wydaje mi się, że komputer o tak ogromnej pojemności jak Max nie będzie miał kłopotów z tym prostym zadaniem. Obawiam się jednak, że nie mam was czym ugodzić. Przepraszam za to niedopatrzenie.

Han wzruszył ramionami.

— Rekkon, naprawdę nie jestem tutaj po to, by jeść czy obserwować ładne widoki. Jeżeli koniecznie chce mi pan zrobić przyjemność, proszę się prędko z tym wszystkim uwinąć. — Rozejrzał się po sali, rozświetlanej coraz to innymi pulsującymi wskaźnikami.

— Rzeczywiście jest pan ekspertem komputerowym czy też pańska funkcja to zwykła mistyfikacja?

Rekkon w zamyśleniu spoglądał w okno.

— Jestem naukowcem z wykształcenia i zamiłowania, kapitanie. Studiowałem wiele różnych dyscyplin zajmujących się człowiekiem i techniką. Trudno byłoby zliczyć, ile dyplomów i uprawnień uzyskałem przez te wszystkie lata, ale o jednym mogę pana zapewnić: moje kwalifikacje są na tyle wysokie, że bez trudu mógłbym kierować całym tym centrum, jeśli ma to dla pana jakieś znaczenie. W pewnym okresie mojej kariery zawodowej zajmowałem się kontaktami między istotami inteligentnymi a myślącymi automatami. Tutaj przybyłem oczywiście pod fałszywym nazwiskiem, jako zwykły nadzorca, ponieważ chciałem pozostać anonimowy. Jedynym moim pragnieniem jest teraz odnalezienie siostrzeńca i innych, którzy zniknęli.

— Na jakiej podstawie sądzi pan, że oni są tutaj?

— Tutaj na pewno ich nie ma. Ale wierzę, że właśnie tutaj można się dowiedzieć, gdzie przebywają. I jeżeli Max pomoże mi zanalizować wszystkie ogólne informacje, ustalę, dokąd trzeba będzie się udać.

— Dotychczas nie wspominał pan o swoim siostrzeńcu — odparł Han, myśląc, że sposób zachowania Rekkona wpływa również i na niego samego. Ten człowiek miał ogromną siłę oddziaływania na innych.

Naukowiec powolnym krokiem przeszedł na drugi koniec sali, po czym zatrzymał się

niedaleko Chewie'ego. Han podążył za nim, nie spuszczać wzroku z zamysłonej twarzy swego rozmówcy. Rekkon wskazał Hanowi miejsce i obydwoj usiedli.

— Wychowywałem tego chłopca tak, jakby był moim rodzonym synem. Jego rodzice umarli, kiedy był całkiem mały. Nie tak dawno temu otrzymałem posadę wykładowcy na rządowym uniwersytecie na Kalii. Jest to uczelnia, na której kształcą się głównie dzieci rządowych bonzów, główny nacisk kładzie się tam na kierunki techniczne, ekonomiczne i administracyjne, zaniedbując zupełnie dziedziny humanistyczne. Ale jakimś cudem znalazło się tam dla mnie miejsce, a oferowane warunki płacowe były po prostu znakomite. Jako bliski krewny wykładowcy mój siostrzeniec miał prawo wstąpienia na uniwersytet i właśnie wtedy zaczęły się wszystkie kłopoty. Szybko zrozumiał, jak zachłanna i niesprawiedliwa jest polityka władz, które dążą do wyciągnięcia z wszystkiego i wszystkich maksymalnych profitów. Zaczął głośno wypowiadać swoje poglądy, zachęcając innych, by robili to samo. — Rekkon w zamyszeniu głąaskał gęstą brodę. — Radziłem mu, aby tego nie robił, chociaż wiedziałem, że miał rację, ale młodzi kierują się zawsze emocjami, a ja jako starszy bardziej rozumem. Wielu studentów, którzy słuchali wywodów mojego siostrzeńca, to dzieci wysokich urzędników, toteż jego słowa nie mogły pozostać nie zauważone. Był to bardzo bolesny okres, bo nie mogłem żądać od chłopca, by zapomniał o swych ideałach, a jednocześnie straszliwie się o niego bałem. Nie mając innego wyjścia, choć było to haniebne, postanowiłem zrezygnować ze stanowiska. Zanim jednak do tego doszło, chłopiec po prostu zniknął.

Oczywiście poszedłem do sił bezpieczeństwa. Espowcy udawali bardzo przejętych, ale od początku wiadomo było, że nie zamierzają kiwnąć palcem w tej sprawie. Usiłowałem się czegoś dowiedzieć na własną rękę i wtedy właśnie wpadłem na ślad innych tajemniczych zniknięć ludzi, którzy w jakiś sposób podpadli rządowym. Mam zwyczaj doszukiwać się prawidłowości, więc nie zajęło mi to dużo czasu.

Dokonyjąc rozważnego — zapewniam pana, kapitanie — bardzo rozważnego wyboru, zgromadziłem wokół siebie niewielką grupę złożoną z tych, którzy kogoś utracili, i wspólnie przystąpiliśmy do dokładnej penetracji tego centrum. Wtedy dowiedziałem się o zniknięciu ojca Jessy, Doca. Dotarłem do niej, a ona zgodziła się nam pomóc.

— I w ten sposób znaleźliśmy się tutaj — przerwał Han. —] Ale dlaczego właśnie tutaj? Rekkon zauważył, że ustał przepływ cyfr i informacji wyświetlanych na monitorach. Wstał i podszedł do Maxa.

— Wszystkie zniknięcia są ze sobą powiązane. Władze dążą do całkowitego wyeliminowania jednostek, które ośmielają się otwarcie przeciwko nim występować. Wszelkie przejawy indywidualizmu i samodzielnego myślenia traktuje się jako śmiertelne zagrożenie. Podejrzewam, że Rządy zgromadziły przeciwników w jednym miejscu, gdzie...

— Powiedzmy wprost — przerwał Han. — Czy pan sądzi, że to właśnie Rządy odpowiedzialne są za te wszystkie porwania? Chyba zbyt długo wpatrywał się pan we wskaźniki i monitory.

Rekkon nie wyglądał na urażonego.

— Wątpię, aby ta sprawa była powszechnie znana, nawet w kręgach rządowych. Kto wie, jak to się dzieje? Jakiś dygnitarz rzuca myśl, a nadgorliwy podwładny traktuje ją zbyt serio. Znalazłoby się wielu, którzy są zdolni do wszystkiego w imię kariery i awansu. Jakby jednak na to nie patrzeć, źródłem wszelkiego zła są silne i ogarnięte paranoją Rządy. Nawet jeżeli nie ma opozycji, można sobie uroić, że ona istnieje.

Podszedł do konsoly i odłączył Maxa.

— Te dane były naprawdę interesujące — odezwał się komputer.

— Nie okazuj na razie zbyt dużego entuzjazmu — ostrzegł Rekkon, zabierając Maxa z

konsolety. — Zaczynam się czuć tak, jakbym popełniał jakieś przestępstwo. — Obiektywy komputera „spoglądał” na niego uważnie. — Czy zrozumiałeś wszystkie informacje, które ci przekazałem?

— Jasne. Udowodnię to, jeśli tylko da mi pan szansę.

— Dam ci szansę. Czas próby się zbliża. — Położył Maxa na innej konsolce. — Czy jesteś wyposażony w standardowy adaptor umożliwiający dołączenie?

W odpowiedzi, w bocznej części Maxa odskoczyła niewielka pokrywa i oczom Rekkona ukazał się krótki metalowy bolec.

— To dobrze, doskonale.

Rekkon ostrożnie przysunął minikomputer do końcówki. Max automatycznie przyłączył się do owalnego gniazda. Gniazdo i otaczająca je kalibrowana tarcza przekręciły się parokrotnie tam i z powrotem, podczas gdy Max dokonywał ostatnich sprawdzeń poprawności połączenia.

— Zaczynaj, gdy tylko będziesz gotów — rozkazał Maxowi Rekkon, zajmując miejsce pomiędzy Hanem a Chewbaccą. — Będzie musiał przewertować ogromną liczbę danych — objaśniał towarzyszy. — Chociaż może skorzystać z pomocy całego systemu, czeka go wiele pracy. System został wyposażony w liczne programy zabezpieczające, więc nawet Błękitny Max będzie się musiał nieco nabiedzić, zanim uda mu się je pokonać.

Wookie chrząknął z powątpiewaniem. Obydwaj mężczyźni zrozumieli, że Chewbacca nie wierzy w to, by potrzebne Rekkonowi informacje znajdowały się właśnie w tej sieci.

— Oczywiście, na pewno nie uda nam się uzyskać nazwy tego miejsca — rzekł Rekkon.

— Max będzie musiał ją odgadnąć na podstawie pośrednich informacji, jak czasami przymrużywszy oczy, pilot lokalizuje niewidoczną gwiazdę. Max zanalizuje zapisy logistyczne, trasy pokonywane przez statki dostawcze i patrolowe, przepływające informacje, zapisy w dziennikach nawigacyjnych, plus parę innych rzeczy. Dowiemy się z tego, gdzie zatrzymują się statki rządowe, na jakich trasach panuje największe natężenie ruchu, ilu pracowników zatrudnionych jest przy różnorakich instalacjach i jakie prace wykonują. W końcu natrafimy na jakiś ślad tych, których Rządy uważają za swych najniebezpieczniejszych wrogów.

Rekkon raptownie poderwał się z miejsca i zaczął nerwowo krążyć po sali, od czasu do czasu uderzając mocno dłonią o dłoń. Brzmiało to jak wystrzały potężnego karabinu.

— Ci skończeni głupcy wraz z ich listami wymaganych wrogów i kapusiami Espo sami tworzą wokół siebie taką atmosferę, że ich obawy stają się prawdziwe. A ich wizje same się sprawdzają. Jeśli nie będziemy tutaj tylko gadać o życiu i śmierci, zrobimy im wspaniały dowcip.

Han, lekko opierając się o ścianę, z cynicznym uśmiechem przyglądał się Rekkonowi. Czyżby ten naukowiec rzeczywiście sądził, że zaginieni różnili się czymkolwiek od swych prześladowców? Przecież każdy poświęcający własne życie jakimkolwiek ideałom był w gruncie rzeczy skończonym głupcem. Rekkon także. Dlatego właśnie Han Solo wybrał swoją własną drogę życiową — niczym nie ograniczoną wolność pośród gwiazd. Szeroko ziewnął.

— Tak, tak, Rekkon, ma pan rację. Władze powinny mieć się na baczności. Nie dysponują przecież niczym oprócz całego sektora pełnego statków, pieniędzy, broni i sprzętu. To wszystko jest niczym w porównaniu z praworządnością, wolną myślą i czystymi rękami. Rekkon uśmiechnął się do Hana z sympatią.

— Niech pan popatrzy na siebie, kapitanie. Jessa przekazała mi o panu parę informacji. Wybierając taki, a nie inny model życia, zdecydował się pan na ciągłe gwałcenie praw ustalonych przez Rządy Wspólnego Sektora. Nie wymagam od pana wznoszenia haseł wolnościowych i głoszenia sloganów. Ale jeżeli uważa pan, że Rządy są tą wygrywającą

stroną, dlaczego nie opowie się pan za nimi? Rządy nie ulegną naiwnym studentom i starym zmęczonym życiem naukowcom. Natomiast prawdziwym dla nich zagrożeniem są twardzi, nieugięci indywidualiści, właśnie tacy jak pan.

Han westchnął.

— Rekkon, niech pan da spokój. Musiał pan widocznie pomylić nas z kimś innym. My po prostu chcemy używać życia. Nie jesteśmy ani rycerzami Jedi, ani bojownikami o wolność.

Rekkon nie zdążył skomentować tego stwierdzenia, bowiem w tej samej chwili rozległ się dzwonek i dobiegający z interkomu głos mężczyzny:

— Rekkon, otwórz.

Czując nieprzyjemne mrowienie wzdłuż kręgosłupa, Han schwycił rzucony przez Chewbaccę blaster, Wookie wymierzył kuszę prosto w drzwi.

ROZDZIAŁ VI

Rekkon postąpił krok do przodu, stając pomiędzy Hanem i Chewbaccą a drzwiami.

— Proszę opuścić broń, kapitanie. To Torm, jeden z członków mojej grupy. A nawet, gdyby nie był to nikt z naszych, przed oddaniem strzałów należałoby się chyba dowiedzieć, kim jest i po co przyszedł.

Han skrzywił się.

— Tak się składa, Rekkon, że lubię strzelać jako pierwszy. O wiele bardziej niż jako drugi.

Opuścił jednak blaster, a Chewbacca oparł kuszę o podłogę. Rekkon podszedł do drzwi i nacisnął parę guzików.

Drzwi otworzyły się automatycznie, ukazując mężczyznę mniej więcej wzrostu Hana, ale bardziej atletycznie zbudowanego, o silnie umięśnionych ramionach i potężnych dłoniach. Mimo zbyt szerokich kości policzkowych jego twarz miała subtelne rysy, a całości dopełniały żywe błękitne oczy i jaskraworude, długie, gęste włosy. Ujrawszy Hana i Chewbaccę, mężczyzna błyskawicznie sięgnął do prawej kieszeni, lecz w ostatniej chwili się zreflektował i niepewnie potarł dłonią o szorstki materiał kombinezonu roboczego. Han doskonale rozumiał tę ostrożność i niepewność, zwłaszcza w świetle tego, co o tym człowieku i jego rodzinie wcześniej usłyszał.

— Wyjeżdżamy? — spytał przybysz, błyskawicznie zorientowawszy się w sytuacji.

— Wkrótce — odparł Rekkon, wskazując przyłączonego do bazy danych Maxa. — Powinniśmy niedługo skopiować to, czego Potrzebujemy. Kapitan Solo i jego pierwszy oficer Chewbacca wywiozą nas stąd, gdy będziemy gotowi. Panowie, pozwólcie, że przedstawię wam Torma, jednego z moich towarzyszy.

Nieco uspokojony Torm grzecznie skinął głową w kierunku nowo poznanych, po czym skierował się ku Błękitnemu Maxowi. Han podążył za nim. Ktoś z grupy był informatorem i dlatego pilot postanowił sam zapoznać się ze wszystkimi, wierząc, że tym sposobem dodatkowo zabezpiecza siebie i swój statek.

— Wygląda niezbyt imponująco — stwierdził Torm, badawczo przyglądając się Maxowi.

— Niezbyt — potwierdził z fałszywym uśmiechem Han. Torm skinął głową.

— Czy sądzi pan, że Rekkon zdoła odnaleźć to, czego szuka? — zapytał Solo. — Chodzi mi o to, czy to wątpliwe posunięcie jest waszą jedyną szansą odnalezienia krewnych? A może nie powinienem o to pytać?

Torm spojrział na niego otwarcie.

— To dyskretna sprawa, kapitanie. Ale ponieważ pan również sporo ryzykuje, uważam,

że ma pan prawo pytać. Tak, jeżeli nie zdołam tym sposobem odnaleźć mego ojca i brata, nie wiem, co innego mi pozostanie. Wszystkie nasze nadzieje związaliśmy z teorią Rekkona. — Poszukał wzrokiem naukowca, który zajęty był właśnie objaśnianiem Chewbacce zasad działania różnych instrumentów. — Z początku nie byłem entuzjastą jego pomysłu, ale przekonałem się widząc, jak bardzo rządowi depczą temu człowiekowi po piętach. Wtedy zrozumiałem, że ma rację.

Torm, zagłębiwszy się w rozważaniach, wydawał się nieobecny duchem. Po chwili jednak wrócił myślami do tej sali.

— Podziwiam pana, kapitanie Solo, za pański altruizm i odwagę konieczną do podjęcia tej misji. Niewielu ludzi z własnej woli ryzykowałoby...

— Pan się myli — przerwał mu Han. — Przyleciałem tutaj wyłącznie z powodu pewnej umowy, którą zmuszony byłem zawrzeć. Jestem człowiekiem interesu, wszystko, co robię, robię dla pieniędzy. Jasne?

Torm popatrzył na niego przeciągle.

— Dziękuję za szczerość, kapitanie. Zrozumiałem, co chciał pan przez to powiedzieć. Dzwonek u drzwi ponownie zabrzączał. Tym razem do sali weszły dwie osoby. Reprezentowały gatunek Trianii, zaliczający się do kocich humanoidów. Jedna była płci żeńskiej. Miała subtelną, delikatną twarz. Sięgała Hanowi mniej więcej do ramienia, patrzyła na niego dużymi żółtymi oczami o pionowych zielonych tęczęwkach. Jej skóra miała dziwaczne zabarwienie — ciemnobrązowa, pręgowana na plecach i po bokach, przechodziła w jasny, kremowy odcień na twarzy, szyi i piersiach. Głowa, szyja i ramiona porośnięte były bujną grzywą. Trianka miała także długi prawie na metr, zwijający się, pręgowany ogon. Odziana była jedynie w krótką przepaskę na biodrach, która jednocześnie podtrzymywała uwieszone na niej narzędzia, instrumenty i amulety. Rekkon przedstawił ją Hanowi jako Atuarre.

Atuarre towarzyszył jej syn, Pakka. Był w zasadzie wierną, zminiaturyzowaną kopią matki. Sięgał jej mniej więcej do pasa i różnił się jedynie nieco ciemniejszym ubarwieniem i pewną ociężałością całej sylwetki. Choć malec miał jeszcze na sobie trochę dziecięcego sadelka, jego oczy patrzyły z mądrością, doświadczeniem i smutkiem właściwym dorosłym. Matka Pakki mówiła ludzkim językiem, dziecko jednak milczało. Han przypomniał sobie opowieść Rekkona o tym, jak malec utracił głos po pobycie w rządowym więzieniu. Podobnie jak Atuarre, Pakka miał na sobie jedynie wąską przepaskę.

— Co oni tutaj robią? — zapytała Atuarre, wskazując Hana i Chewbaccę wąskim palcem, zakończonym ostrym pazurem.

— Są tutaj, by pomóc nam w ucieczce — wyjaśnił Rekkon. — Przywieźli ze sobą komputer, który był mi niezbędny do ostatecznego zanalizowania danych. Czekamy jeszcze na przybycie Engreta. Nie mogłem skontaktować się z nim osobiście, ale nagrałem mu zakodowaną wiadomość, że ma się u mnie stawić.

Atuarre była do głębi poruszona.

— Engret nie odbierał i nie przekazywał żadnych wiadomości, więc idąc tutaj, wybrałam drogę obok jego kwatery. To pewne, że jego mieszkanie jest pod obserwacją. My, Triancıcy, nigdy się w takich sprawach nie mylimy. Rekkon, obawiam się, że Engret nie żyje lub został aresztowany.

Przywódca grupy rebeliantów usiadł zrezygnowany. Przez chwilę Hanowi wydawało się, że siły opuszczają naukowca. Jednak trwało to tylko krótką chwilę, po której na twarz Rekkona powróciły spokój i zdecydowanie.

— Obawiam się, że tak — przyznał. — Niezależnie od okoliczności nie milczałby przez tyle dni. Mam to samo Przeczucie, Atuarre. Od tej chwili uważamy, że Engret został

wyeliminowany z gry.

Ton głosu, którym wypowiadał te słowa, był stanowczy i nie znoszący sprzeciwu. Nie po raz pierwszy zetknął się z niewytłumaczalnym zniknięciem. Han z powątpiewaniem potrząsnął głową — po jednej stronie barykady była niemal absolutna władza, a po drugiej kruche więzy przyjaźni i braterstwa. Han Solo, samotnik i realista w jednej osobie, nie miał wątpliwości, jaki musi być finał tej walki.

— Skąd mamy wiedzieć, czy jest tym, za kogo się podaje? — zapytała Atuarre, wskazując na Hana.

Rekkon spojrzał jej prosto w twarz.

— Kapitan Solo i jego pierwszy oficer Chewbacca przybyli do nas z polecenia Jessy. Mam nadzieję, że nie wątpicie w jej pomoc? Wyjeżdżamy możliwie najprędzej, obawiam się, że nie będzie czasu na pakowanie się i inne przygotowanie. Ani na żadne rozmowy. Z nikim.

Atuarre ujęła za rękę syna, w milczeniu przyglądającego się Hanowi i Chewbacce.

— Kiedy ruszamy?

Rekkon podszedł do konsoly, na której spoczywał Max, żeby zobaczyć, co się w tej chwili dzieje. A właśnie w tej chwili zabłysnął obiektyw komputera.

— Gotowe! — zaświergotał Max.

Podłużna, perforowana taśma informacyjna wysunęła się z jednego z licznych, wielofunkcyjnych otworów. Rekkon pośpiesznie schwytał taśmę.

— Znakomicie. Teraz musimy tylko porównać te dane z wykazem struktur rządowych.

— Ale to jeszcze nie wszystko — wtrącił Max. Rekkon zmarszczył brwi.

— Co jeszcze, Błękitny Maxie?

— Gdy byłem podłączony do systemu, dla orientacji dokładnie mu się przyjrzałem. To nawet śmieszne być intruzem. W całym budynku jest włączony alarm dla sił bezpieczeństwa. Chodzi im chyba o poziom, na którym się znajdujemy—Espowcy są już w drodze.

Atuarre zasyczała i obronnym gestem przytuliła do siebie dziecko. Wyraz twarzy Torma nie zmienił się, jedyną oznaką niepokoju było krótkie, lekkie skrzywienie ust. Rekkon pośpiesznie wetknął do kieszeni taśmę z danymi, jednocześnie sięgając po ukryty dotychczas miotacz. Również Han i Chewbacca z bronią w ręku oczekiwali przybycia wrogów.

— Jeżeli kiedykolwiek jeszcze wpadnie mi do głowy mieszanie się do takich spraw — rzucił Han do Chewie'ego — masz mi dla otrzeźwienia wylać kubek zimnej wody na głowę.

Chewbacca potężnym warknięciem zapewnił go o tym, że to uczyni.

Torm wydobyl z kieszeni na udzie pistolet, a Atuarre sięgnęła do zawieszanej na przepasce sakiewki i wyciągnęła z niej niewielki, przypominający dziecinną zabawkę rewolwer. Również Pakka dobył ze swojej małą, ręczną broń.

— Max — zapytał Rekkon — czy wciąż jesteś podłączony do systemu? — Komputer potwierdził. — Dobrze. Spójrz, jak rozwija się sytuacja w centrum. Na jakich korytarzach, skrzyżowaniach i poziomach zostaną rozmieszczone oddziały Espo?

— Na to nie potrafię odpowiedzieć — odparł Max — ale chyba potrafię was stąd bezpiecznie wyprowadzić. Oczywiście, jeżeli o to wam chodzi.

— O czym ty mówisz? — zainteresował się Han.

— Według informacji pochodzących od centralnego komputera espowcy mają obowiązek reagowania na każdy alarm i rozdzielenia się, by dotrzeć do wszystkich zagrożonych miejsc. Mógłbym wywołać fałszywe alarmy w innych miejscach i tym sposobem rozpierchliby się we wszystkich kierunkach.

— Chyba nie uda się ich tym sposobem całkowicie zmylić — odparł Han. — Lecz na pewno będzie ich mniej. Dobrze, Max. Działaj! — Nagle przyszła mu do głowy inna myśl. — Zresztą poczekaj chwilę. Czy jesteś w stanie wzniecić fałszywe alarmy również poza tym budynkiem?

W głosie małego komputera zabrzmiała nie skrywana duma.

— Mogę to zrobić na całym obszarze Orrona III. Centralny komputer ma potężną pojemność i prawie wszystko, co ma na tej planecie jakieś znaczenie, jest do niego podłączone. Duża oszczędność, ale kiepskie zabezpieczenie, prawda, kapitanie?

— Daj spokój żartom. Zrób, co tylko w twojej mocy: pożary na plantacjach roślinności energodajnej, bunt w koszarach, ekshibicjoniści w kawiarni, wszystko, co tylko zdołasz wymyślić. Na całej planecie.

Pomyślał, że gdyby w powietrzu znajdowały się jakieś statki patrolowe, można by również dla nich wymyślić jakieś ciekawe zajęcie.

Bollux cicho przysunął się do konsoly, na której spoczywał Max, przygotowując się do natychmiastowej ewakuacji partnera, gdy tylko wykona on swoje zadania. Rekkon nie odstępował go ani na krok.

— Są tylko dwie drogi wyjścia, które chyba nie zostały jeszcze obstawione — oświadczył Max, jednocześnie wyświetlając schematy na komputerze.

Obydwie trasy prowadziły w kierunku galerii, na której znajdowały się windy i rynny podnośnikowe. Jedna z nich zaczynała się na poziomie, na którym aktualnie przebywali, druga o poziom wyżej.

Wnętrze budynku rozbrzmiewało wyciem syren alarmowych, wypełniającym każde, nawet najmniejsze pomieszczenie i korytarz. Wszystkie wskaźniki i monitory rozbłyły naraz pulsującym, ostrzegawczym światłem. — Informacje przekazywane przez Maxa wywołały prawdziwe szaleństwo w całym systemie komputerowym. W chwilę później jednak wszelkie zewnętrzne oznaki pracy komputerów ustały, w sali zapanował lekki półmrok rozjaśniany jedynie światłem słonecznym, wpadającym przez panoramiczną szybę. W odpowiedzi na alarmujące informacje centrum dowodzenia odcięło dopływ energii do całego kompleksu. Rozbrzmiewały tylko syreny alarmowe korzystające z zapasowych źródeł energii.

— Korytarze będą bardzo słabo oświetlone — objaśniał Rekkon zebranych przy drzwiach współtowarzyszy. — Może uda nam się prześlizgnąć.

Ostrożnie umieścił Błękitnego Maxa na jego stałym miejscu. Gdy połówki plastrona zamknęły się szczelnie, Bollux, podążając za Rekkonem, dołączył do pozostałych.

— Jeżeli mogę coś doradzić... — nieśmiało odezwał się android. — Wydaje mi się, że zwrócę na siebie mniejszą uwagę niż którekolwiek z was. Mógłbym iść przodem na wypadek, gdybyśmy mieli się natknąć na espowców.

— To dobry pomysł — rzekła Atuarre. — Espowcy nie będą tracić czasu ani energii na strzelanie do robota. Ale niewątpliwie go zatrzymają i wylegitymują, a my dzięki temu wcześniej dowiemy się o pułapce.

Drzwi się uchyliły i Bollux sztywnym krokiem podążył w głąb korytarza. Pozostali poszli za nim — Rekkon, potem Han, a Torm i Atuarre z malcem odrobinę z tyłu. Pochód zamykał Chewbacca, pewnie kroczący z gotową do obrony naciągniętą kuszą. Wookie nie tylko strzegł tyłów, ale równie uważnie obserwował wszystkich, którzy podążali przed nim. Wśród nich znajdował się zdrajca. Nie ufał nikomu, nawet Rekkonowi. Zdecydowany był zastrzelić każdego, kto wykona jakikolwiek podejrzany ruch.

Zbliżali się do zakrętu. Bollux zniknął już za załomem korytarza, gdy nagle rozległo się donośne:

— Stać! Podejdź tutaj, robocie!

Han, ostrożnie wystawiwszy głowę zza rogu, spostrzegł grupę uzbrojonych po zęby espowców otaczających Bolluxa. Docierały do niego urywane fragmenty rozmowy — głównie pytania o to, czy robot widział kogoś po drodze. Chaotyczne odpowiedzi Bolluxa miały świadczyć o szczytowym nierozgarnięciu i gapiostwie robota. Tuż za plecami patrolu korytarz przechodził w obszerną galerię, która wyglądała na rynną transportową. Lecz równie dobrze mogłaby znajdować się dokładnie po drugiej stronie Wspólnego Sektora.

— To nie jest dobra trasa — oznajmił Han.

— W takim razie nie mamy wyboru i musimy iść tą bardziej niebezpieczną — odrzekł Rekkon. — Za mną!

Ruszyli truchtem w głąb korytarza, z którego dopiero co przyszli. Gdy minęli kolejny zakręt, usłyszeli, że zbliża się zbrojny patrol Espo. Po chwili dobiegło ich głuche dudnienie kroków innego, maszerującego w przeciwnym kierunku oddziału.

— Idziemy do najbliższej klatki schodowej! — poinstruował Han Rekkona, który sprowadził ich parę metrów w dół, w kierunku ukrytych drzwi. — Zachowujcie się najciszej, jak możecie — dodał szeptem. Na schodach panował półmrok. — Musimy przejść na wyższy poziom i dotrzeć do tarasu znajdującego się nad rynną.

Chewbacca mimo swego potężnego ciężaru szedł bezszelestnie, podobnie jak Atuarre i jej dziecko. Rekkonowi także lekkie, bezgłośnie poruszanie się nie sprawiało najmniejszych problemów. Jedynie Han i Torm ostrożnie stawiali każdy krok, starając się stąpać jak najciszej.

Kiedy dotarli wreszcie na wyższy poziom, ku swej radości spostrzegli, że jest pusty. Wywołane przez Błękitnego Maxa fałszywe alarmy zdołały odciągnąć część patroli z ich stałych stanowisk. Korzystając z okazji, uciekinierzy puścili się biegiem w głąb lustrzanego korytarza. Trzymali się blisko ścian.

Po chwili dotarli na wznoszący się nad galerią taras. Czołgając się, zbliżyli się do balustrady. Na ułamek sekundy Han wystawił głowę, spojrzął w dół, po czym na powrót przypadł do podłogi.

— Ustawiają przy rynnach stanowisko blasterów — poinformował ich. — Jest tam teraz trzech espowców. Bierzymy ich z Chewbaccą na siebie, a wy musicie przygotować się do skoku. Chewie?

Wookiee skinął głową i zacisnął dłonie na kuszy. Poczłogał się wzdłuż balustrady. Han pochylił się nad Rekkonem i wyszeptał mu do ucha:

— Proszę bacznie obserwować wszystkich pozostałych, nie dajmy rady robić kilku rzeczy naraz.

Poczłogał się w kierunku przeciwnym do tego, w jakim poruszała się Chewbacca. Teraz Han był pewien, że zdrajca nie odważy się zaatakować uzbrojonego, czujnego Rekkona.

Posuwał się równoległe do balustrady, skradając się w kierunku przeciwległej ściany. Ostrożnie wysunąwszy głowę, dostrzegł po drugiej stronie błękitne oczy Wookie'ego. W połowie dzielącej ich drogi, kilka metrów poniżej poziomu, na którym się znajdowali, obsługa blastera dokonywała ostatecznych przygotowań do otwarcia ognia. W ciągu najbliższych paru minut zamierzała uruchomić osłonę deflektorową działa, uniemożliwiając tym samym dotarcie do rynien, a to oznaczałoby, że położenie całej grupy stało się beznadziejne. Hanowi i Chewbacce pozostały już tylko sekundy na działanie. Jeden z espowców pochylił się właśnie nad włącznikiem osłony.

Han poderwał się na równe nogi, wymierzył i oddał strzał. Espowiec upadł, chwytając się za zranioną nogę. Jeden z jego współtowarzyszy wykazał jednak zimną krew i nie czekając na rozkaz otwarcia ognia, skierował na nich strumień energii ze swojego krótkiego paralizatora. Szczęściem chybił, powodując jedynie spore odpryski tynku ze

ścian i sufitu. Nadal jednak wodził lufą w poszukiwaniu celu.

Han musiał się cofnąć, bo strumień energii niszczył wszystko, co znalazło się w polu jego rażenia.

Espowiec zamierzał ponownie nacisnąć spust, gdy z metalicznym gwizdem dosięgły go strzały z kuszy Chewie'ego. Han wychylił się nad balustradą i ujrzał, że drugi espowiec z obsługi działa upadł, rażony krótką strzałą. Chewbacca wprawnie wymienił magazynek swojej broni, przygotowując się do ostatecznej rozprawy z trzecim wrogiem.

Jedyny pozostały przy życiu członek obsługi blastera przerażonym głosem wzywał pomocy, strzelając na oślep z ręcznego miotacza. Han powalił go w chwili, gdy jego dłonie zaciskały się na dźwigni ciężkiego działa. Widząc to, Chewbacca błyskawicznie przeskoczył przez balustradę tarasu. Han pokonał barierkę po swojej stronie, po czym zawołał:

— Rekkon, przyprowadź ich tutaj!

Skoczył w dół i wylądował na czworakach, natychmiast poderwał się i podążył ku Chewbacce, by pomóc mu odciągnąć na bok zwłoki. Torm i Atuarre także już zrećnie zeskoczyli. Pakka fiknął w powietrzu koziołka i wylądował tuż obok matki. Atuarre dała mu lekkiego klapsa, przypominając, że nie jest to odpowiedni czas ani miejsce na popisywanie się.

Jako ostatni dołączył do nich Rekkon, poruszający się z taką wprawą, jakby skakanie z dużych wysokości było jego stałym zajęciem. Han zastanawiał się przez chwilę, w jaki sposób ten wspaniały pracownik uniwersytecki nie postradał sprawności fizycznej. Ładując jako ostatni, Rekkon zabezpieczał się przed ewentualną ucieczką lub pułapką zdrajcy.

Torm zatrzymał się w pewnej odległości od rynien podnośnikowych i dzięki temu ocalał.

— Ich pola zostały wyłączone! — krzyknął.

Przez chwilę Rekkon i Atuarre szamotali się z dźwignią bezpieczeństwa, umieszczoną obok przycisku uruchamiającego urządzenie. Silne dłonie Rekkona zacisnęły się na kracie, zasłaniającej dostęp do tablicy rozdzielczej, po czym wyszarpnęły ją bez widocznego wysiłku.

Na wszystkich górnych korytarzach rozległy się donośne okrzyki i nawoływania. Han ustawił się przy dźwigni działa, oparł stopy na pedałach i włączył osłony deflektorowe.

— Bal się zaczyna!

Uzbrojony po zęby oddział espowców w podobnych do pancerzy mundurach wypadł na górny taras, rozproszył się wzdłuż balustrady i otworzył ogień w kierunku uciekinierów. Ale promienie rażące odbijały się od włączonych osłon. Zbiegowie, ukryci tuż za plecami Hana i desperacko usiłujący uruchomić ryny, byli na razie bezpieczni. Chewbacca, stojący obok swego kapitana, kiedy tylko mógł robił użytek z kuszy, zmieniając co chwilę magazynki. Posyłał wybuchające pociski, więc cała galeria wypełniła się wkrótce kłębamii dymu i odgłosami strzałów.

Han uniósł lufę działa na maksymalną wysokość i otworzył ogień w kierunku balustrady. Ciężki blaster z traskiem ział płomieniami, toteż już po paru sekundach galeria i otaczająca ją balustrada rozpadły się i zostały ogarnięte pożarem. Kilku rządowych odniosło śmiertelne rany, a reszta, oddając pojedyncze, chaotyczne strzały, wycofywała się w popłochu. Galeria rozbrzmiewała echem walki, a powietrze wypełnił biały, gryzący dym.

Han ostrzeliwał wycofujących się długimi seriami, usiłując ich zmusić do padnięcia na ziemię. Galeria i przylegające do niej pomieszczenie rozgrzały się jak piec na skutek ciężkiej wymiany ognia. Czerwone, niszczące wiązki energii odbijały się od ścian,

stwarzając nieustanne zagrożenie. Han zdawał sobie sprawę z tego, że osłona działa nie wytrzyma długo ciągłego ognia.

W dolnym korytarzu, jednym z tych, które prowadziły bezpośrednio na galerię, ukazał się zbrojny oddział. Han opuścił lufę działa i zaczął siać popłoch i zniszczenie na niższym korytarzu. Również i ten oddział się wycofał, ale podobnie jak poprzedni zatrzymał się tuż poza zasięgiem rażenia. Rządowi sporadycznie strzelali w kierunku uciekinierów. Atuarre, Pakka i Torm również sięgnęli po broń, aby wesprzeć Hana i Chewbacę. Naukowiec bez chwili przerwy pracował przy rynnice.

— Rekkon, jeżeli nie zdoła pan uruchomić tego pola, będzie po nas — rzucił Han.

Jeden z espowców pozostających na górnej galerii przechylił się przez balustradę i oddał strzał. Wiązka promieni odbiła się od osłony, ale sądząc po ilości ciepła przepuszczonej przez deflektor, Han stwierdził, że z minuty na minutę skuteczność urządzenia słabnie.

— To bezcelowe — orzekł Rekkon po skontrolowaniu mechanizmu. — Musimy zastanowić się nad inną drogą wyjścia.

— To droga jednokierunkowa! — odkrzyknął, nie odwracając głowy, Han. Na tle odgłosów walki wyraźnie usłyszał złowieszczy ryk Chewie'ego.

— W takim razie niech pan skacze głową w dół szybu — zaproponował Hanowi Torm.

Odpowiedź Hana całkowicie zagłuszyło wycie syren elektronicznych. Był to standardowy sygnał ostrzegawczy używany w prawie całej galaktyce.

— Poważny wyciek radioaktywny! — wykrzyknął Rekkon. — To już nie jest sprawka Maxa!

Nie tylko to — pomyślał Han, przysłuchując się rozbrzmiewającemu we wszystkich korytarzach i na galerii wizgotowi. W przypadku silnego napromieniowania wszystkich czeka niechybna śmierć. Przez samo słuchanie mogą otrzymać śmiertelną dawkę. Han przeklinał w duchu chwilę, w której dał się namówić na opuszczenie swego miłego, przytulnego statku. Poderwał się gwałtownie.

— Przygotujcie się! Musimy się przez nich jakoś przedrzeć, inaczej będzie po nas!

Ponad donośnym wyciem syren, zabrzmiał wysoki, nieco piskliwy głos Atuarre.

— Poczekajcie! Spójrzcie tam!

Blaster Hana był gotowy do unieszkodliwienia kolejnego espowca. Ale zdążająca w ich kierunku postać poruszała się znajomym, nieco sztywnym krokiem, miała wyciągnięte przed siebie ręce i coś w nich trzymała.

— Bollux! — krzyknął Torm, bo był to rzeczywiście android. Robot przeszedł już przez najsilniej oświetloną część galerii, dzierżąc przed sobą duże kuliste megafony. Plastron na piersiach Bolluxa był otwarty, a kable megafonów ginęły gdzieś we wnętrzu robota, tuż obok Maxa. Wypełniający pomieszczenie ryk dobiegał właśnie z tych głośników.

Grupa Rekkona zgromadziła się wokół robota, krzycząc podnieconymi głosami w różnych językach, jednak z powodu donośnego ryku syreny nikt nikogo nie słyszał. Hana z napięcia rozbolala głowa, lecz radość z tego, że żyje była tak wielka, że nie zwracał na to uwagi.

Nagle syrena alarmowa zamilkła. Bollux ostrożnie odstawił megafony i przystąpił do odłączania kabli, cierpliwie przysłuchując się zadawanym mu pytaniom.

— Panie i panowie, jestem szczęśliwy, że mój plan się udał, ale prawdę mówiąc, tylko powieliłem pomysł Maxa z fałszywymi alarmami — poinformował. — Max dowiedział się o alarmach antyradiacyjnych, gdy był podłączony do sieci. Postępując zgodnie z jego instrukcjami, zdjąłem ze ścian te dwa megafony i dokonałem w nich pewnych przeróbek.

Wszystkie korytarze są teraz puste, bo espowcy ubrani byli w opancerzone mundury, a nie kombinezony chroniące przed działaniem promieniowania. Wygląda na to, że się wycofali.

Han przerwał ten potok wymowy.

— Postawcie Maxa przy rynnach. Jeżeli jemu też nie uda się ich uruchomić, będziemy musieli coś wymyślić.

Podprowadził Bolluxa w kierunku uszkodzonej stacji.

— Pola odcięte, tak? — zapiszczał Błękitny Max. — Nie ma się czym denerwować, kapitanie!

— Wystarczy je tylko włączyć, prawda?! — zgryźliwie zapytał Han. — A poza tym, co ty możesz wiedzieć na temat denerwowania się?

Plastron na piersiach Bolluxa otworzył się, ale gniazdko wyjściowe Maxa umieszczone było zbyt wysoko. Chewbacca, który bez wątplenia górował wzrostem nad pozostałymi, odłożył kuszę, wyjął mini komputer z wnętrza Bolluxa i na wyciągniętej ręce zbliżył go do tablicy kontrolnej rynny. Max wysunął końcówkę z adaptorem. W parę sekund później tablica rozbłysła różnobarwnymi wskaźnikami i mechanizm został wprawiony w ruch.

— Działa! — radośnie krzyknął Rekkon. — Szybko, za mną, zanim ktoś się połapie i znowu wyłączy mechanizm!

Ledwo dostrzegalnym gestem Rekkon nakazał Hanowi pilnowanie tyłów. Naukowiec wciąż nie ufał swym ludziom. Jako pierwszy wszedł w pole rynny, tuż za nim ruszyli Atuarre i Pakka radośnie igrający z końcem własnego ogona. Torm, wciąż z bronią gotową do strzału, podążył za nimi.

Z korytarza słyszeli odgłos kroków. Chewbacca, trzymając Błękitnego Maxa, bez zastanowienia dołączył do pozostałych. Han zdołał jeszcze raz wystrzelić z działa, tym razem z nie osłoniętej tarczą strony. Nastąpiła gwałtowna erupcja energii spowodowana przeciążeniem baterii energetycznych. Han, nie oglądając się za siebie, skoczył głową w dół szybu, jak wcześniej proponował mu Torm. Tuż za jego plecami wybuchło przenośne działo.

Pole grawitacyjne ściągało ich w dół. Zadzierając głowy, nerwowo oczekiwali na pierwsze rażące promienie, ale wokół panowała całkowita cisza. Han przypuszczał, że eksplozja działa utrudniła espowcom dostęp do szybu. Miał nadzieję, że minie dłuższa chwila, zanim Espo zorientuje się, że rynna została uruchomiona, ale jednocześnie obawiał się, że pole może zostać w każdej chwili odłączone, a to oznaczałoby dla niego samego, dla Chewie'ego, dla nich wszystkich niechybną śmierć.

W końcu opadli na poziom garaży. Rekkon natychmiast wyszedł z rynny i nakazał innym zrobić to samo. Znajdowali się na skraju ogromnego parkingu. Z daleka docierało do nich donośne wycie syren.

— Miałem nadzieję, że znajdziemy tutaj jakiś statek — oświadczył Rekkon. — Mamy cholernego pecha.

— Jedno jest pewne, już nie wsiądziemy do tej rynny — stanowczo orzekł Han.

— W takim razie wsiądźmy do tego ślizgacza — zaproponowała Atuarre, wskazując zaparkowany nie opodal naziemny pojazd.

Wskoczyli do środka — Han usadowił się za sterami, a Rekkon zajął miejsce obok niego. Chewbacca wraz z pozostałymi ulokowali się w części bagażowej. Wookie usiadł tyłem do kierunku jazdy, nie spuszczał oka ze współpasażerów i wymienił magazynek kuszy. Zanim przystąpił do ponownego umieszczenia Maxa we wnętrzu Bolluxa, ślizgacz ruszył. Han mocno nacisnął pedał gazu, z trudem unikając zderzenia ze ścianą rampy.

Włączył kontrolne systemy sterowania i prowadził pojazd z maksymalną prędkością. Wkrótce pozostawili za sobą kompleks parkingowy oraz sąsiednie zabudowania. Rekkon, widząc jak pewnie Han radzi sobie z kierowaniem, doszedł do wniosku, że podjął słuszną decyzję, powierzając mu stery.

Han miał nadzieję, że nikt nie zdołał jeszcze dotrzeć do centralnego komputera.

Rozumował słusznie. Cała sieć komputerowa centrum została dosłownie zablokowana przekazywanymi z obszaru całej planety informacjami o buntach, awariach i wstrząsach. Ślizgacz opuszczał garaż z prędkością pocisku. Han zmierzał prosto ku otworowi opatrzonemu napisem WYJAZD. Gdy wylatywali poza parking numer rejestracyjny i dokładny opis ślizgacza zostały rutynowo zanotowane w pamięci komputera kontrolującego ruch drogowy.

Prowadzony pewną ręką Hana wspomaganego szczegółowymi instrukcjami Rekkona ślizgacz przedzierał się przez miasto. Wszystkie inne pojazdy w panice pryskały przed lekceważącym przepisem piratem. Han cieszył się z tego, że wcześniej, w biurze Rekkona, zapoznał się nieco z topografią portu powietrznego. Ponieważ ślizgacz był otwarty, wiatr hulał po jego wnętrzu, co uniemożliwiało wszelkie rozmowy.

Na ostatnim zakręcie, tuż przed wjazdem do portu, czekała ich nieprzyjemna niespodzianka. Okazało się, że nie wszyscy w centrum stracili głowy — ślizgacz omal nie roztrzaskał się o zaparkowany w poprzek drogi transporter opancerzony, którego działa wymierzone były prosto w uciekinierów.

Han gwałtownie zahamował, jednocześnie zmieniając raptownie położenie sterów. Silnik zawył i pojazd zjechał z głównej drogi. Przedzierał się teraz przez łąny dojrzewających zbóż. Zboże, w które wjechali, specjalna odmiana areon multinoda, było tak wysokie, że z miejsca ukryło ślizgacz przed oczami zdumionych espowców. Han jednak nie zatrzymał pojazdu, lecz jechał zygzakiem, pewien, że rządowi będą strzelać nawet na oślep. Nie mylił się — mimo że espowcy stracili z oczu cel, otworzyli ogień, licząc na łut szczęścia. Pojazd rządowych nie był przystosowany do poruszania się w powietrzu i Han doskonale o tym wiedział. Znaczyło to, że jeśli prześladowcy zapragnęliby ruszyć w pościg, czekałaby ich wędrówka łąnami zbóż.

Wstał i wystawiwszy głowę nieco ponad przednią szybę, usiłował się zorientować, dokąd jada. Ślizgacz przedzierał się przez zboże, zostawiając za sobą wygniecioną ścieżkę. Han zmrużył oczy, by rozróżnić coś w gęstwinie roślinności, ale nie bardzo mu się to udawało. Po chwili całe wnętrze ślizgacza pełne było odłamanych kłosów, kawałków słomy i pojedynczych ziaren i przypominał wyglądem jakąś dziwną maszynę rolniczą.

Chewbacca wstał, wspiął się na palce i błyskawicznie się rozejrzawszy, wskazał kierunek dalszej jazdy. Bez zadawania zbędnych pytań Han zmienił dotychczasowy kurs. Mocno ujął stery, by uniknąć ryzyka zderzenia z górą żółtego metalu — powoli i cierpliwie pracującym na bezkresnym polu Orrona III kombajnem.

Wyprowadził ślizgacz na otwarte pole, oczyszczone już przez maszynę. Widząc górujące w oddali zabudowania portu kosmicznego i liczne barki transportowe, skierował ślizgacz w ich stronę.

Ścigający ich rządowy pojazd również wynurzył się z gęstwiny, jednak dzieliła ich od niego dosyć spora odległość. Han nie tracił czasu na obserwacje — prowadził ślizgacz zakosami, by uniknąć ognia wroga. Wokół raz po raz wybuchały pociski z ciężkiego blastera, od których zapalało się rzyisko.

Han gwałtownie skręcił pod ostrym kątem, by za wszelką cenę zejść z linii ognia, ale wrogi pojazd był coraz bliżej i bliżej, bluzgał ogniem coraz częściej i z coraz mniejszej odległości. Han ponownie skręcił — tym razem już zdecydowanie w stronę portu, jednak espowski strzelec odgadł jego zamiary, działa wypaliło i pocisk eksplodował tuż za ślizgaczem.

Uszkodzonym pojazdem gwałtownie zatrzęsło, nos maszyny głęboko zarył w ziemię. Ślizgacz przejechał jeszcze parę metrów, po chwili stanął, a z silnika zaczęły się dobywać kłęby gęstego dymu.

Han, do ostatnich sekund usiłujący zapanować nad sytuacją, na skutek uderzenia głową

w przednią szybę stracił przytomność, a pęd powietrza wyrzucił go z pojazdu. Gdy się ocknął, leżał na plecach na kłującym rżysku i czuł tylko przejmujący ból kręgosłupa. Patrząc w niebo Orrona III, zastanawiał się, czy jego kości zamieniły się w konfetti.

— Wszyscy wysiadać — oznajmił słabym głosem. — To już koniec podróży.

Pozostali uciekinierzy, choć mocno poturbowani, wygramolili się jakoś z kabiny. Han poczuł, że czyjeś silne ręce unoszą go jak dziecko — to były ciemne dłonie Rekkona. Stwierdził, że jest mniej więcej cały.

— Biegnijcie do portu! — rozkazał Rekkon. Wyraźnie słyszeli już ryk pracującego na pełnych obrotach silnika wozu espowców.

Han otrząsnął się z oszołomienia. Espowcy zbliżali się błyskawicznie. Rekkon położył go na ziemi tak, by znajdował się pod osłoną zniszczonego ślizgacza. Wydobył skądś broń, odbezpieczył i przygotowywał się do obrony. Han instynktownie wyszarpnął z kabury blaster i krzyknął do Wookie'ego:

— Chewie, przędziej! Popędź ich!

Wookie, wciąż trzymając w dłoni Błękitnego Maxa, groźnie warknął, nakazując pozostałym wypełnienie rozkazu Hana. Atuarre, na wpół niosąc na wpół wlokąc Pakkę, pomknęła w kierunku majaczących zabudowań portu. Torm biegł za nimi. Nawet Bollux, nie zważając na wewnętrzne uszkodzenia, jakich mógł doznać w wyniku wstrząsów, poruszał się bardzo prędko jak na swoje możliwości. Ostatni, od czasu do czasu spoglądając przez ramię, biegł Chewbacca. Przed nimi wyrósł kolejny łańcuch zboża obrabiany przez inne kombajny, a za nim ciągnął się już mur okalający kompleks zabudowań portowych.

Han poczuł, że na czoło wystąpiły mu drobne kropelki zipanego potu, starł je dłonią i ujrzał krew na palcach — widocznie dosięgły go odłamki pękającej szyby. Rekkon skończył już przygotowywanie broni i czekał, aż wróg dotrze na odległość strzału. Pojazd zbliżał się do nich z przerażającą prędkością.

Jego kierowca, widząc uciekające w kierunku portu postacie, nie zauważył dwóch kryjących się za wrakiem ślizgacza mężczyzn. Gdy pojazd był już dostatecznie blisko, Rekkon, wystawiwszy ramię zza osłony, nacisnął spust. Broń wyrzuciła z siebie potężny strumień niszczącej energii, zdolnej zmieść z powierzchni ziemi całą baterię ogniową. Han podziwiał zimną krew i odwagę Rekkona — gdyby pistolet przypadkiem eksplodował w jego dłoniach, po żadnym z nich nie pozostałby nawet ślad.

Strumień energii trafił w szybę i osłonę pojazdu, co sprawiło, że wóz parokrotnie przeokołkował, po czym zarył w ziemię, zostawiając za sobą głębokie bruzdy.

Opuszczając blaster, Han dostrzegł, że lufa pistoletu Rekkona była rozpalona do białości, a twarz naukowca pokryła się drobnymi kropelkami potu. Rekkon odrzucił bezużyteczną już w tej chwili broń.

— Musiał pan pobierać nauki w dziwnych szkołach — oświadczył Han, podnosząc się, by pobiec za Chewbaccą.

Rekkon w milczeniu przyglądał się unieszkodliwionemu pojazdowi. Uzbrojeni espowcy, wciąż jeszcze nieco oszołomieni, niezdarnie wyłazili z kabiny, by kontynuować pościg na piechotę. Dwulufowe działo, uszkodzone i pogiete, było już bezużyteczne.

— Kapitanie Solo, chyba musimy ruszać w dalszą drogę! — stwierdził Rekkon, cofając się o krok.

Han oddał w kierunku wrogów kilka pojedynczych strzałów. Dystans, który ich dzielił, był dosyć duży, ale espowcy wciąż tkwili nieruchomo na ziemi. Han ze spuszczoną głową podążył za Rekkonem, cały czas myśląc tylko o tym, czy zdołają dotrzeć do portu, zanim dosięgnie ich pogoń. Większe szanse mieli espowcy.

Przez dłuższą chwilę biegł wpatrzony w sandały Rekkona i czekał, kiedy dosięgnie go śmiercionośny strzał. W pewnym momencie uniósł głowę, by wziąć głębszy oddech.

Ujrzał olbrzymi kombajn, ścinający pas zboża mniej więcej dwudziestometrowej szerokości i napełniający ziarnem potężny kontener. Skierowali się nieco w bok, by ominąć kolosa w bezpiecznej odległości. Han dostrzegł na maszynie jakieś sylwetki, ale z powodu znacznej odległości nie mógł ich rozpoznać.

Nagle kilkadziesiąt centymetrów od nich uderzył w ziemię potężny strumień energii. Espowcy deptali im po piętach. Han i Rekkon instynktownie skręcili nieco w prawo, by skryć się za olbrzymim kombajnem. Kluczając, chwilami biegnąc, a chwilami po prostu maszerując, przedzierali się przez złotoczerwoną gęstwinę. Od czasu do czasu widzieli sylwetki pozostałych uciekających.

W pewnej chwili Han, jakby tknięty złym przeczuciem, raptownie się zatrzymał. Biegący równoległe z nim Rekkon zrobił to samo i chwilę tak stali, dysząc ciężko.

— Gdzie jest Chewie? — wykrztusił wreszcie Han.

— Chyba gdzieś przed nami, trudno powiedzieć w tej gęstwinie.

— Na pewno nie. Tylko jego łatwo dostrzec na tym polu. — Han wyprostował się, wciąż czując przy gwałtowniejszych ruchach skutki uderzenia. — W takim razie na pewno został z tyłu. — Nie zważając na protesty Rekkona, ruszył biegiem w kierunku, z którego dopiero przybyli.

Gdy tylko wybiegł na otwarte pole, natychmiast zrozumiał, co się wydarzyło. Chewbacca, oceniwszy, że jego przyjaciele nie zdołają ująć pogoni, postanowił w jakiś sposób odciągnąć uwagę espowców.

Han nawoływał go do powrotu, ale Wookie był uparty. Trzymając pod pachą Błękitnego Maxa, z kuszą zarzuconą na ramię, podbiegł do olbrzymiego kombajnu. Chwycił się jedną ręką poprzecznej, metalowej belki w bocznej części maszyny i podciągnąwszy się, wszedł do kabiny, w której umieszczone było centrum sterowania kombajnu.

Usadowił się w fotelu, próbował zdjąć blokadę panelu. Była solidnym wytworem techniki, więc nie poddawała się łatwo. Han i Rekkon patrzyli, jak Chewie usiłuje zająć dogodniejszą pozycję, a potem natęży wszystkie siły. Wreszcie blokada puściła i Wookie odrzucił ją na bok. Przerwał łączność radiową, po czym zaczął przystosowywać panel do podłączenia Błękitnego Maxa. Nie mógł słyszeć ostrzegawczych okrzyków Hana głoszonych przez warkot potężnej maszyny. Nie mógł również dostrzec trzech espowców, którzy zdołali dotrzeć do jednej z bocznych drabinek i wspinali się teraz do kabiny.

Han był zbyt daleko, by strzelać. Bezradnie obserwował, jak rządowi coraz bliżej podchodzą do Chewie'ego. Silnik kombajnu z lekka się zakrztusił, ale w chwilę później wydawało się, że wszystko pójdzie gładko, bo Błękitny Max w pełni kontrolował już pracę całego mechanizmu. Gdy espowcy dotarli na szczyt drabiny i wymierzili blastery w plecy Wookie'ego, silnik kombajnu raptownie zaskoczył i całą maszyną silnie zatrzęsło.

Jeden z rządowych o mało nie spadł i widocznie krzyknął z przerażenia, gdyż Wookie nagle obejrzał się i dostrzegł trzy skulone sylwetki. Chwycił kuszę i wystrzelił. Ranny espowiec spadł na rżysko. Ale na skutek jakiegoś zbyt gwałtownego, nieostrożnego ruchu Chewbacca również stracił równowagę. Kombajn niespodziewanie skręcił i Wookie desperacko walczył o to, by nie spaść z maszyny. Udało mu się to, chociaż nie zdołał utrzymać kuszy.

— Chewie! — wrzasnął Han rozpaczliwie, chcąc ruszyć na pomoc przyjacielowi.

Ale Rekkon mocno chwycił go za ramię.

— Nie możesz tam teraz iść! — krzyknął naukowiec. Jak spod ziemi wyrosli następni espowcy i zamykali krąg wokół wolno poruszającego się kombajnu.

Chewbacca z gołymi rękami rzucił się na dwóch espowców na kombajnie, zanim ci na dobre przysli do siebie. Jednego chwycił za gardło, w stalowym uścisku zmiażdżył mu kark, nim przeciwnik zdołał sięgnąć po broń. Ale drugi, walcząc o życie, ucpepił się

kurczowo nogi Chewie'ego.

Max w pełni przejął kontrolę nad kombajnem. Skierował go prosto w stronę oddziału Espo. Ale zajęty obsługą dosyć prymitywnej maszyny Max nie zdawał sobie sprawy z kłopotów Wookie'ego. Gwałtowny ruch kombajnu stracił espowca i Chewie'ego na rżysko. Chewbacca wprawdzie nie odniósł przy upadku żadnych poważniejszych obrażeń, jednakże zanim zdołał wstać, otoczyli go espowcy.

Han, bezskutecznie usiłujący uwolnić się z uścisku Rekkona, z bezsilną wściekłością zaciskał zęby.

— Nic na to nie poradzisz! Popatrz, ilu ich jest. Lepiej żyć, pozostać na wolności i pomóc Wookie'emu później!

Han splunął pogardliwie, wrywając blaster z kabury.

— Ręce przy sobie! Tym razem nie żartuję! Rekkonowi wystarczyło jedno spojrzenie na twarz Hana,

by się przekonać, że Solo gotów jest zastrzelić każdego, kto stanie między nim a Chewbacca. Cofnął się więc, a Han z bronią w ręku pospieszył w kierunku tłumu otaczających Chewie'ego rządowych.

I wtedy Rekkon zaatakował. Han nie wiedział właściwie, co się stało — w jednej chwili przez cały jego kręgosłup przeszedł przeszywający, paraliżujący ból. Prawdopodobnie naukowiec, doskonale znający ludzką anatomię, nacisnął jakiś splot nerwowy lub mocno uderzył Hana pięścią w kark. Solo upadł bezwładnie jak szmaciana lalka.

Kombajn, poruszający się teraz o wiele szybciej, zawrócił i ponownie zdążył w kierunku espowców. Strzelali do maszyny, ale ręczną bronią trudno zatrzymać takiego giganta. Wprawdzie jakieś niewielkie blaszki i płytki zostały odstrzelone, lecz kombajn nadal parł do przodu. Kilku rządowych, którzy nie zdążyli uciec w pole, zginęło w potężnej paszczy maszyny.

Max zorientował się w sytuacji i usiłował umożliwić Chewie'emu wskoczenie na kombajn. Ale oddział Espo uprowadzał już bezwładnego Chewbaccę w nieznaną. Max nie mógł podążyć za nimi, by nie zranić Wookie'ego ogromną maszyną. Co więcej, ogień rządowych stał się o wiele mniej chaotyczny i siał coraz większe zniszczenie w obudowie kombajnu. Max żałował, że nie ma przy nim Bolluxa — sam nie był przyzwyczajony do podejmowania tego typu decyzji. Nie widząc żadnej alternatywy, postanowił dołączyć do uciekinierów. Zręcznie zawrócił kombajn i przyspieszając, skierował go do portu.

Han jak przez mgłę czuł, że Rekkon unosi go lekko za ramię. Gdy kombajn zrównał się z nimi, naukowiec rozpędził się, podskoczył i schwycił za jeden z ostatnich szczebli drabinki. Podciągnął Hana i troskliwie ułożył go na pomoście roboczym. Han, lekko unosząc głowę, ujrzał w oddali oddział Espo, ciągnący jego przyjaciela, teraz więźnia. Przetoczył się przez ramię, podejmując ostatnią, desperacką próbę udzielenia Wookie'emu pomocy. Rekkon jednak był tuż przy nim — schwycił go mocno i potrząsnął ze straszną siłą.

— To przecież mój przyjaciel! — wyjęczał Han. Rekkon potrząsnął nim jeszcze parokrotnie.

— Zatem pomóż swojemu przyjacielowi! — tłumaczył. — Zrozum jedno: musisz ocalić siebie, by ocalić Wookie'ego, a nie skazywać na śmierć was obu!

Ogromna siła przekonywania Rekkona sprawiła, iż Han zrozumiał, że naukowiec ma rację. Chwytnąjąc się balustrady pomostu roboczego, postąpił parę kroków do przodu i wpatrywał się w znikające na horyzoncie sylwetki Chewie'ego i espowców.

— Och. Chewie, przyjacielu... — jęknął z rozpaczą.

ROZDZIAŁ VII

Podjeżdżając kolejno do wszystkich uciekinierów Max za każdym razem zmniejszał prędkość kombajnu, by mogli wspiąć się na maszynę. Najpierw dotarł do Bolluxa, który mimo rozpaczliwych wysiłków pozostał daleko w tyle. Robot ostatek sił chwycił za szczebel drabinki i podciągnął się. Następnie dołączył do nich Torm, umiejętnie wspiąwszy się na platformę roboczą. Na samym końcu Atuarre i Pakka — malec kurczowo trzymał się ogona matki. Mając już wszystkich pasażerów na pokładzie, Błękitny Max dodał gazu i poprowadził maszynę prosto do portu.

Rekkon wciąż z lekka podtrzymywał Hana, lecz teraz już tylko po to, by nie spadł.

— Kapitanie, musi się pan pogodzić z faktem, że w tej chwili nic więcej nie może pan zrobić. Szanse dotarcia do Wookie'ego tutaj, na Orronie III, są w tej chwili minimalne. Poza tym wątpliwe, żeby pozostał tu długo. Na pewno zabiorą na przesłuchanie, jak innych. Nasza misja stała się teraz również pańską. Jestem przekonany, że Wookie dołączy do reszty szczególnie niebezpiecznych wrogów Rządów.

Han starł ściekającą z czoła krew, z trudem wstał i zaczął wspinać się po drabince.

— Dokąd się pan wybiera? — zapytał Rekkon.

— Przecież ktoś musi powiedzieć Maxowi, dokąd jedziemy — odrzekł Han.

Port otoczony był dziesięciometrowej wysokości ogrodzeniem z drutu kolczastego, podłączonego do źródła o bardzo wysokim, śmiertelnie napięciu dostarczonym z rozlokowanych wzdłuż całego ogrodzenia zasilaczy przekąźnikowych. Zwykły człowiek, czy nawet żołnierz w kombinezonie ochronnym nie miał co marzyć o przedostaniu się przez tę zapórę, ale kombajn stanowił pewną osłonę.

— Na platformę! — krzyknął Rekkon. — Stanać na izolowanych stopniach!

Wszyscy, łącznie z Hanem, udali się na wyznaczone miejsca, stawiając stopy na wykładzinie izolującej.

Max umieścił ostrza tnące kombajnu w pozycji roboczej i dodał gazu, by całym pędem wjechać w ogrodzenie. Promienie energii i snopy iskier odbijały się od kadłuba kombajnu, nie czyniąc jednak żadnej krzywdy ukrytym na nim uciekinierom. Trwało to krótką chwilę — w parę sekund później pod naporem ogromnej maszyny powstała w ogrodzeniu dwudziestometrowa wyrwa. Poruszali się teraz po równinie, zdążając prosto w kierunku lądowisk.

Han podciągnął się na rękach i spojrzał na Maxa, umieszczonego w niewielkiej niszy kontrolnej.

— Czy mógłbyś zaprogramować tę maszynę tak, aby poruszała się sama?

Obiektwy komputera zwrócił się w jego kierunku i porozumiewawczo zamrugał.

— Właśnie do tego jest przeznaczona, ale obawiam się, że w jej pamięci można zawrzeć tylko najprostsze rozkazy, kapitanie. Jest okropnie głupia jak na maszynę.

Han w myślach ważył swoje przypuszczenia, przecucia i wiedzę o systemach zabezpieczających.

— Na pewno wyślą ludzi do tej części portu, w której lądują statki pasażerskie. Nie wpadnie im raczej do głowy, że podróżujemy zwykłą barką. Ale na pewno będą również szukać tej maszyny, Max. Zaprogramuj ją w ten sposób, żebyśmy zyskali kilka minut na zmycie się stąd, a potem wyślij ją do głównego portu. — Zwrócił się do pozostałych:

— Czas wysiadać! Ewakuujemy się!

Przez chwilę ze środka Błękitnego Maxa dolatywały piski i trzaski, po czym wszystko wróciło do normy i komputer zameldował:

— Gotowe, kapitanie, ale lepiej będzie, jeśli szybko stąd uciekniemy.

Han odłączył wszystkie kable i zaciski podłączone przez Chewbaccę i wyjął komputer z niszy kontrolnej. Nacisnął guzik zwalniający taśmę, wyciągnął ją, po czym przewiesił sobie Maxa przez ramię.

Gdy zeskoczył z kombajnu, Rekkon i reszta już byli na płycie. Przez chwilę obserwowali, jak potężna maszyna rusza z miejsca, nabiera prędkości i kieruje się w głąb portu, manewrując pomiędzy rzędami barek. Przebywając jeszcze w kabinie kombajnu, Han zlokalizował lądowisko, gdzie stał ukryty pod kadłubem barki „Tysiącletni Sokół”. Przekazał Błękitnego Maxa Bolluxowi i biegiem ruszył do statku. Cała reszta bez słowa podążyła za nim.

Zewnętrzny luk był tylko przymknięty. Han odciągnął klapę, po czym uruchomił mechanizm opuszczający rampę a zarazem otwierający wewnętrzny luk. Wskoczył na pokład, wpadł do sterowni i przystąpił do uruchamiania silników.

— Rekkon, sprawdź, czy wszyscy są na pokładzie! — zawołał.

Wcisnął na głowę hełmofon i, wbrew wszelkim zaleceniom, zdecydował się zrezygnować z próbnego rozruchu silników. Ustawił ich pracę od razu na pełną moc. Modlił się w duchu, by na skutek jakiegoś drobnego zatarcia czy defektu wszyscy nie wylecieli w powietrze i by statek wystartował.

Miał nadzieję, że uda im się odlecieć z powodu biurokracji. Gdzieś daleko, wśród łąnów zbóż jakiś oficer Espo najprawdopodobniej usiłuje wytłumaczyć zwierzchnikowi, co się naprawdę wydarzyło. Ten z kolei będzie musiał skontaktować się z centrum dowodzenia portu. Wziąwszy pod uwagę cały ten łańcuch wzajemnych zależności, istniała szansa na to, że „Sokół” zdoła umknąć.

Han naciągnął rękawiczki i czynił ostatnie przygotowania do startu. Dotkliwie odczuł swą samotność. Przywykł do pomocy Chewie’ego, więc gdy go zabrakło, nagle wszystkie rzeczy na statku przestały być na swoim miejscu.

Sprawdził odczyty komputerowe barki i szpetnie zaklął. Bollux właśnie wszedł do sterowni z wiadomością od Rekkona.

— Czy coś nie gra, kapitanie? — spytał.

— To wszystko przez tę nieszczęsną barkę! Jakiś nadgorliwiec zlecił napełnienie jej zbożem!

Wskazania instrumentów były niestety niezbitym tego dowodem — kilkaset tysięcy ton ziarna wypełniało potężny kontener transporterowy. Wszelkie nadzieje na szybki start legły w gruzach.

— Czy nie może pan — dopytywał Bollux, przeciągając każdą zgłoskę — pozbyć się kadłuba barki?

— Nawet gdyby było to w tej chwili możliwe i gdybym nie uszkodził przy tym „Sokoła”, muszę go wyprowadzić poza zasięg bezpośredniej obrony powietrznej portu i pozostałych patrolowców. — Obrócił się w fotelu i krzyknął w kierunku przejścia: — Rekkon! Wyznacz kogoś do obsługi działek, obawiam się, że może być gorąco! — Han wprawdzie mógł siedząc w sterowni zdalnie kierować działkami i na wieżyczkach i tymi umieszczonymi w dolnej części kadłuba, ale nie mogło to zastąpić pomocy dobrych strzelców. — I bądźcie gotowi! Startujemy za dwadzieścia sekund!

Starał się zapomnieć o tym, że silniki barki rozgrzewały się o wiele dłużej.

Kontrola naziemna, spostrzegwszy, że jedna z barek przygotowuje się do odlotu, przekazała rozkaz wstrzymania się ze startem, sądząc, że ma do czynienia z załogą złożoną z samych robotów. Han potwierdził odbiór rozkazu startu, jakby właśnie taki rozkaz otrzymali. Kontrola naziemna, uważając, że nastąpiła kolejna awaria systemu komputerowego, ponownie przekazała rozkaz.

Han zwiększył moc silników, barka oderwała się od ziemi mimo ostrzeżeń wieży kontrolnej. Gdy nabierała wysokości, poprawiła się widoczność ze sterowni — już po krótkiej chwili Han dostrzegł opuszczony kombajn zbożowy. Znajdował się teraz mniej więcej w samym sercu portu, otoczony pojazdami pancernymi, ślizgaczami i działami. Mimo licznych widocznych gołym okiem uszkodzeń zaprogramowana maszyna wciąż powoli posuwała się naprzód, prosto w kierunku wyznaczonego jej celu.

W chwilę później, na oczach Hana, kombajn zamienił się w stertę bezużytecznego złomu. Otaczające go działa wypaliły jednocześnie. Widocznie ktoś zdecydował się unicestwić maszynę, niezależnie od tego, czy byli tam ludzie, czy też nie. Kombajn stanął w płomieniach, po czym na skutek eksplozji systemu napędowego rozpadł się z taką siłą, że espowcy musieli się cofnąć.

Choć solidnie obciążona, barka wzniosła się, nie zważając na polecenia wieży kontrolnej, i Han ujrzał miejsce, gdzie schwytano Chewie'ego. Wokół zniszczonego kombajnu gromadziły się coraz to nowe pojazdy Espo. Han nie był w stanie dociec, czy jego przyjaciel znajdował się jeszcze tam, gdzie go pojmano, czy też został już stamtąd zabrany. Na polach duże grupy rządowych przeczesywały teren w poszukiwaniu uciekinierów. Rekkon miał słusność — należało jak najprędzej oddalić się z Orrona III. Niespodziewanie barką wstrząsnęło i wszyscy pasażerowie znaleźli się na podłodze. Pełen najgorszych obaw Han włączył ekrany dające obraz rufowej części statku. Bollux, który również o mało nie upadł, zasiadł w fotelu nawigatora, dopytując się, co było przyczyną wstrząsu. Han nie zwracał na niego najmniejszej uwagi.

To był statek patrolowy, poruszający się po orbicie transpolarnej — ten sam, który ukazał się na ich radarach tuż przed lądowaniem. Nawet Rekkon nie znał widać wszystkich systemów, którymi Rządy zabezpieczały Orrona III. Zmierzająca ku nim jednostka okazała się ogromnym pancernikiem, starym statkiem załogowym klasy Niezwyciężony — długim na dwa kilometry, najeżonym niezliczonymi wieżyczkami, wyrzutniami rakiet, generatorami promieni ściągających i pół deflektorów i opancerzonym jak góra z protostali. Pancernik zażądał, aby barka się zatrzymała, jednocześnie podał własne dane identyfikacyjne i nazwę — „Zemsta Shannadora”. Han, ku swemu przerażeniu, zorientował się, że olbrzym przyciągnął ich do siebie podwójną wiązką promieni ściągających o nieporównanie większej mocy niż te wysłane przez niewielki statek na Duroonie.

— Wpadliśmy jak śliwki w kompot — stwierdził, na wszelki wypadek przygotowując działa do obrony i ustawiając tarcze osłonowe w pozycji bojowej.

Wiedział jednak doskonale, że były to wyłącznie działania pozorne — wróg był tak znakomicie uzbrojony, że bez trudu poradziłby sobie z setką stateczków wielkości „Sokoła”. Han nacisnął guzik interkomu.

— Ten wstrząs, to była wiązka ściągająca. Zachowujcie się, jak gdyby nigdy nic. Może być gorąco.

Pomyślał, że mogą się tylko modlić. Nie zamierzał jednak oddać się żywy w ich ręce. Lepiej rozwalić parę jednostek Espo, niż gnić w jakimś rządowym więzieniu.

Nagle usłyszeli donośny trzask i zgrzyt rozdzieranego metalu. Pod wpływem wiązki ściągającej kadłub barki uległ poważnemu uszkodzeniu — jego boczna część została oddarta i poszybowała w przestrzeń w kierunku „Zemsty Shannadora”-

Han dostrzegł w tym pewną szansę ratunku. W bocznej części tablicy rozdzielczej sterowni znajdowały się wszystkie urządzenia i dźwignie nawigacyjne barki. Przypatrując im się uważnie, Han krzyknął do pasażerów:

— Trzymać się mocno! Będziemy...

Mocniej oparł się w fotelu i pociągnął za dźwignię służącą do opróżniania kontenera

transportowca. Setki tysięcy ton ziarna przyciągane przez wiązki promieni, sypały się ogromną smugą i leciały za statkiem patrolowym.

Pancernik został otoczony chmurą ziarna, a jego czujniki oślepił. Ale obserwując wskazania przyrządów „Sokoła”, Han dostrzegł, że mimo ograniczonej widoczności statek się zbliża. Wiązki ściągające wciąż ograniczały zdolność poruszania się barki. Solo zastanawiał się, ile czasu upłynie, nim kapitan pancernika wyda rozkaz otwarcia ognia. Mieli jeszcze jedną jedyną szansę. Han wdusił parę przycisków, pociągnął za dźwignię, zmniejszając do minimum prędkość barki. Drugą ręką sięgnął po drążek uruchamiający napęd „Sokoła”.

Kadłubem barki zatrzęsło na skutek raptownego hamowania, rozległy się pojedyncze, donośne odgłosy eksplodujących ładunków i dodatkowe elementy maskujące odpadły, całkowicie odsłaniając kadłub frachtowca. Ułamek sekundy później silniki „Sokoła” zawyły, bluznęły ogniem i odrzuciły mniejszą jednostkę od cięższej barki. Han przezornie nie zmieniał na razie kursu, manewrując w ten sposób, by bezużyteczny już w tej chwili olbrzymi kadłub znajdował się pomiędzy „Sokołem” a pancernikiem. Jego kapitan z powodu oślepienia czujników nie zwrócił jeszcze uwagi na drastyczny spadek prędkości, z jaką poruszała się barka, i już za chwilę miał za to drogo zapłacić. Przygotowywał się właśnie do niewielkiej korekty toru lotu, gdy pancernik całym impetem uderzył we wrak. Monitory „Zemsty Shannadora” rozbłysły światłami alarmowymi i na wszystkich pokładach zawyły syreny. Było już jednak zbyt późno na uniknięcie kolizji. Pancernik przeciął barkę na dwie części, ale jego kadłub został przy tym uszkodzony i wygięty pod wpływem dekompresji.

„Sokół” tymczasem wznosił się już ku górnym warstwom atmosfery. Kapitan Solo zagrał na nosie całym siłom zbrojnym, lecz nie poprawiło mu to nastroju. Myśl o skoku w bajeczną nadprzestrzeń również nie. Nie mógł pogodzić się z faktem, że Chewbacca, jego jedyny prawdziwy współpracownik i przyjaciel, znajdował się teraz w rękach bezwzględnych Rządów Wspólnego Sektora.

Kiedy gwiazdy rozstały się przed nim i gdy jego statek był bezpieczny w nadprzestrzeni, Han przez dłuższą chwilę pozostawał w bezruchu, zastanawiając się, kiedy ostatnio pilotował „Sokoła” samodzielnie, bez pomocy Wookie’ego. Rekkon miał niewątpliwie rację, żądając natychmiastowego opuszczenia Orrona III, ale nie zmniejszyło to wyrzutów sumienia Hana i poczucia, że pozostawił przyjaciela na pastwę losu.

Lecz żał to strata czasu. Han zdjął hełmofon i uniósł się z fotela. Wszelkie nadzieje pokładał teraz w Rekkonie. Podążył w kierunku kabiny dziobowej, która była zarazem salonem, jadalnią i gabinetem „Sokoła”. Jeszcze zanim się tam znalazł, zdał sobie sprawę, że musiało się wydarzyć coś niedobrego. Powietrze było przesiąknięte silnym zapachem ozonu, tak charakterystycznym dla broni laserowych.

— Rekkon!

Han pospieszył w kierunku naukowca bezwładnie opartego o tablicę rozdzielczą. Ktoś strzelił do niego z tyłu cienką jak igła wiązką laserową. Odgłos strzału najprawdopodobniej nie wydostał się nawet poza wąskie ścianki oddzielające cabinę od pozostałej części statku. Na podłodze, pod ciałem Rekkona, leżał przenośny czytnik. Obok spoczywał pasek z danymi. Rekkon już nie żył — zginął od strzału oddanego z bardzo bliskiej odległości.

Han pochylił się, podniósł skrawek taśmy i przez chwilę w milczeniu zastanawiał się, co robić dalej. Rekkon był jego jedyną szansą uratowania Chewie’ego i wydobycia się z tarapatów, w których się znalazł. Po raz pierwszy w życiu Solo poczuł się naprawdę przygnębiony. — Rekkon nie żył, z takim trudem zdobyte informacje stały się bezużyteczne, a na dodatek na pokładzie znajdował się zdrajca i morderca w jednej

osobie. Han rozejrzał się, ściskając kurczowo blaster — kabina i prowadzący do niej korytarz były puste.

Dobiegło go stukanie stóp, uderzających o szczeble głównej drabiny prowadzącej z maszynowni na górny pokład. Han błyskawicznie znalazł się przy niej, o mały włos nie zderzając się z wynurzającym się z czeluści statku Tormem. Zastępca Rekkona w zdumieniu przypatrywał się wymierzonemu w siebie blasterowi.

— Oddaj broń, Torm. Oprzyj dłonie na szczeblach, o właśnie, tak, i nie rób głupstw, bo zginiesz.

Gdy odebrał Tormowi broń, pozwolił mu stanąć na pokładzie, a potem wziął także pas z amunicją. Sprawnie go zrewidował i nie znalazłszy przy nim żadnej innej broni, bez słowa polecił mu wejść do kabiny. Teraz wezwał Atuarre i Pakkę. Nie spuszczał wzroku z twarzy Torma, wpatrującego się w ciało Rekkona.

— Gdzie jest Pakka? — zapytał cicho. Rudzielec wzruszył ramionami.

— Rekkon polecił mu znaleźć apteczkę. Nie tylko pan podczas ucieczki doznał obrażeń. Malec poszedł się rozejrzeć. Domyślam się, że myszkuje po wszystkich zakamarkach.

— Spojrzawszy raz jeszcze na zwłoki Rekkona, zapytał zbolalym głosem: — Kto to zrobił? Pan, kapitanie?

— Nie. Ale lista podejrzanych jest bardzo krótka. Usłyszał lekkie kroki nadchodzącej Atuarre i skierował na nią lufę odbezpieczonego blastera.

Twarz Trianianski była maską nienawiści.

— Ośmiela się pan mierzyć do mnie?

— Zgadłaś! Rzuć broń, o tam, ostrożnie. Teraz wejdź i odepnij pas. Rekkon został zamordowany i możliwe, że to właśnie twoja sprawka. Ostrzegam: żadnych głupich sztuczek. Nie będę powtarzał.

Na wieść o śmierci Rekkona żrenice Atuarre rozszerzyły się z przerażenia i widać było, że mimo wściekłości jest naprawdę wzburzona tą wiadomością. Skąd mam wiedzieć, czy jej reakcja jest prawdziwa, czy odgrywa przede mną komedię? — pomyślał Han.

Zaprowadził ich do kabiny dziobowej, ale wciąż był wstrząśnięty i zrozpaczony.

Z tyłu dobiegły go kroki nadchodzącego ze sterowni Bolluxa. Nie odwrócił jednak głowy, dopiero usłyszawszy ostrzegawczy krzyk robota wykonał w powietrzu półobrót i przypadł do podłogi z bronią wymierzoną prosto w Pakkę, który niezdecydowanie w jednej dłoni ścisnął swój minipistolet, a w drugiej apteczkę.

— On myśli, że chcesz mnie skrzywdzić! — oznajmiła Atuarre, postępując krok w kierunku dziecka.

Han wycelował w nią blaster, kątem oka obserwując Pakkę.

— Powiedz mu, aby rzucił broń i podszedł do ciebie, Atuarre! Natychmiast!

Zrobiła jak kazał, i Pakka, przenosząc wzrok z matki na Hanę, podbiegł do niej.

Torm zdjął z ramienia malca podręczną apteczkę, po czym podał ją Hanowi. Nie spuszczając z oka współpasażerów, Han podszedł do łagodzącego skutki przypieszeń fotela i wolną ręką otworzył pakiet sanitarny. Przyłożył do zranionego czoła wylot dezynfekującego pojemnika, po czym zakrył ranę samoprzylepnym opatrunkiem.

Odłożył apteczkę, podniósł trzy skonfiskowane pistolety i położywszy je w zasięgu ręki, jeszcze raz badawczo przyjrzał się stojącym przed nim Tormowi, Atuarre, i Pakce. Czuł w głowie pustkę i chaos. Kto ze stojącej przed nim trójki był mordercą? Każdy z nich dysponował przecież bronią i wystarczającą ilością czasu. Albo Pakka wykorzystał poszukiwania do ataku na Rekkona, albo Atuarre względnie Torm oddalili się na chwilę, co zupełnie wystarczało na dokonanie morderstwa. Han żałował w tej chwili, że nie doszło do wymiany ognia z pancernikiem — przynajmniej wiedziałby, która wieżyczka pozostała nie obsadzona i kto oddalił się z wyznaczonego posterunku.

Atuarre i Torm spoglądali na siebie podejrzliwie.

— Rekkon mówił, że dokooptował ciebie i dziecko wbrew wszelkim zaleceniom bezpieczeństwa i zdrowego rozsądku.

— Mnie? — wrzasnęła. — A co w takim razie można powiedzieć o tobie? — Zwróciła się do Hana. — Albo o tobie?

Dotknęła go do żywego.

— Siostrzo, nie zapominaj, że to ja wywoziłem was z Orrona III. A poza tym, w jaki sposób miałbym jednocześnie pilotować statek i strzelać do Rekkona? Zresztą był ze mną Bollux.

Wydobył z apteczki świeży opatrunek i przyłożył go na ranę.

— Równie dobrze on mógł to zrobić, Solo, albo pan mógł zastrzelić Rekkona tuż przed moim przyjściem — odparł Torm. — Poza tym robot nie jest zbyt wiarygodnym świadkiem. Tylko pan wymachuje tu blasterem i to odbezpieczonym.

Odkładając apteczkę, Han oświadczył:

— Coś wam powiem. Odtąd będziecie śledzić się nawzajem. Od tej chwili będę jedyną uzbrojoną osobą na pokładzie. Jeżeli ktoś z was zacznie coś kombinować, będzie to oznaczało dla niego koniec wszystkiego. Zrozumiano?

Atuarre podeszła do tablicy rozdzielczej.

— Pomogę ci usunąć zwłoki Rekkona, kapitanie.

— Trzymaj się od niego z daleka — warknął Torm. — Albo ty go zabiłaś, albo ten twój przeklęty bachor, a może oboje.

Zacisnął pięści, gotów rzucić się na nich z gołymi rękami. Atuarre i Pakka groźnie zawarczeli, ukazując długie, ostre kły. Han ruchem blastera osadził ich na miejscu.

— Uspokójcie się! Sam zajmę się Rekkonem. W razie potrzeby pomoże mi Bollux. Wy występy pójdziecie do ładowni w tylnej części statku.

Protesty i narzekania umilkły, gdy ostrzegawczo położył palec na spuście. Torm, a za nim Atuarre i Pakka ruszyli w wyznaczonym kierunku.

Han odczekał, aż wejdą do ładowni, po czym oznajmił:

— Jeżeli ktoś z was bez mojego pozwolenia wychyli stąd choćby czubek nosa, będę zmuszony traktować to jako próbę zamachu na mnie i będę strzelać bez uprzedzenia. A jeżeli komukolwiek z was stanie się krzywda, pozostali wylecą za burtę, bez żadnych dyskusji i przesłuchań.

Zamknął właz i podążył w stronę kabiny dziobowej.

Czekał tam już na niego Bollux, w milczeniu wpatrujący się w Błękitnego Maxa, leżącego na sąsiedniej konsolce. Han spojrzął na nieruchome, sztywne ciało Rekkona.

— No cóż, Rekkon, robiłeś co mogłeś, ale niedaleko zajechałeś, prawda? I jeszcze wciągnąłeś mnie w to wszystko. Teraz mój wspólnik jest w niewoli, a twój morderca przebywa na pokładzie. Nie byłeś złym człowiekiem, ale wolałbym nigdy cię nie spotkać na swej drodze.

Ujął Rekkona za ramię, by odciągnąć zwłoki nieco na bok.

— Bollux, musisz wziąć go z drugiej strony, sam nie dam rady.

Wtedy właśnie spostrzegł coś, czego dotychczas nie zauważył. Niezdarnie odepchnął ciało Rekkona i przyjrzał się niewielkiej tabliczce, dotychczas ukrytej pod ręką zmarłego. Pismo było trudne do odczytania — notatkę sporządzono drżąca, słabnąca dłonią, pospiesznie i niestarannie. Po dłuższym wpatrywaniu się w pozornie bezładną plątaninę znaków Han zdołał połączyć je w jedną logiczną całość. Napis głosił: „Kraniec Gwiazd, Mytus VII”. Han pochylił się i dobył spod konsoly coś, co przynajmniej częściowo wyjaśniało zagadkę. Był to rylec Rekkona, pokryty krwawymi odciskami palców. Umierający Rekkon pozostawił po sobie spuściznę — wiadomość, którą odczytał na

podstawie analiz komputerowych. Do końca pozostał wierny swoim ideom i misji, której się Poświęcił.

— Dziwne — mruknął Han do siebie. — Komu zostawił tę wiadomość?

— Panu, kapitanie Solo — automatycznie odrzekł Bollux. Han spojrział na niego zdumionym wzrokiem.

— Co?

— Rekkon zostawił tę wiadomość dla pana. Strzał został najprawdopodobniej oddany z tyłu, więc Rekkon nie widział swego zabójcy. Jediną żywą istotą, której mógł zaufać, był pan, kapitanie, i widać przypuszczał, że będzie pan obecny przy usuwaniu jego zwłok. Tym sposobem zyskał pewność, że ta informacja do pana dotrze.

Han przez dłuższą chwilę spoglądał na martwego współnika.

— W porządku, stary idealisto, wygrałeś! — Jeszcze raz przyjrzał się napisowi, po czym dokładnie starł go dłonią, baczając, by nie pozostał żaden ślad. — Bollux, nigdy tego nie widziałeś, pamiętaj. Nie wolno ci nikomu o tym powiedzieć.

— Czy mam wymazać tę informację z pamięci?

— Nie — odparł Han po krótkim namyśle. — Zachowaj ją na wypadek, gdyby coś mi się przytrafiło. Wtedy byłbyś jedynym, który zna tajemnicę. Aha, i przekaz Błękitnemu Maxowi, aby się przypadkiem z tym nie wygadał.

— Tak jest, kapitanie!

Bollux przysunął się do martwego Rekkona, pomagając Hanowi unieść go znad tablicy rozdzielczej. Nie było to takie proste — stawy robota donośnie zgrzytały i trzeszczały.

— To był wielki człowiek, prawda, kapitanie? Han jęknął z wysiłku.

— Co chcesz przez to powiedzieć?

— Tylko tyle, że pełnił odpowiedzialną funkcję i miał cel, do którego wytrwale dążył przez całe życie. Czy już to samo nie świadczy o jego wielkości?

— Będziesz musiał poczytać sobie nekrologi, Bollux. Mogę ci powiedzieć tylko jedno: on jest martwy. Za chwilę wyrzucimy zwłoki przez luk awaryjny... możemy jeszcze zostać zmuszeni do lądowania i lepiej będzie, gdy pozbędziemy się trupa z pokładu.

Nie tracąc czasu na dalszą rozmowę, odciągnęli na bok zwłoki człowieka, który do końca pozostał wierny temu w co wierzył i który umierając przekazał Hanowi niezbędne informacje.

Han poszedł teraz do ładowni i odsunął zasuwę. Atuarre,

Pakka i Torm spojrzeli na niego bez słowa. Siedzieli na podłodze — Torm usadowił się naprzeciwko Atuarre i Pakki.

— Musimy pozbyć się zwłok Rekkona — oświadczył Han. — Atuarre, chcę, żebyście wraz z Pakką doprowadzili do porządku kabinę dziobową. Przy okazji możecie również podgrzać coś do jedzenia. Torm, ty pójdziesz ze mną. Potrzebuję twojej pomocy, żeby usunąć uszkodzenia powstałe podczas startu.

— Pochodzę z rodziny panującej i jestem pilotem pierwszej klasy, a nie popychadłem

— sprzeciwiła się Atuarre. — Nie zamierzam nikomu służyć. Poza tym, kapitanie Solo, człowiek, który przed panem stoi, jest zdrajcą.

— Daj temu spokój — przerwał jej Han. — Cała broń, włącznie z zapasową kuszą Wookie'ego jest dobrze ukryta. Tylko ja jestem uzbrojony i będzie tak dotąd, dopóki nie zdecyduję, co z wami zrobić.

Spojrzała na niego przelotnie.

— Jest pan głupcem, kapitanie.

Przywołała do siebie Pakkę i razem wyszli z ładowni.

Torm uniósł się z miejsca, lecz Han powstrzymał go uspokajającym gestem. Rudzielec zatrzymał się w oczekiwaniu na dalsze rozkazy.

— Jesteś aktualnie jedynym, któremu mogę zaufać — oświadczył Han. — Z Bolluxa mam niewielki pożytek, a udało mi się dociec, kto zamordował Rekkona.

— Kto?

— Pakka. Był przecież więziony przez Rządy i właśnie wtedy go zwerbowali. Dlatego nic nie mówi. Podejrzewam, że poddali go jakiejś operacji mózgu, a potem pozwolili Atuarre go odzyskać. Nie widzę innej możliwości... Rekkon był zbyt przezorny na to, by dopuścić do siebie zdracę.

Torm ponuro skinął głową. Han wyciągnął zza pasa uprzednio odebrany rudzielcowi blaster i wręczył mu go bez słowa. Wskaźnik ładowania nastawiony był na maksimum.

— Dobrze go ukryj. Nie wiem, czy Atuarre już się zorientowała, ale zamierzam dalej prowadzić taką samą grę. Może mi się uda coś z nich wyciągnąć.

Torm włożył pistolet do kieszeni kombinezonu.

— Co będziemy dalej robić?

— Rekkon umierając zostawił wiadomość wypisaną na konsolecie. Władze przetrzymują więźniów politycznych na planecie Mytus VI, należącej do konstelacji Krańca Gwiazd. Po sprawdzeniu, czy statek działa jak należy, w kabinie dziobowej zanalizujemy wszystkie dostępne informacje o tej planecie. Może wtedy uda nam się coś wyciągnąć z Atuarre i Pakki.

Gdy już usunęli niewielkie uszkodzenia, odniesione przez „Tysiącletniego Sokoła” podczas startu z Orrona III, Han zavezwał wszystkich obecnych do kabiny dziobowej. Przyniósł cztery przenośne czytniki komputerowe; trzy wręczył pasażerom, a jeden zatrzymał dla siebie. Usadowiony nieco z boku Bollux z uwagą obserwował obecnych, a Błękitny Max od czasu do czasu pobłyskiwał czerwonym obiektywem.

— Podłączyłem te czytniki do centralnego komputera statku — objaśniał Han. — Każdy z nas ma wydobyc z komputera inne dane. Ja zajmę się nawigacją, Atuarre planetologią, Pakka ma uzyskać informacje dotyczące tajnych instalacji rządowych, a Torm dane o nielegalnych stacjach naprawczych. No dobrze, wywołajcie w komputerze plik „Kraniec Gwiazd” i przystępujemy do pracy.

Cała trójka postąpiła zgodnie z jego zaleceniem. Na monitorze czytnika Torma nie ukazały się żadne informacje, jeżeli nie liczyć wstępnych danych przekazanych komputerowi przez niego samego. Również monitor Atuarre pozostawał ciemny. W zdumieniu spojrzała na Hana, usiłując odczytać informacje na jego monitorze.

— Wasze czytniki nie są do niczego podłączone — powiedział. — Tylko mój. Atuarre, pokaż Tormowi swój monitor.

O dziwo nie protestowała, bez słowa wykonując jego polecenie. Odwróciła do Torma swój czytnik, na którym wyświetlone było tylko jedno słowo: MYTUS VIII.

— Ty również, Pakka — ponaglił Han malca. Odczyt wskazywał MYTUS V.

— Spójrzcie teraz na jego twarz—polecił Han pozostałym, wskazując Torma, który raptownie pobladał. — Wiesz już, że popełniłeś błąd, prawda? Pokaż nam ekran swojego monitora. Widnieje na nim napis: MYTUS VII, a przecież powiedziałem ci, że Kraniec Gwiazd znajduje się na planecie Mytus VI. Innym również podałem błędne dane na temat tej planety, licząc na to, że morderca przypadkowo się zdradzi. Nie myliłem się. Ty już przecież wcześniej znałeś jej nazwę, bo

odczytałeś ją nad ramieniem Rekkona, zanim go zamordowałaś, prawda? — Głos Hana nieco się załamał, tracąc pierwotną, pozorną bez troskę. — Mam rację, zdrajco?

Torm skoczył na równe nogi, wyszarpując z kieszeni blaster. Atuarre błyskawicznie sięgnęła po leżącą na bocznej konsolecie broń i wymierzyła ją w Torma. Ale ani jej pistolet, ani blaster Torma wycelowany w Hana nie wypalił.

— Dwie awarie równocześnie? — niewinnie zapytał Han, wyciągając z kabury blaster.

— Założę się, że mój wystrzeli.

Torm rzucił beużytecznym blasterem w kierunku Hana, ten jednak, wykazując znakomity refleks i zimną krew, schwycił broń w powietrzu lewą ręką. Torm widząc, że jego atak się nie powiódł, skoczył na Atuarre i chwycił ją od tyłu za szyję. Gdy usiłowała się uwolnić, zacieśnił chwyt tak, że o mało nie skreślił jej karku.

— Odłóż broń, Solo — zażądał rudzielec. — Połóż ręce na stole, bo inaczej...

Zanim zdolał sformułować swą groźbę, rozpędzony Pakka wylądował mu na ramionach, zatapiając pazury w jego szyi i oczodołach, po czym mocno okręcił długi ogon wokół szyi zdrajcy. Jeśli Torm nie chciał stracić wzroku, musiał zwolnić uścisk. Atuarre korzystając z tego usiłowała wyrwać się z jego rąk i uciec. Powstało straszliwe zamieszanie i nawet Bollux przez chwilę się zastanawiał, czy nie włączyć się do walki.

Torm z całej siły kopnął szamoczącą się Atuarre. Upadła prosto pod nogi składającego się do strzału Hana. Podczas gdy pilot podnosił Atuarre, Torm strząsnął z ramion Pakkę i cisnął go na drugi koniec kabiny. Malec całym impetem uderzył w boczną ścianę, szczęściem zabezpieczoną gąbczastą wykładziną, a Torm rzucił się do ucieczki w głąb korytarza.

Klucząc po wąskich przejściach minął sterownię, główną drabinę i pokrywę luku prowadzącego na rampę. Uznał że żadne z mijanych pomieszczeń nie nadaje się nawet na chwilową kryjówkę. Usłyszawszy kroki nadbiegającego z tyłu Hana, wpadł do najbliższej kabiny, wściekły sam na siebie o to, że wcześniej nie zapoznał się dokładnie z topografią statku. Nacisnął guzik zamykający zasuwę. Przedział okazał się zupełnie pusty — nie było tam nawet najprostszyc narzędzi, które mogłyby posłużyć jako broń. Myślał, że jest to kabina ewakuacyjna. Wreszcie — stwierdził w duchu — chwila oddechu. Mógł zyskać na czasie. Może nawet odebrać Hanowi blaster. Myślał o tylu sprawach naraz, że przez dłuższą chwilę nie zorientował się, gdzie naprawdę się znalazł. Gdy pojął całą groźbę sytuacji, rzucił się do luku, przez który wszedł do środka, i zaczął walić w niego pięściami i kłać na czym świat stoi.

— Tracisz tylko czas — odezwał się głos Hana. — Cieszę się, że wybrałaś właśnie komorę awaryjną, Torm. Prędeż czy później i tak byś zresztą tu wylądował.

Han spojrział przez wizjer umiejscowiony w wewnętrznej pokrywie luku. Zdążył już zablokować dźwignie uruchamiające zasuwę, upewniając się tym samym, że Torm nie wydobędzie się z komory. Wszystkie zamki i dźwignie wejściowe na pokładzie „Sokoła” były wyposażone w wewnętrzne blokady, aby maksymalnie utrudnić życie ciekawskim, którzy na przykład zapragnęliby włamać się do środka podczas nieobecności kapitana-przemysłownika.

Torm zwilżył językiem spieczone wargi.

— Solo, lepiej zastanów się przez chwilę, zanim zrobisz coś, czego będziesz gorzko żałował.

— Szkoda każdego twego słowa, Torm! Poza tym, czy nie żal ci tlenu? Będziesz go potrzebował podczas spaceru w kosmosie.

W komorze nie było oczywiście żadnych kombinezonów próżniowych. Oczy Torma rozwarły się z przerażenia.

— Tylko nie to, Solo! Nigdy nie miałem wobec ciebie wrogich zamiarów. Nie przybyłbym tutaj nigdy, gdyby nie to, że ten cholerny Rekkon i ta suka Atuarre nie spuszczała ze mnie oka. Gdybym się wycofał, zastrzeliliby mnie. Chyba to rozumiesz, prawda? Nie miałem przecież innego wyjścia, Solo!

— I dlatego zastrzeleś Rekkona — rzekł Han miękko, bez żalu czy pretensji w głosie.

— Musiałem! Gdyby udało mu się przekazać wam informację o Krańcu Gwiazd, zapłaciłbym za to głową! Nie wiesz, jacy są rządowi, Solo, oni nigdy nie przebaczą

kłęski czy niepowodzenia. Wiedziałem, że albo zginie Rekkon, albo ja. Do Hana podeszli Atuarre, Pakka i Bollux. Dzieciak wspiał się na ramiona robota, by do końca obserwować to, co się wydarzy w komorze awaryjnej.

— Ależ Torm — odezwała się Atuarre. — To przecież Rekkon dotarł do ciebie, zwerbował cię. Twój ojciec i brat naprawdę zniknęli.

Nie odwracając wzroku od wizjera, Han dodał:

— Jestem przekonany, że tak było. Twój ojciec i starszy brat, prawda, Torm? Czy przypadkiem rządowi nie obiecali ci, że zostaniesz spadkobiercą wszystkich dóbr rodzinnych na twojej planecie?

Twarz zdrajcy była teraz woskowożółta.

— Tak, jeśli wypełnię wszystkie zadania i zlecone mi misje. Solo, nie udawaj przede mną takiego praworządnego świętoszka! Sam mówiłeś, że jesteś człowiekiem interesu, prawda? Mogę zapłacić ci tyle, ile zażadasz! Czy pragniesz, żeby twój przyjaciel do ciebie wrócił? Wookie jest teraz w drodze na Kraniec Gwiazd, jeżeli chcesz go jeszcze kiedykolwiek w życiu zobaczyć, wymień go za mnie. Rządowi nie pożąają ci niczego. Możesz zażądać, ile zechcesz!

Torm powoli odzyskiwał panowanie nad sobą.

— Ci ludzie zawsze dotrzymują obietnic, Solo. Nie znają nawet waszych nazwisk. Działalem w ukryciu i część informacji zachowywałem dla siebie, by uzyskać za nie maksymalną cenę. Nie rezygnuj z tej szansy. Rządy lubią robić dobre interesy, tak jak ty. Możesz odzyskać Wookie'ego i na dodatek dostać tyle forsy, że wystarczy ci na nowy statek.

Han nie odpowiadał. Spoglądał na własne odbicie w metalowym luku komory awaryjnej. Torm zabębnił pięściami o wewnętrzną klapę—w całym statku rozległo się głucho dudnienie.

— Solo, powiedz, czego chcesz, zdobędę dla ciebie wszystko, przysięgam! Przecież zależy ci na tym, żebyś był facetem numer jeden! Przecież właśnie taki jesteś, Solo!

Han jeszcze raz rzucił okiem na własne odbicie. Gdyby jego oczy należały do innego człowieka, chyba powiedziałby, że jedynym uczuciem, które zawsze się w nich odbijało, był cynizm. W uszach rozbrzmiewały mu jeszcze słowa Torma. Czy właśnie taki jestem? — zastanowił się. Spojrzał ponownie na Torma, ale tym razem jego twarz wyrażała już zupełnie inne uczucia.

— Najlepiej zapytaj o to Rekkona! — odrzekł, naciskając jednocześnie dźwignię otwierającą komorę awaryjną.

Zewnętrzna klapa zamykająca luk rozwarła się. Na skutek olbrzymiej różnicy ciśnień pomiędzy powietrzem w komorze a próżnią nadprzestrzeni ciało Torma zostało dosłownie wydarte z pomieszczenia. Gdy znalazło się już poza „Tysiącletnim Sokółem”, materia dotychczas tworząca człowieka uległa całkowitemu unicestwieniu, nie pozostawiając nawet siadu po tym, co jeszcze przed chwilą było Tormem.

ROZDZIAŁ VIII

— Kapitanie Solo — rzekła Atuarre, wrywając go z zamyślenia. Lekko pochyliła się w drzwiach kabiny. — Czy nie sądzi pan, że już najwyższy czas, abyśmy porozmawiali? Jesteśmy tutaj prawie od dziesięciu standardowych godzin i wciąż nie podjęliśmy decyzji co do naszych dalszych poczynąń. Musimy wreszcie coś postanowić, prawda?

Han zamyślonym wzrokiem wpatrywał się w mały, ledwo widoczny na horyzoncie punkcik, będący Mytusem VII. „Tysiącletni Sokół” znajdował się teraz pośród wysokich

szczytów i górskich wierzchołków niewielkiej asteroidy, na której znaleźli tymczasowy postój.

— Atuarre, nie wiem jak wy, Triańczycy, znosicie beczynność i oczekiwanie. Ja osobiście nienawidzę ich z całego serca. Obawiam się jednak, że pozostało nam tylko usiąść spokojnie i z założonymi rękami czekać na dalszy rozwój wypadków.

Ta argumentacja nie trafiała jej do przekonania.

— Możemy spróbować innych sposobów, kapitanie. Moglibyśmy jeszcze raz usiłować skontaktować się z Jessą. — Spojrzała na niego wyczekująco, wbijając w jego twarz zielone, cętkowane źrenice.

Han błyskawicznie przekreślił się w fotelu i spojrzał jej prosto w oczy. Stało się to tak szybko, że Atuarre nieco zmieszana cofnęła się o krok. Widząc jej reakcję, Han nieco pohamował złość.

— Zabrałoby nam to chyba zbyt wiele czasu. Myślę, że po ataku myśliwców typu IRD Jessa zarządziła całkowitą ewakuację i zaszła się gdzieś w mysiej dziurze. Wprawdzie „Sokół” jest teraz wystarczająco dobrze wyposażony, ale tak czy siak mógłby minąć przynajmniej miesiąc, zanim wpadlibyśmy na jej trop. Może jakimś cudem dotarłaby do niej nasza depesza lub przynajmniej jej fragmenty, ale nie możemy raczej na to liczyć. Nauczyłem się polegać wyłącznie na sobie. Jeżeli będę musiał Chewie’ego odbijać sam, to to zrobię.

Jej twarz nieco złagodniała.

— Nie jest pan sam, kapitanie. Mój mąż jest również tutaj, na Krańcu Gwiazd. Twoja walka jest również i moją. — Wyciągnęła w jego kierunku wąską, zakończoną ostrymi szponami dłoń. — Niech pan coś zje. Samo wpatrywanie się w Mytusa VII nam nie pomoże, a wręcz może utrudnić znalezienie rozwiązania.

Jeszcze raz spojrzał w kierunku odległego punkciku, po czym uniósł się z fotela. Mytus VII był bezużyteczną skalistą planetą krążącą wokół niewielkiego słońca na samym krańcu Wspólnego Sektora. Naprawdę miano Kraniec Gwiazd pasowało do niego jak ulał. Rządy, decydując się na taką lokalizację więzienia, mogły być prawie pewne, że nikt tutaj nie dotrze, chyba że tak jak Han przybyłby, żeby to więzienie znaleźć.

Ponieważ Mytus VII figurował na wszystkich wykazach jako krańcowa planeta swego systemu słonecznego, Han skierował „Sokoła” w głąb przestrzeni kosmicznej na długo przed tym, zanim zbliżyli się do planety, pozostając poza zasięgiem wszelkich czujników radarowych. Przybyli z przeciwnej strony systemu i wlatując w gęsto usianą asteroidami drogę gwiazdną, przebiegającą pomiędzy Mytusem VII i jego słońcem, przycupnęli na jednej z tysięcy skalistych asteroid.

Korzystając z olbrzymiej mocy silników „Sokoła” i wiązek ściągniętych, Han wepchnął asteroidę na nowy tor. Poruszali się teraz w kierunku umożliwiającym dokładną obserwację Mytusa VII, mając jednocześnie pewność, że nikt na powierzchni planety nie zwróci nawet najmniejszej uwagi na nieco niezwykle zachowanie niewielkiej asteroidy.

Większość czasu schodziła Hanowi na dokładnej, szczegółowej obserwacji systemu komunikacyjnego planety — przybywających i odlatujących statków. Analiza komputerowa nie dała się na nic — przytłaczająca część informacji zakodowana była szyfrem, który okazał się zbyt trudny do złamania. Z kolei nie kodowane informacje miały banalną lub nieistotną treść, co sprawiło, że Han podejrzewał, iż przynajmniej część z nich była wysyłana wyłącznie w celu upozorowania, że Kraniec Gwiazd jest zwykłą, może nieco bardziej niż inne odległą częścią Wspólnego Systemu.

Han podążył za Atuarre do kabiny dziobowej. Bollux usadowiony na swym zwykłym miejscu, miał tym razem otwarty plastron. Pakka skradał się w kierunku niewielkiego, zdalnie sterowanego polem magnetycznym i jego siłą odpychania, maleńkiego globu,

który przemieszczał się bezustannie w górę i w dół, jakby unikając ataków malca. Ten za wszelką cenę usiłował schwycić go ogonem, zachwycony nową, dotychczas nie znaną grą. Zdalnie sterowana kula zręcznie unikała jednak jego ataków, wykazując ogromną zdolność manewrowania.

Han przez chwilę przyglądał się zabawie i właśnie wtedy Pakce prawie udało się schwycić globik, ale zabawka dosłownie w ostatniej chwili wymknęła się spod jego pazurów. Han spojrzął na androida.

— Bollux, czy to ty sterujesz tą kulką? Czerwone fotoreceptory zwróciły się w jego stronę.

— Nie, kapitanie. To Max wysłała w jej kierunku impulsy informacyjne. Jeżeli chodzi o przewidywanie z uwzględnieniem czynnika przypadku, jest ode mnie o wiele lepszy. Czynniki przypadku należy do najtrudniejszych pojęć.

Han z zainteresowaniem obserwował, jak Pakka w desperackim wysokości zdołał wreszcie dosięgnąć kuli. Schwycił ją pazurami i, opadłszy na dół, z zachwytem tarzał się po pokładzie. W chwilę później Han zasiadł przy stole i wziął z rąk Atuarre kufel gorącego bulionu z koncentratu. Już dosyć dawno temu skończyły się im zapasy świeżej żywności i teraz musieli zadowolić się pożywnymi, chociaż niezbyt smakowitymi racjami awaryjnymi „Sokoła”.

— Czy wydarzyło się coś nowego, kapitanie? — zapytał Bollux.

Han domyślał się, że android doskonale orientuje się w sytuacji, a pyta tylko z zaprogramowanej grzeczności. W ciągu długich dni podróży okazał się ciekawym towarzyszem, zabawiającym ich nie kończącymi się opowieściami o swych pracach i o światach, które poznał. Miał również w repertuarze szereg dowcipów i kawałów zaprogramowanych jeszcze przez poprzedniego właściciela.

— Nic nowego, Bollux. Absolutnie nic.

— Proponowałbym panu zebranie wszystkich dostępnych informacji i ich dokładną analizę. Z doświadczenia wiem, że jest to najlepszy sposób na odkrycie i dowiedzenie się czegoś nowego.

— Na pewno. Zwłaszcza dla takich domowych filozofów jak wszystkie roboty. — Han odstawił na bok pusty kufel i w zamyśleniu potarł dłonią policzek. — A poza tym mamy w sumie niewiele informacji. Jesteśmy zdani wyłącznie na nasze...

— Czy jest pan przekonany, że nie ma żadnych innych dostępnych źródeł? — zapiszczał pytająco Max.

— Och, znowu zaczynasz. Daj temu spokój — warknął Han. — Skąd mam wiedzieć? Znaleźliśmy miejsce, o które nam chodziło, Mytusa VII, i...

— Jak wysoki jest współczynnik prawdopodobieństwa? — dopytywał się Max.

— Oblicz go sobie sam — odparł pilot. — Rekkon powiedział że więźniowie są właśnie tam i jestem przekonany, że się nie mylił. Planeta posiada potężną infrastrukturę, co już samo w sobie byłoby niezwykłe w przypadku zwykłego świata. I uspokój się na chwilę, jeżeli nie chcesz, żebym cię rozłożył na części. Zresztą, zastanówmy się: nie możemy wiecznie krążyć, bo kończą się nam zapasy. Co więcej... — poskrobał się po czole, na którym wyraźnie odbijała się świeża, jeszcze różowa blizna.

— Jest to system słoneczny całkowicie wyłączony z wszelkiego ruchu — wtrąciła Atuarre.

— Tak, i gdyby wykryli naszą obecność, a my nie bylibyśmy w stanie przedstawić dobrego alibi, bez wątpienia sami znaleźlibyśmy się w więzieniu, czy gdzieś tam — uśmiechnął się do Bolluxa i Błękitnego Maxa. — Wy nie, chłopaki. Was najprawdopodobniej przerobiono by na śrubki i nakrętki.

W zamyśleniu stukał czubkiem buta o stół.

— To chyba wszystko, co mam na ten temat do powiedzenia. Mogę dodać tylko jedno: nie ruszę się stąd, dopóki nie odzyskam Chewie'ego.

O niczym innym nie był tak dogłębnie przekonany, jak właśnie o tym. Spoglądając ze sterowni „Sokoła” na odległą powierzchnię planety, godzinami zastanawiał się, co robi i gdzie przebywa jego przyjaciel. Parokrotnie już bliski był włączenia silników i skierowania statku na Kraniec Gwiazd by odbić przyjaciela z rąk jego wrogów. Za każdym razem jednak przywoływał z pamięci słowa Rekkona i odkładał ostateczną decyzję, próbując resztkami zdrowego rozsądku okiełznać uczucia.

Atuarre myślała chyba podobnie.

— Gdy espowcy przybyli na naszą planetę, by nas wyrzucić — rzekła z namysłem — niektórzy Triańczycy podjęli próbę zbrojnego oporu. Espowcy brutalnie przesłuchiwali więźniów, próbując wydobyć z nich nazwiska przywódców buntu. Właśnie wtedy po raz pierwszy zetknęłam się ze „spalaniem”. Czy pan wie, o czym mówię, kapitanie Solo?

Han skinął głową. Spalanie było jedną z tortur tak chętnie stosowanych przez rządowych wobec opornych więźniów. Polegało ono na przystawieniu do ciała blastera nastawionego na płomień o niewielkiej intensywności, co spalało i rozdzierało skórę i ciało torturowanego, pozostawiając jedynie skrwawione strzępy poprzyrastanego do kości mięsa. Torturę zaczynało zazwyczaj od którejś nogi, by unieruchomić ofiarę, następnie centymetr po centymetrze odsłaniano pozostałe części szkieletu. Inni więźniowie najczęściej musieli się temu przypatrywać — tym sposobem próbowano złamać ich wolę.

W wyniku stosowania tej tortury rzadko uzyskiwano od więźniów dodatkowe zeznania. Han uważał jednak, że ci, którzy posuwali się do jej stosowania, nie zasługiwali na to, by żyć.

— Nie pozostawię mego męża w rękach ludzi, którzy zdolni są do popełniania takich zbrodni — rzekła Atuarre. — Jesteśmy Triańczykami i nie boimy się śmierci.

— To niezbyt logiczne rozumowanie — zapiszczał Błękitny Max.

— Czy uważasz, że znasz się na wszystkim? — skarcił go Han.

— Och, rozumiem również ludzkie uczucia, kapitanie — odrzekł Max z nie skrywaną dumą. — Po prostu stwierdziłem, że...

Nie dokończył, gdyż rozległo się charakterystyczne buczenie dobiegające z ośrodka kontroli łączności. Han poderwał się z miejsca i pobiegł prosto do sterowni. Usadował się już prawie w fotelu pilota, gdy rozległ się ostatni, trzeci z kolei sygnał, oznajmiający o zakończeniu transmisji.

- Mamy coś nowego — oznajmił, radośnie stukając w pokrywę odbiornika. — Wydaje mi się, że nie jest to wiadomość zakodowana.

Wiadomość rzeczywiście nie została zakodowana, lecz ze względów oszczędnościowych przesłano ją w przyspieszonym tempie. Han musiał pięciokrotnie zmniejszyć prędkość odtwarzania, zanim nagrany tekst stał się zrozumiały dla ucha.

„Do: Wiceprezydenta Wspólnego Sektora Hirkena, Stacja Rządowa na Krańcu Gwiazd. Od: Imperialnej Gildii Rozrywkowej Wspólnego Sektora” — rozpoczynała się depesza. — „Prosimy o wyrozumiałość i wybaczenie, ale trupa, która miała się planowo zatrzymać na waszej planecie, została zmuszona do odwołania swego przybycia z powodów technicznych. Zastępcza grupa akrobatyczna zostanie wysłana natychmiast po pozyskaniu robota rozrywkowego. Z poważaniem, Hokkor Long, Sekretarz do Spraw Programowych Imperialnej Gildii Rozrywkowej Wspólnego Sektora.”

Han z podniecenia uderzył pięścią w konsolę.

— To właśnie to!

Twarz Atuarre wyrażała zarazem zdumienie i niepokój.

— Solo, kapitanie, o co w tym wszystkim chodzi?

— Szansa, na którą czekaliśmy! Już prawie tam jesteśmy! Mamy dodatkowy atut w rękę!

Pokrzykiwał radośnie, klaskał i o mało nie pogłaskał Atuarre po gęstej grzywie. Ona jednak cofnęła się o krok.

— Kapitanie, czy niska zawartość tlenu w powietrzu przypadkiem panu nie zaszkodziła? Ta wiadomość dotyczy przecież trupy akrobatycznej.

Han pogardliwie prychnął.

— Gdzie ty żyłaś do tej pory? Przecież w depeszy wyraźnie mówią o grupie zastępczej! Czy dalej się nie domyślasz, co to znaczy? Czy nigdy nie widziałas pokazów w wykonaniu trupy rozrywkowej? Obiecują cuda, a potem w ostatniej chwili zawsze im coś wypada i zamiast tego przysyłają jakichś kiepskich amatorów, tylko po to, by wyciągnąć trochę forsy!

Wyprawiali się w niego tak dziwnym wzrokiem, że trochę opadł jego pierwotny entuzjazm.

— Czy widzicie jakieś inne wyjście? Jedyne, które mi przyszło do głowy, to zbliżyć się do Mytusa VII rufą tak, aby wyglądało na to, że właśnie stamtąd odlatujemy. Ale to jest czymś jeszcze lepszym. Och, na pewno nie zrobimy na nich zbyt dobrego wrażenia, ale są szanse, że nam się uda. Widział że Atuarre nastawiona jest raczej mało optymistycznie, więc zwrócił się do Pakki. — Czy chciałbyś zostać akrobatą? Oni chcą cyrkowców.

Dzieciak lekko podskoczył, otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć, po czym nieco zmieszany wykonał pokazowe salto w tył, radośnie wymachując tylnymi łapami i ogonem.

Han skinął głową z aprobatą.

— Atuarre, co możesz zrobić dla swojego męża? Umiesz śpiewać? Znasz jakieś magiczne sztuczki?

Wciąż jeszcze nie była do końca przekonana, starając się nie myśleć ani o entuzjazmie Pakki, ani o wyzwaniu Hana. Ale powoli docierało do niej, że Solo ma rację. Czy będą mieli inną szansę?

Pakka, chcąc zwrócić na siebie uwagę kapitana, głośno zaklaskał, a gdy wreszcie Han spojrzał na niego, dzieciak energicznie potrząsnął głową w odpowiedzi na ostatnie pytanie pilota, oparł ręce na biodrach i zaczął się rytmicznie poruszać.

Twarz Hana rozjaśniła się.

— Tancerka? Atuarre, jesteś tancerką! Lekko szturchnęła malca w ramię.

— Hm, jakby to powiedzieć... znam kilka tańców rytualnych swojego klanu. — Z tonu jej głosu i twarzy widać było wyraźnie, że jest nieco zmieszana. Spojrzała na niego wyzywająco. — A pan, kapitanie Solo? Czym zaskoczy pan publiczność?

Był zbyt podniecony perspektywą tego, co ich czekało, by to pytanie zbiło go z pantafyku.

— Ja? Pomyślę o czymś. Improwizacja jest moją specjalnością!

— To niebezpieczna specjalność, chyba najniebezpieczniejsza ze wszystkich. A co z robotem? O jakim robocie była mowa? Nawet nie wiemy, co mieli na myśli.

— Och, robota rozrywkowego nie pamiętasz?

Han mówił pospiesznie, żywo gestykulując. Wskazał przelotnie na Bolluxa, który wydawał z siebie prawie ludzkie okrzyki zdumienia. Towarzyszyło im donośne „Oj!” wypowiedziane przez Błękitnego Maxa.

— Możemy zawsze powiedzieć, że źle zrozumieliśmy ich życzenie. Oni żądali żonglera czy akrobata, a dostaną klauna! To przecież nieistotne. W razie czego zaproponujemy im, by zwrócili się bezpośrednio do ministerstwa.

— Kapitanie Solo, pan pozwoli, że... — wtrącił Bollux. — Chciałbym zwrócić pańską uwagę na...

Han zdążył już jednak oprzeć dłonie na ramionach Bolluxa i uważnie mu się przypatrywał.

— Hm, przyda się trochę świeżej farby, ale z tym nie będzie kłopotu. Mamy na pokładzie kilka puszek. Tutaj nałożymy nieco błyszczącego szkarłatu... myślę, że efekt będzie bardzo korzystny. I trochę upiększeń... nie mam na myśli niczego wielkiego... jedynie lekkie pociągnięcie nakładek szebrolem. Bollux, przyjacielu... nadszedł kres twoich zmartwień! Wreszcie zaszokujesz wszystkich swoim wyglądem. Zobaczysz, rzucisz ich na kolana!

Przybycie na planetę i lądowanie przebiegło bez najmniejszych zakłóceń. Han zmienił nieco kierunek poruszania się asteroidy, na której ukryty był „Sokół”, wydostał się poza obszar będący w zasięgu czujników rządowych, po czym oderwał maszynę od powierzchni. Gdy znów znaleźli się w przestrzeni kosmicznej, zmienił tor lotu statku, jedynie lekko zahaczając o hiperprzestrzeń, dzięki czemu wkrótce potem znaleźli się w pobliżu Mytusa VII i jego dwóch niewielkich księżyców.

Korzystając z dostarczonej im przez Rekkona przepustki, podali kontroli naziemnej nowe dane identyfikacyjne „Sokoła”. Oprócz rutynowych informacji przekazali również dumne oświadczenie, które głosiło, że na pokładzie statku znajduje się Wędrowna Trupa Cyrkowa Madame Atuarre.

Mytus VII był skalistą, słabo zaludnioną planetą. Nie posiadał powietrza, a odległość od słońca była tak znaczna, że na powierzchni panował półmrok, a roślinność była słabo rozwinięta i dziwnie szara. Nawet jeżeli komuś udałoby się opuścić Kraniec Gwiazd, nie miałyby dokąd się udać — pozostałe planety, wchodzące w skład tego systemu słonecznego pozostały nie zamieszkałe, gdyż nie dawały odpowiednich warunków życiowych dla ludzi i humanoidów.

Infrastruktura rządowa była dobrze widoczna nawet z daleka — stanowiła zwarty kompleks, na który składały się hotele pracownicze, hangary, baraki dla strażników, urządzenia hydroponiczne i składy amunicji. Cały teren był dokładnie osłonięty i usiany stertami świeżo wykopanej gleby — wiele budowli nie zostało jeszcze ukończonych. W samym sercu bazy usytuowana była ogromna, masywna wieża, przypominająca swym wyglądem gigantyczny sztylet.

Systemu podziemnych tuneli jeszcze nie ukończono. Cały kompleks był połączony za pomocą labiryntu ogromnych rur biegnących w różnych kierunkach i spojonych ze sobą stacjami łącznikowymi o pudełkowatych kształtach, co było stosunkowo częstym widokiem na planetach pozbawionych normalnej atmosfery.

Na lądowisku znajdował się tylko jeden większy statek. Był to wyposażony w ciężkie działa pancernik espowców. Stały również inne, o wiele mniejsze i nie uzbrojone transportowce. Han rozejrzał się dyskretnie, szukając wzrokiem jednostek przechwytyjących, z zadowoleniem jednak stwierdził, że przynajmniej w tej chwili nie było tam takich obiektów.

Przez chwilę się zastanawiał, gdzie znajduje się elektrownia o dużej mocy, której obecność wskazywały czujniki „Sokoła”. Nie zdołał jej zlokalizować, więc pomyślał, że może być ukryta w wieży. Spojrzał na olbrzymią budowlę, zastanawiając się, co niezwykłego jest w jej wyglądzie. Wieża wyposażona była w dwa lądowiska, jedno u podstawy, a drugie blisko wierzchołka. Dolne przyłączone było do tworzącej tunel rury. Han bardzo chciałby dokładniej przyjrzeć się budowli i poszukać ewentualnych znaków, wskazujących na to, że przebywają tam jacyś więźniowie, ale nie odważył się tego zrobić w obawie przed zdemaskowaniem. Gdyby przyłapano „Sokoła” na krążeniu nad terenem

bazy, cała maskarada zakończyłaby się fiaskiem.

Ostrożnie podprowadzał „Sokoła” do lądowania. Olbrzymie, turbolaserowe reflektory rozświetliły całe niebo, po czym kontrola naziemna poprowadziła statek w dół, w kierunku jednego z tuneli rurowych. Urządzenie rozwarło się automatycznie na tyle, by pomieścić opuszczającą się rampę „Sokoła”.

Han wygasił silniki statku.

— Powtarzam po raz ostatni, kapitanie, że nie zamierzam wygłaszać tej mowy — odezwała się Atuarre, siedząca tuż obok, w fotelu nawigatora.

Odrzucił swój fotel w jej kierunku.

— Atuarre, dobrze wiesz, że jestem kiepskim aktorem—Gdyby to chodziło tylko o wylądowanie, odbicie więźniów i ucieczkę, podołałbym temu bez trudu, ale z przemowami i odegraniem tej roli nie dam sobie rady.

Wyszli ze sterowni. Han ubrany był w obcisły, przylegający, czarny kombinezon ozdobiony licznymi epoletami, cekinami, błyszczącymi naszywkami i szeroką, złotożółtą szarfą, pod którą umieścił blaster. Całość uzupełniały wypolerowane, błyszczące buty z cholewami. Atuarre pobrzękiwała różnokolorowymi amuletami i koralikami zawieszonymi na przegubach, przedramionach, szyi, czole i na kolanach. Roztaczała wokół siebie nieco egzotyczny zapach perfum i balsamów, jakie przechowywała w jednej z licznych sakiewek, z którymi nigdy się nie rozstawała.

— Pamiętaj o tym, że ja również jestem kiepską aktorką — przypomniała, gdy podchodzili do luku prowadzącego na rampę.

— Czy widziałaś kiedyś znane osobistości?

— Tak, urzędników rządowych i ich żony, przybywających na naszą planetę w charakterze turystów.

Han strzelił palcami.

— Zachowuj się tak jak oni. Udawaj głupią, próżną, a nade wszystko szczęśliwą.

Pakka odziany był podobnie jak jego matka i rozsiewał wokół siebie równie egzotyczne zapachy. Podał matce i Hanowi długie, zamaszyste, metaliczne peleryny — jej miedzianą, a Hanowi — metalicznie błękitną. W drodze na planetę dokładnie przejrzeni całą skromną garderobę Hana w poszukiwaniu czegokolwiek, co nadawałoby się do sporządzenia kostiumów. Peleryny powstały z cienkich warstw izolacyjnych namiotu należącego do awaryjnego wyposażenia statku.

Największe problemy sprawiło im krojenie, zszywanie i wszelkie dopasowywania. Han był kompletnym antytalentem w dziedzinie krawiectwa, zaś Trińczycy nie przywykli do noszenia jakichkolwiek strojów, toteż również nie mieli o tym pojęcia. Wybrnęli jednak z kłopotu dzięki Bolluxowi, który jeszcze w służbie u dowódcy regimentu podczas wojen na Clone został zaprogramowany na wykonywanie podstawowych, niezbędnych w codziennym życiu prac.

Pochylnia opadła, pozostało im już więc tylko odsunięcie klapy luku.

— Oby nie opuściło nas szczęście — rzekła miękko Atuarre.

Wszyscy, nie wyłączając Bolluxa, uścisnęli sobie dłonie, po czym Han sięgnął ku pokrywie luku.

Gdy kłapa unosiła się powoli, Atuarre podjęła ostatnią próbę sprzeciwu.

— Kapitanie Solo, mimo wszystko wydaje mi się, że to właśnie pan powinien...

Cały tunel podstawowy wypełniony był uzbrojonymi po zęby espowcami, dzierzącymi potężne blastery, krótkie ręczne karabinki, pojemniki z gazem paraliżującym i sprzęt saperski. Pokłoniwszy się z gracją, Atuarre zaszczębiotała:

— Och, jak to miło z waszej strony! Cała gwardia honorowa przybywa na nasze spotkanie!

Kokieteryjnie poprawiła dłonią wspaniałą, błyszczącą grzywę, uśmiechając się czarująco do przedstawicieli sił bezpieczeństwa. Han, widząc jak dzielnie sobie poczyna, pomyślał, że niepotrzebnie się martwił. Espowcy z bronią gotową do strzału obserwowali, jak Atuarre zręcznie zeskakuje z rampy, odrzuca z ramion błyszczący, metaliczny płaszcz. Rozległ się brzęk koralików i amuletów, a stopy Atuarre odziane w podbite metalem trzewiki głucho uderzyły o posadzkę.

Na czele oddziału Espo stał dowódca batalionu, major, bardzo oficjalny, postawny mężczyzna z poważną, chłodną twarzą. Zeskoczywszy z pochylni, Atuarre wykonała wdzięczny ukłon i dygnęła z wdziękiem, jakby czekała na owację.

— Mój drogi generale — rzekła przeciągle, celowo podnosząc rangę oficera. — Nie mogę znaleźć słów! Wiceprezydent Hirken jest zbyt łaskawy. Proszę, niech pan i pańscy uprzejmi żołnierze zechcą przyjąć serdeczne podziękowania od madame Atuarre i jej Wędrowniej Trupy!

Nie zwracając uwagi na wymierzoną w jej stronę broń, lekko podbiegła do dowódcy i objawszy go jedną ręką, drugą pomachała w kierunku zupełnie ogłupiałych espowców. Ciemne, prawie szkarłatne rumieńce wystąpiły na policzki i czoło majora.

— Co to wszystko ma znaczyć? — wykrztusił. — Czy mam rozumieć, że jesteście trupą wędrowną, oczekiwaną przez wiceprezydenta Hirkena?

Jej twarz wyrażała absolutne zdumienie.

— Zaraz, zaraz. Czy chce pan przez to powiedzieć, że wiadomość o naszym przyjeździe nie została przekazana na Kraniec Gwiazd? Imperialna Gildia zapewniła mnie, że się z wami skomunikuje. Zawsze żądam wcześniejszego potwierdzenia.

Wykonała półobrót, gestem wskazując pochylnię.

— Panowie! Madame Atuarre ma zaszczyt przedstawić swą Trupę Wędrowną! Oto Mistrz Marksman, wirtuoz w posługiwaniu się bronią. Jego artyzm w strzelaniu do celu znany jest we wszystkich galaktykach!

Han zszedł z rampy, starając się wszelkimi sposobami wcielić się w przydzieloną mu rolę i odegrać ją w świetłach tunelu. Atuarre i pozostali mogli bezpiecznie występować pod własnymi, prawdziwymi imionami, bo nie zostały jeszcze zanotowane w przepastnych rządowych kartotekach. Han obawiał się jednak, że jego nazwisko może tam figurować, więc zmuszony był wcielić się w kogoś innego. Wcale nie był pewien, czy mu się to podoba. Gdy espowcy ujrzeli zatknięty za ozdobną szarfą blaster, ostrzegawczo unieśli broń, jednak Han przezornie trzymał ręce z daleka od rękójści.

— I wreszcie, by was zabawić i zadziwić niewiarygodną zręcznością i akrobatyką, Atuarre ma zaszczyt zaprezentować swego potomka...

Han uniósł obręcz, którą dotychczas trzymał nisko. Był to po prostu stary stabilizator osiowy, który po dokładnym przemaalowaniu i ozdobieniu, sprawiał wrażenie prawdziwie cyrkowego rekwizytu. Han nacisnął ukryty przycisk i obręcz rozbłysła różnokolorowymi, przesuwającymi się światełkami, które pokryły całe wnętrze tunelu barwną falą.

— ... Pakkę! — dokończyła Atuarre.

Malec odbił się od podłogi, długim, zwinnym susem przeskoczył przez obręcz, wykonał potrójne salto w przód i dwa obroty, po czym wylądował u stóp zdumionego majora, ukłonem dziękując publice za uwagę. Han odstawił niepotrzebną w tej chwili obręcz do wnętrza statku i odsunął się na bok.

— I wreszcie — kontynuowała Atuarre — zdumiewający robot, niezrównany gawędziarz i prześmiewca, narzędzie rozrywki i radości. Bollux!

Bollux stanął w świetle reflektorów i naśladował krok wojskowy, wymachując przy tym długimi ramionami, z brzęczeniem pomaszerował w dół rampy. Han, zgodnie z obietnicą, wyklepał wszystkie wgięcia i usunął uszkodzenia na korpusie androida, pokrywając go

pięciami warstwami błyszczącej, szkarłatnej farby. Bollux zmienił się nie do poznania — dotychczas nieco zardzewiały i przestarzały, sprawiał teraz wrażenie najnowocześniejszego robota rozrywkowego. Na jednej stronie jego klatki piersiowej widniał herb Imperialnej Gildii Rozrywkowej, co, jak sądził Han, powinno rozwiązać wszelkie ewentualne wątpliwości.

Dowódca oddziału został zapędzony w kozi róg. Wiedział, że wiceprezydent Hirken oczekuje na specjalną grupę rozrywkową, ale z drugiej strony nie dotarły do niego informacje o tym, że ta grupa jest już w drodze. Wiceprezydent był szczególnie wrażliwy i czuły na punkcie swoich dziwactw, toteż jakiegokolwiek utrudnienie czy opóźnienie mogłoby go solidnie rozwścieczyć. Lepiej było nie ryzykować.

Uśmiechnął się tak kordialnie, jak tylko potrafił.

— Natychmiast powiadomię wiceprezydenta o waszym przybyciu, madame Atuarre!
— powiedziała.

— Cudownie! — Wykonała przed nim głęboki, dworski ukłon i zwróciła się do Pakki:

— Biegnij, kochanie, po wszystkie potrzebne ci rekwizyty.

Malec ponownie wskoczył na pochylnię i zniknął we wnętrzu „Sokoła”, by już po chwili pojawić się z licznymi różnokolorowymi obręczami, kulą do balansowania i paroma drobniejszymi akcesoriami stanowiącymi pierwotnie elementy wyposażenia statku.

— Będę państwa eskortował na Kraniec Gwiazd — rzekł major. — Ale obawiam się, że mistrz Marksman będzie musiał oddać broń. Proszę mnie dobrze zrozumieć, madame, to zwykła procedura operacyjna.

Han sięgnął po zatknięty za szarfę blaster i bez słowa podał go najbliższemu stojącemu espowcowi. Atuarre ze zrozumieniem skinęła głową.

— Oczywiście, oczywiście. Nie wolno przecież łamać prawa. A teraz, drogi generale, jeżeli pan jest na tyle uprzejmy...

Dowódca od razu pojął, że Atuarre oczekuje na podanie jej ramienia, i nieco zmieszany, skłonił się sztywno w jej kierunku. Pozostali espowcy, widać dobrze znający usposobienie swego dowódcy, pozwolili sobie jedynie na przelotne półuśmieszki, po czym natychmiast spoważnieli, pospiesznie ustawiając się w szyku honorowym.

Han przesunął dźwignię podnośnika rampy. Pochylnia powoli uniosła się, a klapy luku się zatrzasnęły, tworząc zaporę możliwą do przebycia jedynie dla Hana, Chewie’ego i Triańczyków.

Major, wysławszy emisariusza z wiadomością, poprowadził całą grupę wzdłuż labiryntu tuneli. Znajdowali się teraz w pewnym oddaleniu od wieży i na swej drodze minęli kilka stacji łącznikowych, wszędzie napotykając zdumione spojrzenia techników i personelu operacyjnego.

Głuchy odgłos stóp uderzających o kamienne chodniki wypełniał całe wnętrze tunelu, więc nowo przybyli bez trudu zauważyli, że przyciąganie planetarne na Mytusie VII było nieco mniejsze od standardowego, które utrzymywali na pokładzie „Sokoła”. Wypełniające tunele powietrze miało dosyć specyficzny zapach, charakterystyczny dla systemów hydroponicznych, ale i tak stanowiło to miłą odmianę po wielu dniach spędzonych na pokładzie statku kosmicznego.

Dotarli w końcu do wielkiej stacjonarnej śluzy. Na wypowiedziane przez majora hasło klapa się odsunęła. Han mógł wreszcie przyjrzeć się pobieżnie czemuś, co było niewątpliwie zewnętrzną ścianą wieży, otoczoną szczelnie wykonanym z rur tunelem. To, co ujrzał w tej chwili, mniej więcej zgadzało się z tym, co zarejestrował w pamięci podczas lądowania.

Kraniec Gwiazd, lub przynajmniej ta jego część, która stanowiła zewnętrzną osłonę wieży, była bardzo silnie opancerzona. Konstrukcja samej wieży musiała niezmiernie

dużo kosztować. W każdym razie była to jedna z najbardziej nowoczesnych i okazałych budowli, jakie Hanowi udało się kiedykolwiek zobaczyć. Łączenie poszczególnych elementów za pomocą spajania cząsteczek metali ciężkich to bardzo kosztowny proces i Han nigdy dotychczas nie słyszał o wykorzystywaniu tej metody na taką skalę.

W wieży szli długim, szerokim korytarzem, by dojść wreszcie do centralnej osi, w której mieściła się część usługowa oraz szyby windowe. Posuwali się szybko, toteż nie mieli czasu zbyt dokładnie przyjrzeć się mijanym obiektom, lecz na każdym kroku widzieli techników, pracowników rządowych i licznych, maszerujących w obydwu kierunkach espowców. Kraniec Gwiazd nie wyglądał na zbyt gęsto zaludniony, ale to nie znaczyło, że nie może się tu mieścić szczególnie ciężkie więzienie.

Wraz z towarzyszącym im majorem i kilkoma espowcami weszli do windy, która błyskawicznie ruszyła w górę. Gdy się zatrzymała, postępując krok w krok za majorem, odryli, że tuż nad nimi rozciąga się nieboskłon usiany tak licznymi jasno świejącymi gwiazdami, że wyglądały prawie jak gigantyczna mleczna droga.

Po chwili namysłu Han doszedł do wniosku, że właśnie dotarli na sam wierzchołek Krańca Gwiazd, a od nieba dzieliła ich tylko kopuła z transpastali. Posadzka pokryta była wielobarwnymi dywanami, a nieco dalej znajdował się miniaturowy ogród pełen kwiatów i roślin pochodzących z wielu planet, gdzie wił się niewielki strumyczek. Docierał do ich uszu śpiew ptaków i bzyczenie owadów. Cały ten niezwykle ogród oświetlony był miniaturowymi różnobarwnymi słońcami.

Ich uwagę przyciągnął dochodzący z prawej strony odgłos kroków. Zwrócili głowy w tamtym kierunku i ujrzeli wyłaniającego się zza rogu wysokiego, przystojnego mężczyznę o nieco patriarchalnym wyglądzie. Miał na sobie znakomicie skrojony mundur wysokiego urzędnika, na który składały się: obszerny żakiet, klasyczna kamizelka, obcisła koszula i wspaniale odprasowane spodnie. Szyję zdobił gruby węzeł czerwonego krawatu. Uśmiech mężczyzny był uprzejmy i serdeczny, włosy siwe i bujne, a dłonie miękkie i wypielęgnowane. Han od pierwszego wejrzenia poczuł do niego głęboką niechęć, z lubością schwyciłby go w pól i rozwalił mu czaszkę w otchłani windowego szybu.

Głos mężczyzny był głęboki i melodyjny.

— Witamy na Krańcu Gwiazd, madame Atuarre. Jestem Hirken, wiceprezydent Rządów Wspólnego Sektora. Żałuję, że przybywacie nie zapowiedziani, bo przywitałbym was z większymi honorami.

Atuarre zafrasowała się.

— Och, Wasza Ekscelencjo, cóż mam powiedzieć? Gildia skontaktowała się z nami w ostatniej chwili i zaproponowała zastępstwo za grupę, która zmuszona była wycofać się z kontraktu. Jednak zapewniono mnie, że sekretarz do spraw programowych, Hokka Long, dopełni wszelkich niezbędnych formalności.

Wiceprezydent Hirken uśmiechnął się, odsłaniając ukryte pod karminowymi wargami białe zęby. Han pomyślał, że ten czarujący uśmiech musi mu niewątpliwie zjednywać wielu przyjaciół wśród stojących na świeczniku Wspólnego Sektora.

— Ależ madame, to zupełnie bez znaczenia — odrzekł Hirken. — Wasze przybycie można w takim razie zaliczyć do miłych niespodzianek.

•— Jak to łaskawie z pańskiej strony! Proszę się nie obawiać, Ekscelencjo. Zrobimy wszystko, co w naszej mocy, by choć na chwilę oderwać pana od problemów i uciążliwości, jakie niewątpliwie niesie ze sobą pełnienie tak ważnej funkcji.

W głębi serca Atuarre przysięgła sobie jednak, jak na Triankę przystało: Jeśli zrobiłeś krzywdę mojemu mężowi, nie spocznę, dopóki nie rozszarpię twego serca własnymi rękami!

Han zauważył, że Hirken ma przytroczoną do pasa niewielką, płaską płytkę —

najprawdopodobniej główne urządzenie kontrolne. Widocznie ten mężczyzna lubił na bieżąco nadzorować wszystko, co się działo na Krańcu Gwiazd — płytką dawała mu całkowitą władzę nad całym podległym mu terenem.

— Udało mi się zgromadzić kilku znakomitych, znanych na terenie całej galaktyki cyrkowców — kontynuowała Atuarre. — Pakka jest niezwykle zręcznym akrobatą, a ja sama oprócz tego, że prowadzę występy, wykonuję tradycyjne, rytualne tańce ludowe moich rodaków. A ten oto przystojny młodzieniec to Mistrz Marksman, niezrównany w posługiwaniu się bronią wszelkiego rodzaju. Na pewno spodobają się panu jego pokazy.

Na te słowa rozległ się śmiech.

— A z czegoż to zamierza on strzelać? Wygląda na to, że chyba tylko z palca!

Zza pleców Hirkena wysunął się osobnik, który wypowiedział te słowa. Był to okazały, należący do gatunku gadów stróż, stwór zwinnie i bardzo ruchliwy. Hirken łagodnie zbeształ humanoida.

— Daj spokój, Uul, oni przybyli tutaj z bardzo daleka, aby nas trochę oderwać od codziennych trosk. — Zwrócił się do Atuarre. — Uul-Rha-Shan stanowi moją osobistą ochronę i w pewnym sensie jest również mistrzem w posługiwaniu się bronią. Może moglibyśmy zaaranżować jakiś niewielki turniej? Wybaczcie mu, czasami ma nieco specyficzne poczucie humoru.

Han uważnie przyglądał się gadowi, którego jaskrawozielone łuski upstrzone były tu i ówdzie błyszczącymi, biało-czerwonymi plamkami. Stwór beznamiętnie wpatrywał się dużymi, czarnymi, nieruchomymi oczami w Hana. Przez nieco rozchyłony pysk gada można było zauważyć nieustannie poruszający się różowy język i białe, ostre kły. Do jego prawego przedramienia przytroczony był pistolet typu rozrywającego, jak się Hanowi zdawało, działający na sprężynę lub zasilany jakimiś bliżej nie znanymi źródłami energii.

Uul-Rha-Shan stanął po prawicy Hirkena. Han przypomniał sobie teraz, że już wcześniej obito mu się o uszy imię ochroniarza Hirkena. Cała galaktyka roiła się od różnych stworów przechwalających się swymi umiejętnościami strzeleckimi. Jednakże niektóre zyskiwały pełnię sławy. Jednym z nich — skrytobójcą i płatnym rewolwerowcem — był właśnie Uul-Rha-Shan, który, jak mówiono, gotów był za odpowiednią cenę dokonać każdego odrażającego mordu.

Hirken przeszedł na bardziej oficjalny, urzędowy ton.

— A to jest pewnie android, którego żądałem, prawda? — Bez cienia uśmiechu, mrozącym krew w żyłach wzrokiem obrzucił Bolluxa. — Składając zamówienie, dokładnie określiłem, czego żądam. Wyjaśniłem Hokkonowi Longowi, jakiego typu robota potrzebuję i zaznaczyłem, że nic innego mnie nie satysfakcjonuje. Czy Long dokładnie poinformował was o moich życzeniach?

Atuarre głośno przełknęła ślinę, z trudem maskując zmieszanie.

— Oczywiście, Ekscelencjo, poinformował nas. Hirken jeszcze raz sceptycznie spojrzął na Bolluxa,

— Dobrze. Chodźcie za mną.

Podążył w kierunku, z którego przybył, prowadząc przy boku Uul-Rha-Shana. „Trupa” i otaczająca ją eskorta w milczeniu ruszyli za nimi. Pozostawili za sobą ogród i zbliżyli się do amfiteatru — otwartej sceny, otoczonej wygodnymi, komfortowymi łóżami oddzielonymi od siebie przejrzystymi ściankami działowymi.

— Walki robotów są najczystsza formą współzawodnictwa, nieprawdaż? — wesoło rzucił Hirken. — Żadne żywe stworzenie nie jest pozbawione instynktu samozachowawczego. Ale automaty! Nie zważają na zniszczenia, istnieją tylko po to, by spełniać rozkazy i

zachcianki swoich właścicieli. Moim robotem bojowym jest Mark X Kat, ale niestety, trudno u nas o tego typu maszyny. Czy wasz gladiator ma na swoim koncie liczne zwycięstwa?

Nerwy Hana napięte były do ostateczności — obmyślał już, co zrobi i któremu z otaczających ich espowców wyrwie broń, gdyby Atuarre nie podołała swej roli. Najmniejszy cień wahania czy niepewności w jej głosie niewątpliwie zaalarmowałby Hirkena i jego ludzi.

Jednak Atuarre nie zawiodła pokładanych w niej nadziei i bez wahania odrzekła:

— Nie, Ekscelencjo i nie miał jeszcze do czynienia z Markiem X.

Han był do głębi wstrząśnięty tym, co usłyszał. Robot--gladiator? A więc tego oczekiwał Hirken. Han oczywiście słyszał już wcześniej o tym, że walki robotów były dosyć powszechną rozrywką bogatych i zepsutych obywateli, jednak nie sądził dotychczas, że również Hirkena można do nich zaliczyć. Gorączkowo zastanawiał się nad wyjściem z tej sytuacji.

W pewnej chwili dołączyła do nich kobieta, która wyłoniła się z prywatnej windy. Była niska i potwornie gruba, czego nie mogła zamaskować nawet obszerna, znakomicie skrojona szata. Han w myślach przyrównał kobietę do gigantycznej purchawki z zarzuconym na nią spadochronem.

Podeszła do Hirkena i ujęła go za rękę. Wiceprezydent lekko się skrzywił, po czym skłonił z gracją. Pogłaskała go po rękę grubą, pulchną dłońią, a następnie zaszczebiotała:

— Kochanie, czyżbyśmy mieli gości?

Hirken obrzucił ją morderczym spojrzeniem, ale grubaska zdawała się nie dostrzegać jego zniecierpliwienia.

— Nie, najdroższa. Ci ludzie przywieźli robota, który się zmierzy z moim Markiem X — odrzekł przez zaciśnięte zęby. — Madame Atuarre i wy, państwo, pozwólcie, że przedstawię wam moją ukochaną małżonkę, Neerę. Aha, madam, jakie jest oznaczenie tego androida?

— On jest jedynym w swoim rodzaju, Ekscelencjo. Sami go zaprojektowaliśmy i wykonaliśmy — włączył się do rozmowy Han. — Wskazując Bolluxa, dodał: — Nazywa się Annihilator.

Bollux spojrział najpierw na Hana, później na Hirkena i skłonił się.

— Annihilator. Do usług. Niszczyć, znaczy służyć, Ekscelencjo!

— Nasz trupa oferuje również inne formy rozrywki — rzekła Atuarre do żony Hirkena.

— Żonglerkę, tańce, strzelanie do celu i wiele, wiele innych.

— Och, kochanie! — wykrzyknęła kobieta, przymilnie przytulając się do Hirkena.

— Chciałabym je od razu obejrzeć. Zostawmy sobie walkę na później. Nudzi mnie już przyglądanie się, jak stary Mark X niszczy inne roboty. To naprawdę jest i nudne, i okrutne! A prawdziwi akrobaci będą miłą odmianą po tych nudnych kasetach programowych i nagranej muzyce. Tak rzadko mamy okazję kogoś gościć!

Wydała z siebie kilka cmoknięć, które miały za zadanie ubłagać i przekonać małżonka. W uszach Hana brzmiały one jednak jak pochrząkiwanie dzikiego zwierzęcia.

Han dostrzegł nagle nikłą szansę jednoczesnego rozwiązania dwóch problemów — uchronienia Bolluxa przed Markiem X i rozejrzenia się na własną rękę po Krańcu Gwiazd. Postąpił krok naprzód.

— Ekscelencjo, jestem również kierownikiem technicznym grupy. Muszę pana poinformować, że nasz gladiator odniósł podczas ostatniej walki pewne niewielkie uszkodzenie. Wydaje mi się, że przed walką należy sprawdzić, jak działają jego wszystkie pomocnicze elementy i obwody. Gdyby pozwolił mi pan skorzystać ze swego warsztatu, zabrałoby mi to najwyżej kilka minut. W tym czasie pan oraz pańska żona moglibyście

przyjrzeć się innym występom.

Hirken popatrzył na rozgwieżdżone niebo i ciężko westchnął, podczas gdy jego żona radośnie zaklaskała w dłonie.

— Dobrze, ale pospieszcie się z tymi naprawami, mistrzu. Nie przepadam za tańcami ani akrobatyką.

— Ależ oczywiście, Ekscelencjo.

Wiceprezydent przyzwał do siebie starszego technika, który właśnie zajęty był sprawdzaniem obwodów elektrycznych amfiteatru, i wyjaśnił mu, o co chodzi. Następnie, z pewnym ociąganiem podał ramię małżonce. Wraz z majorem i towarzyszącymi mu espowcami i osobistą ochroną przeszli w głąb amfiteatru. Uul-Rha-Shan, rzuciwszy Hanowi wrogie spojrzenie, podążył za nimi, starając się cały czas kroczyć po prawej stronie Hirkena.

Ponieważ pokazy akrobatyczne Pakki i tańce Atuarre nie były potencjalnie groźne dla publiczności, Hirken wduśił przycisk na przytroczonej płytce i przezroczyste przesłony tworzące osłonę areny opadły. Dostojnik wraz z małżonką zasiedli w luksusowej łoży, a Pakka przystąpił do przygotowywania swojego programu.

— Poczekaj na mnie przy windzie, wyjmę tylko skrzynkę z przewodami i za chwilę do ciebie dołączę — zwrócił się Han do oddanego mu do dyspozycji starszego technika.

Mężczyzna odszedł i wówczas Han pochylił się nad Bolluxem.

— Otwórz się teraz na tyle, bym mógł wyjąć Maxa. Plastron rozchylił się na odpowiednią szerokość. Han, dobrze ukryty za jedną z jego połówek, bez trudu odmontował minikomputer i szepnął ostrzegawczo:

— Teraz masz milczeć, Max, od tej chwili jesteś komputerem kontrolującym walkę. Uważaj więc na to, co robisz. Masz być niemy i głuchy, rozumiesz? — Jakby w potwierdzeniu, czerwony fotoreceptor Maxa przygaś. — Żegnaj na razie, Błękitny Maxie.

Han wyprostował się, zarzucając na ramię pasek, na którym umocował minikomputer. Zdjął pelerynę, odpiął kaburę i podając je robotowi rzekł:

— Potrzymaj je chwilę, Bollux i nic się nie denerwuj. Wkrótce będę z powrotem.

Gdy Han dołączył do czekającego na niego przy windzie technika, Pakka już na dobre rozpoczął swój popis. Malec był zadziwiająco zdolnym akrobatą. To, czego dokonywał w amfiteatrze, przechodziło ich najśmielsze oczekiwania. Zwiąjał się, skakał, fikał koziołki, wykonywał skomplikowane salta i obroty, błyskawicznie przenosząc się z jednego końca areny w drugi. Po chwili dołączyła do niego Atuarre — matka rzucała małcowi obręcze, a ten umiejętnie przez nie przeskakiwał, dając wspaniały pokaz zręczności. Żona Hirkena była zachwycona spektaklem i co chwilę wydawała głośne okrzyki zdumienia i podziwu. W amfiteatrze gromadziło się coraz więcej osób — głównie wyżsi rangą urzędnicy i dowódcy, którzy zostali zaproszeni na pokaz. Wszyscy mruzczyli z aprobatą, lecz po chwili zamilkli, skarceni zimnym wzrokiem Hirkena. Wiceprezydent nacisnął guzik na płytce kontrolnej. Natychmiast odezwał się jakiś głos.

— Przygotujcie Marka X. Natychmiast.

Nie czekał nawet na potwierdzenie przyjęcia rozkazu; rzucił badawcze spojrzenie na Bolluxa. Powrócił do oglądania występu Pakki. Hirken, kiedy chciał, był bardzo cierpliwym człowiekiem, ale dzisiaj nie miał ani czasu, ani ochoty na cierpliwość.

ROZDZIAŁ IX

Zjeżdżając windą, Han gorączkowo rozważał wszystkie okoliczności.

To właśnie on był bezpośrednim sprawcą tych kłopotów. Sądził, że jeżeli nawet niczego

konkretnego nie osiągną, zyskają trochę czasu, może natomiast uda im się ustalić, co robić dalej. Myślał, że w najgorszym przypadku usłyszą, że nie są tutaj mile widziani. Nie przewidział jednak tego typu komplikacji.

Usiłował sobie wmówić, że nie bardzo obchodzi go los Bolluxa rzuconego na pastwę robota-mordercy. Bollux był w końcu tylko robotem. Jego zagłady nie można porównywać ze śmiercią człowieka. Han tłumaczył to sobie, bo nie potrafił przejść nad tym do porządku dziennego. Nie zamierzał także nawet w najmniejszym stopniu przyczynić się do dostarczenia Hirkenowi rozrywki.

W chwilach takich jak ta żałował, że nie jest zwykłym, szarym obywatelem, pokornym zjadaczem codziennego chleba. Był jednak taki, jaki był — gwałtowny, porywczy ryzykant, którego nikomu i niczemu nie udało się dotychczas wcisnąć w ustalone normy praworządności i porządku społecznego. W tym przypadku nie mógł sobie pozwolić na żadne sentymenty. Tak postanowił w windzie. Jeżeli okazałoby się, że wszystkie ich starania i wysiłki pójdą na marne, będą zmuszeni do wycofania się i opuszczenia Krańca Gwiazd pod pretekstem, że uszkodzenia, które odniósł Bollux, są nie do usunięcia.

Przyglądał się migającym cyferkom oznaczającym mijane przez nich poziomy i siłą woli powstrzymywał się od zadawania pytań towarzyszącemu mu technikowi. Zdawał sobie sprawę z tego, że jako cudzoziemiec i do tego cyrkowiec nie ma prawa interesować się jakimikolwiek problemami dotyczącymi rządowej infrastruktury. Każde jego pytanie mogło wzbudzić natychmiastowe podejrzenie i niepotrzebne zainteresowanie ekipą cyrkowców.

Podczas krótkotrwałej podróży, do windy parokrotnie wchodzili różni pasażerowie i ją opuszczali. Tylko jeden z nich należał niewątpliwie do kadry kierowniczej, reszta to espowcy i zwykli, szeregowi technicy. Han przyglądał się każdemu badawczo w poszukiwaniu jakichkolwiek wskazówek, gdzie może znajdować się więzienie, nic jednak nie rzuciło mu się w oczy. Po raz kolejny stwierdził, że wieża jest stosunkowo słabo zaludniona, co w pewnym sensie wykluczało możliwość usytuowania w niej więzienia.

Podążając za technikiem, wysiadł z windy. Znajdowali się teraz w umieszczonej na parterze części konserwacyjno-remontowej obiektu. Kręciło się tu kilku techników zajętych jakimiś drobnymi pracami naprawczymi. Na całym terenie wałały się liczne, porozkładane na części roboty, aparatura komputerowa i kontrolna.

Han przystanął, ściągając z ramienia pasek z umocowanym Maxem.

— Macie tu jakieś urządzenie kontrolno-pomiarowe? Jakiś skaner?

Technik poprowadził go w kierunku bocznego pomieszczenia w całości wypełnionego rzędami pustych w tej chwili kabin. Po wejściu do jednej z nich Han postawił Maxa na stole i obniżywszy czaszę skanera, pochylił się nad minikomputerem. Miał nadzieję, że technik pozostawi go choć na chwilę samego i powróci do swych obowiązków. Tak się jednak nie stało — mężczyzna nie ruszył się nawet na krok, a Han wpatrywał się w skomplikowane wnętrze komputera.

— Hej, ten element coś nie bardzo wygląda mi na element pomocniczy — zauważył technik, zaglądając mu przez ramię.

— To moje własne dzieło, może dlatego nieco skomplikowane — odrzekł Han. — A propos, wiceprezydent zgodził się, żebym po dokonaniu naprawy poszedł do waszej centrali komputerowej i ponownie wyskalował mojego robota. O ile się nie mylę, mieści się ona na sąsiednim poziomie, prawda?

Technik zmarszczył brwi, nie odrywając wzroku od Błękitnego Maxa.

— Nie, komputery znajdują się dwa poziomy wyżej. Ale nie wpuszczą cię tam, dopóki nie skontaktują się z Hirkenem. Nie należysz do personelu i nie masz oznaki uprawniającej do wejścia na teren zamknięty. — Pochylił się nad urządzeniem kontrolnym. — Słuchaj,

przecież to wygląda wyraźnie jak moduł komputerowy!

Han roześmiał się.

— Och, nie nudź. Zajmij się wreszcie swoimi sprawami. Odsunął się na bok. Technik pochylił się nad skanerem, z niedowierzaniem wpatrując się w parametry kontrolne! W chwilę później bezwładnie opadł na podłogę.

Han, w zamyśleniu rozcierając kant dłoni, rozglądał się za miejscem nadającym się do ukrycia nieprzytomnego technika. Jego wzrok spoczął na niewielkiej, podłużnej szafce na narzędzia. Związał na plecach ręce mężczyzny, używając do tego celu własnego paska, zakneblował go i wepchnął do szafki. Pochylił się jeszcze nad nieprzytomnym, zdjął jego identyfikator i zamknął drzwiczki.

Podszedł do Błękitnego Maxa.

— W porządku, Max, możesz się obudzić.

Fotoreceptory komputera rozblęskły czerwonym światłem. Han zdjął zdobną jego strój szarfę, oderwał lekko przymocowane ozdoby i błyskotki i pozostał w gładkim, czarnym stroju do złudzenia przypominającym kombinezon technika. Na środku piersi umieścił identyfikator nieprzytomnego, zarzucił na ramię Maxa i wyszedł z pomieszczenia. Oczywiście, zdawał sobie sprawę z tego, że gdyby jakiś gorliwy wartownik zechciał porównać minifotkę wtopioną w oznakę z jego twarzą, byłaby wsypa. Ale nie miał wyboru i musiał zdać się na łut szczęścia.

Bez żadnych kłopotów pokonał dwa dzielące go od centrali komputerowej poziomy. Trzej espowcy strzegący wejścia na poziom, widząc z daleka identyfikator, machnęli przyzwalająco. Han uśmiechnął się w duchu. Kraniec Gwiazd zapewne był planetą, na której niewiele się działo i dni miały spokojnie. Nic dziwnego, że straż zaniedbywała nieco swe rutynowe obowiązki. Cóż mogło się tutaj wydarzyć?

Chociaż występ Pakki był prawdziwym pokazem zręczności, twarz Hirkena z minuty na minutę robiła się coraz bardziej ponura. Pakka właśnie wykonywał salto na piłce do balansowania, gdy dostojnik wstał.

— Dostyc już! — oświadczył, ze zniecierpliwieniem machając ręką. Pakka przerwał występ, wpatrując się w Hirkena. — Czy ten guzdrała Marksman jeszcze nie wrócił? Zgromadzeni poszeptali między sobą i wspólnie ustalili, że Hana wciąż nie ma. Hirken poczerwieniał ze złości. Wskazał palcem na Atuarre.

— W porządku, madame. Może pani tańczyć, byle nie za długo. Jeżeli ten pani Marksman wkrótce się tutaj nie zjawi, zrezygnuję z jego usług.

Pakka usunął z areny swoje rekvizyty. Atuarre podała mu niewielki flet wykonany przez Hana na pokładzie „Sokoła”. Malec parokrotnie na próbę dmuchnął w fujarkę, a Atuarre lekko uderzyła w przygotowane dla niej cymbałki. Dźwięk tych instrumentów bardzo odbiegał od oryginalnych, triańskich, jednak nie sądziła, by widzowie aż tak dobrze orientowali się w etnografii. Podejrzewała, że prymitywizm wykonania instrumentów powinien ich wręcz przekonać o ich autentyczności.

Pakka zaczęła wygrywać tradycyjną triańską melodię. Atuarre wbiegła na arenę, poruszając się w takt muzyki z gracją i wdziękiem niemożliwym do naśladowania przez istoty ludzkie. Wydawała się pogrążyć w tańcu — wokół niej powiewały kolorowe wstążki, pobłyskiwały łańcuszki i koraliki, dzwoniły amulety, a w takt muzyki radośnie pobrzękiwały cymbałki.

Twarz Hirkena nieco złagodniała, wyglądało na to, że ten pokaz jest i dla niego atrakcyjny. Rytualne tańce Triańczyków często przedstawiano jako prymitywną, mało wyrefinowaną rozrywkę, jednak w gruncie rzeczy można je było zaliczyć do prawdziwej sztuki. Wymagały od tancerza maksymalnej koncentracji, poczucia rytmu i wrodzonego wdzięku oraz prawdziwego umiłowania tańca. Już po krótkiej chwili Hirken, jego żona i

towarzyszące im osobistości zapomnieli o całym świecie, z zachwytem przyglądając się prezentującej ten dziwny taniec Atuarre. Ona zaś zastanawiała się, jak długo jeszcze uda się jej utrzymać w napięciu widownię, oraz co się stanie, jeżeli publiczność zbyt prędko znudzi się jej występem.

Han odnalazł wreszcie centralę komputerową i z ulgą stwierdził, że pokój jest pusty. Podczas gdy Max podłączał się do systemu, Han ostrożnie wyjrzał na korytarz, a potem dokładnie zamknął drzwi.

Wysunął składane krzesło, ustawiając je tuż przy ekranie czytnika.

— Już się podłączyłeś, mały?

— Prawie, kapitanie. Technicy Rekkona nauczyli mnie, jak z takim pracować.

Ekran zajaśniał, wypełniając się z miejsca symbolami, diagramami, modelami komputerowymi i całymi kolumnami cyfr.

— Do roboty, Max. Sprawdź, gdzie znajdują się cele, ukryte poziomy, wszystko, co wyda ci się niezwykłe.

Błękitny Max przystąpił do dokładnej penetracji niezliczonych danych, przerzucając tysiące informacji w poszukiwaniu czegoś, co mogłoby pomóc im w rozwiązaniu zagadki. Na ekranie przesuwały się stale nowe obrazy, a tempo, w jakim się zmieniały, było najlepszym miernikiem pracy Maxa. W końcu jednak Max oświadczył:

— Nie dam rady, kapitanie.

— Jak to nie dasz rady?! Oni na pewno są tutaj, muszą tutaj być. Szukaj jeszcze raz, mały idioto!

— Nie ma żadnych cel — oświadczył z lekka urażony Max. — Gdyby były, to bym je zauważył. Jedynymi budowlami dostosowanymi do mieszkania są kwatery pracownicze, koszary espowców, apartamenty urzędników... wszystko to po drugiej stronie kompleksu. A także prywatne apartamenty Hirkena, tutaj na miejscu, w wieży.

— W porządku — odparł Han. — A teraz wyświetl mi schematy całego kompleksu, poziom po poziomie, zaczynając od parku rozrywki Hirkena.

Na ekranie ukazał się dokładny schemat całej kopuły, wraz ze znajdującymi się poniżej ogrodem i amfiteatrem. Na następnych dwóch poziomach mieściły się wystawne apartamenty Hirkena. Schemat kolejnej kondygnacji budził pewne podejrzenia Hana.

— Max, czy wiesz, co to za sektory? Może biura?

— Ta informacja jest pominięta — odpowiedział komputer. — Natomiast na spisie inwentarzowym figurują: aparatura medyczna, sprzęt nagrywający, narzędzia chirurgiczne, stoły operacyjne i inne, temu podobne rzeczy.

Hanowi wpadła do głowy pewna myśl.

— Max, powiedz mi, jaki jest oficjalny tytuł Hirkena? na myśli oficjalną funkcję, jaką pełni we Wspólnym Sektorze.

— Wiceprezydent do Spraw Bezpieczeństwa Wspólnego Sektora.

Han w zamyśleniu pokiwał głową.

— Szukaj dalej, jesteśmy na właściwym tropie. To nie szpital, to sala przesłuchań, domyślam się, że wymyślona i zaprojektowana przez Hirkena. Co znajduje się na kolejnym poziomie?

— To nie są chyba pomieszczenia dla ludzi. Następny poziom zajmuje całe trzy piętra, kapitanie. Są tam jedynie jakieś potężne maszyny. Generator dużej mocy i komora powietrzna. Proszę spojrzeć, oto plan całej sekcji i schemat systemu dostarczającego energię.

Max wyświetlił schemat na monitorze i Han przysunął się bliżej. W skupieniu obserwował labirynt pozornie nic nie znaczących linii. Jedna z nich, oznaczona innym kolorem i znajdująca się w pobliżu szybu windowego, zwróciła jego uwagę. Zapytał Maxa, co to

jest.

— Coś w rodzaju pomieszczenia awaryjnego. Cała wieża wyposażona jest w system zabezpieczający. Spróbuję to wyświetlić.

Obraz zamigotał, po czym na monitorze ukazało się wnętrze tajemniczego pomieszczenia. Han przez chwilę badawczo wpatrywał się w obraz, po czym westchnął z ulgą. Wiedział już, gdzie znajdują się zaginieni.

Cała sala wypełniona była szczerlnie niezliczonymi komorami zastojowymi. Wewnątrz każdej z nich spoczywał tymczasowo hibernowany więzień, znajdujący się w stanie śpiączki. Tłumaczyło to fakt, dlaczego na całym obszarze nie było typowej zabudowy więziennej, cel i dlaczego personel był tak nieliczny. Hirken unieszkodliwiał swe ofiary — był panem ich życia i śmierci, a jednocześnie, takie rozwiązanie pozwoliło mu na poczynienie ogromnych oszczędności w dziedzinie środków i personelu. Wiceprezydent do Spraw Bezpieczeństwa potrzebował więźniów tylko na czas przesłuchań — później byli na powrót hibernowani i umieszczani w komorach zastojowych. Odebrał więźniom nie tylko wolność, ale i prawo do normalnego istnienia, oddając je tylko na chwilę przesłuchań.

— Ależ są ich tam chyba tysiące... — szepnął zdumiony Han. — Hirken ma ich przez cały czas do dyspozycji, a jednocześnie nie sprawiają mu żadnych kłopotów. Cała ta część musi zużywać ogromne ilości energii. Max, gdzie dokładnie znajduje się elektrownia?

— Siedzimy na niej, kapitanie — odpowiedział Max, choć w jego przypadku takie antropomorficzne porównanie nie było do końca adekwatne.

Na ekranie monitora ukazał się schemat wieży. Han aż gwizdnął. Tuż pod Krańcem Gwiazd znajdowała się olbrzymia elektrownia o tak dużej mocy, że mogłaby zasilić fortecę lub olbrzymi wahadłowiec bojowy.

— Na całym terenie wokół wieży znajdują się umocnienia i konstrukcje obronne — dodał Max.

Rzeczywiście, wokół wieży i ponad nią roztaczały się w każdej chwili gotowe do zaktywizowania pola siłowe. Kraniec Gwiazd, z tego co Han zauważył, był sam w sobie jedną wielką fortyfikacją. Dane komputerowe informowały, że wyposażony był również w pole antyudarowe, chroniące jego mieszkańców przed niespodziewanym atakiem czy silną eksplozją. Władze nie szczędziły kosztów, aby uczynić Kraniec Gwiazd prawdziwą przeszkodą nie do pokonania.

Wszelkie te zabezpieczenia działały skutecznie jedynie wówczas, gdy wróg znajdował się na zewnątrz, Han zaś był tak bardzo wewnątrz, jak tylko to było możliwe.

— Jest wykaz osób zatrzymanych?

— Chwileczkę... Mam! Są zaklasyfikowani jako „osoby przyjezdne”!

Han uśmiechnął się, słysząc ten biurokratyczny eufemizm.

— Dobrze. Czy figuruje tam Chewie? Max nie odpowiedział od razu.

— Nie, kapitanie. Ale odnalazłem męża Atuarre! I ojca Jessy!

Na ekranie ukazywały się fotografie kolejnych zaginionych. Ubarwienie męża Atuarre było nieco bardziej czerwone niż jej, jednak twarz Doca pozostała identyczna z obrazem zapamiętanym przez Hana.

— A to siostrzeniec Rekkona — dodał Max.

Ujrzeni młodą, ciemną twarz, o zdecydowanym rysach znamionujących podobieństwo do starego naukowca.

— To on! — Wykrzyknął Max chwilę później.

Na monitorze czytnika ukazało się zdjęcie dużego, włochatego oblicza Chewie'ego. Nie wyglądał zbyt przystojnie — był rozczochrany, a wyraz jego twarzy nie wróżył fotografowi niczego dobrego. Oczy Wookie'ego sprawiały wrażenie nieco szklistych i

jakby nieobecnych. Han sądził, że tuż po ujęciu espowcy zaaplikowali Chewbacce środek uspokajający.

— Jak on się czuje? — dopytywał się Han.

Max wyświetlił protokół aresztowania. Chewbacca nie odniósł poważniejszych obrażeń, chociaż podczas potyczki zginęli trzej espowcy. Nie podał swojego imienia, co tłumaczyło początkowe trudności z odnalezieniem go w wykazie. Lista zarzutów stawianych Wookie'emu była bardzo długa, a na samym jej końcu odręcznie sporządzono złowieszczą adnotację o godzinie rozpoczęcia planowego przesłuchania. Han spojrzął na zegar ścienny — tylko godziny pozostawał}’ do chwili, w której Chewbacca przekroczy próg sali tortur Hirkena.

— Max, musimy działać szybko. Nie pozwolę im dobrać się do mózgu Chewie'ego. Czy możemy wyłączyć systemy obronne?

— Przykro mi, kapitanie — odparł komputer. — Wszystkie najważniejsze systemy są włączane i wyłączane przy pomocy płytki, którą zawsze nosi przy sobie Hirken.

— A jak przedstawia się sprawa z dodatkowymi systemami?

W głosie Masa wyraźnie słycać było niezdecydowanie.

— Ewentualnie mógłbym dotrzeć od centrum kontroli, lecz w jaki sposób zamierza pan unieruchomić płytkę Hirkena?

— Nie mam pojęcia, ale wydaje mi się, że działa w połączeniu z jakimiś innymi urządzeniami. Jest chyba zbyt mała, by przy jej pomocy można było kontrolować całą wieżę.

Po chwili Max znalazł odpowiedź i na to pytanie. Okazało się, że obwody i połączenia wbudowane są w ściany na wszystkich poziomach Krańca Gwiazd.

— Wyświetl mi schemat systemów zabezpieczających najwyższego poziomu.

Han dokładnie przyjrzał się szkicowi, starając się zapamiętać najważniejsze jego elementy — drzwi, szyby windowe i belki podporowe.

— W porządku, Max. Chciałbym, żebyś podłączył się do rezerwowych systemów obronnych i zarządził zmianę kierunku przesyłania energii. Jak już systemy zaczną działać, postaraj się, aby znajdujące się nad nami pola ochronnych osłon rozpoczęły przesyłanie energii z powrotem do elektrowni. Ale uprzedź o tym wieżę. Chcę, aby wiedzieli o wyłączeniu pól osłon, ale nie mogli się dowiedzieć o przepływie energii.

— Kapitanie Solo, przecież to może pociągnąć za sobą nieobliczalne następstwa. Cała wieża może wylecieć w powietrze!

— Tylko wówczas, gdy uda mi się zawładnąć płytką Hirkena — mruknął Han ni to do siebie, ni to do Maxa. — Do roboty!

Wysoko w górze, wiele poziomów nad nimi, wiceprezydent Hirken wreszcie zrozumiał, że robią z niego głupca.

Mimo że chwilami zachwycał go taniec Atuarre, pewna zawodowa podświadoma podejrzliwość podpowiedziała mu, że coś w tym wszystkim nie gra. Interesowała go jedynie walka robotów, toteż tańce, choćby nie wiadomo jak piękne, nie były w stanie go usatysfakcjonować.

Uniósł się z miejsca, jednocześnie naciskając guzik na swej płytce. Wszystkie światła i reflektory rozbłysły, a zdumiony Pakka przerwał wygrywaną na fujarce melodię. Atuarre rozejrzała się nieco nieprzytomnym wzrokiem.

— Co...

— Dosyć tego! — warknął Hirken. Uul-Rha-Shan, jego gadzi ochroniarz, również wstał, oczekując rozkazów swego pana. Hirken nie wydał żadnych, zamiast tego powiedział:

— Już wystarczająco dużo widziałem, Triańczycy. Coś kręcicie. Czy uważacie mnie za kompletnego imbecyla? — Wskazał na stojącego nie opodal Bolluxa. — Przywlekliście

tutaj tego robota tylko dla pozorów, z góry wiedząc, że nie nadaje się do walki, zamierzaliście wycygnąć ode mnie pieniądze za nic, a potem, pod pretekstem jakiejś niewielkiej awarii, zażądać zwrotu kosztów, a może nawet nagrody. Mam rację?

Ciche: „Ależ skąd, Ekscelencjo” zostało zupełnie zignorowane przez wściekłego Hirkena.

— Przygotujcie tego robota do walki i przyprowadźcie tu Marka X — polecił otaczającym go technikom.

Atuarre początkowo chciała wystąpić w obronie nieszczęsnego robota, jednak widząc, że Hirken jest nieugięty, zrezygnowała. Musiała myśleć przede wszystkim o dziecku. Co więcej, sądziła, że jeśli pozostanie w amfiteatrze, nie na wiele się przyda Hanowi i swemu uwięzionemu mężowi.

— Jeżeli pan pozwoli, Ekscelencjo, powrócę na swój statek.

Pomyślała, że na pokładzie „Sokoła” będzie miała większe możliwości działania.

Hirken odesłał ją machnięciem ręki i złowieszczo chichocząc, zwrócił się w kierunku swego robota.

— Idź, idź. A jeżeli spotkasz gdzieś po drodze tego krętacza i kłamcę Marksmiana, lepiej zabierz go ze sobą. I nie myśl, że nie złożę oficjalnego zażalenia. Postaram się o to, żeby odebrano wam wszelkie koncesje i wyrzucono z gildii.

Rzuciła ostatnie, beznadziejne spojrzenie w kierunku prowadzonego na arenę Bolluxa.

— Ekscelencjo, to, co pan robi, niezgodne jest z prawem. To przecież nasz robot i...

— ... przywieźliście go tutaj po to, by mnie oszukać — skończył za nią Hirken. — Ale postaram się przyjrzeć mu lepiej i coś z niego wydobyć. Teraz odejść albo sobie popatrz, jak chcesz.

Kiwnął palcem, a jeden z oficerów Espo rzucił krótki rozkaz. Po obu stronach Atuarre i Pakki stanęli dwaj rośli policjanci.

Atuarre ostrzegawczo zasyczała, gwałtownie schwyciła Pakkę za rękę i prawie ciągnąc go za sobą, podążyła w kierunku windy. Cały amfiteatr wypełnił dziki i pełen nienawiści śmiech Uul-Rha-Shana.

W dole, w samym sercu centrali komputerowej dotychczas roziskrzony ekran monitora, pod wpływem manipulacji Niebieskiego Maxa niespodziewanie przygaś.

— Max, wszystko w porządku? — z niepokojem zapytał Han.

— Kapitanie Solo, oni uruchamiają robota bojowego Marka X. Zamierzają wystawić go przeciwko Bolluxowi! — Na ekranie ukazały się szybko zmieniające się wykresy, ilustrujące budowę i konstrukcję techniczną Marka X. Głos Maxa drżał z przerażenia.

— Systemy kontrolne Marka

X i jego baterie zasilające są niezależne od centralnego systemu. Nie zdołam mu stąd przeszkodzić! Kapitanie, musimy wracać na górę! Bollux mnie potrzebuje!

— Co z Atuarre?

— Właśnie wzywają windę i zawiadamiają strażę, że opuszcza Kraniec Gwiazd. Musimy tam prędko iść!

Han potrząsnął głową, nie zważając na to, że fotoreceptory Maxa przygaśły.

— Przykro mi, Max, ale mam zbyt wiele roboty tutaj, na miejscu. A poza tym obawiam się, że nie zdołalibyśmy pomóc Bolluxowi.

Dotychczas rozświetlony ekran przygaś, a fotoreceptor Maxa rozbłysnął czerwonym światłem. Głos robota drżał.

— Kapitanie Solo, nie zamierzam w niczym więcej panu pomagać, dopóki pan nie zabierze mnie do Bolluxa. Ja jestem w stanie mu pomóc.

Han, lekko, wierzchem dłoni uderzył w minikomputer.

— Wracaj do pracy, Max. Dość żartów.

W odpowiedzi Max odłączył swój adaptor z sieci. Rozwścieczony Han schwycił robota i uniósł nad głowę.

— Rób co mówię lub roztrzaskam cię na kawałki!

— Zatem niech pan to zrobi — odparł zdecydowanym tonem Max. — Gdybym to ja miał kłopoty, Bollux zrobiłby wszystko, co w jego mocy, żeby mi pomóc.

Han opuścił uniesioną rękę, którą zamierzał zrzucić komputer na podłogę. Pomyślał, że troska Maxa o Bolluxa była w pewnym sensie podobna do jego własnego postępowania wobec Chewie'ego.

— Niech cię diabli! Jesteś pewien, że możesz pomóc Bolluxowi?

— Niech mnie pan tylko zanieś, kapitanie, przekona się pan na własne oczy!

— Mam nadzieję. Która winda jedzie na samą górę? Max odpowiedział, po czym Han, zarzuciwszy go sobie na ramię, szybkim krokiem ruszył w kierunku szybów. Po drodze pozbył się oznaki identyfikacyjnej i wduśił przycisk, żeby zatrzymać zjeżdżające windy. Stała na nie ta co trzeba, więc ją odesłał, a po chwili ponownie nacisnął ten sam guzik.

Tym razem mu się poszczęściło. Winda wioząca Atuarre i Pakkę wraz ze strażnikami zatrzymała się parokrotnie podczas zjazdu. Atuarre ujrawszy Hana, schwyciła Pakkę za rękę i pospiesznie wysiadła z kabiny. Espowcy musieli bardzo się spieszyć, by nie pozostawić ich samym sobie.

Han poprowadził Trianńczyków nieco na bok, ale rządowi ani na chwilę nie spuszczała całej trójki z oczu.

— Wracamy na statek — cicho poinformowała Hana Atuarre. — Nic innego nie przyszło mi do głowy. Solo, kapitanie, Hirken postanowił doprowadzić do pojedynku Bolluxa z tą straszliwą maszyną!

— Wiem, Max twierdzi, że zdoła temu jakoś zaradzić. — Ujrzał, że jeden ze strażników przekazuje zwierzchnikom jakieś informacje przez komunikator. — Posłuchaj, wszyscy zaginieli są tutaj. Tysiące. Max już przygotował wieżę. Hirken będzie musiał pozwolić opuścić to miejsce wszystkim, jeśli chce sam przeżyć. Idźcie i przygotujcie statek. Jeżeli tylko dorwę jakiś blaster, zwyciężymy, siostró.

— Kapitanie, chciałbym pana poinformować — przerwał Max. — Ponownie sprawdziłem wszystkie dane. Powinien pan chyba wiedzieć, że...

— Nie teraz, Max! — Han lekko pchnął Atuarre i Pakkę w kierunku windy, naciskając równocześnie dwa guziki: do jazdy w górę i w dół.

Jeden ze strażników wskoczył do windy za Atuarre i Pakką, a drugi został przy Hanie.

— Wiceprezydent kazał ci powiedzieć, że zgadza się, żebyś przybył do amfiteatru. Będiesz mógł zabrać to, co pozostanie z twojego robota po zakończeniu walki.

Technicy i espowcy poprowadzili Bolluxa na arenę, po czym podniesiono transpastalowe osłony oddzielające teren walki od miejsc przeznaczonych dla widowni. Hirken doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że Bollux nie jest gladiatorem, w związku z czym, aby jeszcze bardziej uatrakcyjnić widowisko, wydał rozkaz wyposażenia go w osłonę przeciwdударową. Owalna tarcza, wykonana z twardego, wytrzymałego metalu wyposażona została w uchwyty, lecz była tak ciężka, że dosłownie przygniatała do areny starego robota, chociaż niezależnie od biegu wypadków starał się zachować godnie.

Wiedział, że nie zdoła umknąć tyłu pilnującym go uzbrojonym mężczyznom. W ciągu wielu lat służby wśród ludzi nieźle ich poznał i doskonale wiedział, jak wygląda prawdziwa nienawiść. To było właśnie to, co tak wyraźnie odmalowywało się na twarzy wiceprezydenta. Jednak już parokrotnie zdarzyło się Bolluxowi być w sytuacjach pozornie bez wyjścia i również teraz nie zamierzał pokornie dać się zdemolować.

Transpastalowa kłapa luku umieszczonego w najdalszej ścianie odsunęła się i przy akompaniamencie donośnego zgrzytu Mark X wytoczył się na sam środek areny.

Był to potężny robot — o połowę wyższy i szerszy od Bolluxa, zamiast nóg wyposażony w potężne gąsienice. Jego mocarny tułów pokryty był twardym, błyszczącym stopem metali. Z tułowia Kata wyrastały niezliczone ramiona, a każde wyposażone zostało w inny rodzaj broni.

Bollux postanowił zastosować metodę, której nauczył się od jednego z pierwszych właścicieli — po prostu wolał nie wyciągać jedynego logicznego wniosku, że czeka go niechybne zniszczenie. Wiedział, że wśród ludzi takie postępowanie nazywa się często chowaniem głowy w piasek. On sam określił to terminem pomijania nieistotnych informacji. Taktykę tę stosował już od wielu lat i sądził, że to właśnie jej zawdzięcza fakt, że jest wciąż na chodzie.

Więńcząca tułów Marka X wieżyczka obróciła się i czujniki Kata dokładnie analizowały marną posturę Bolluxa. Mark X był jednym z najnowocześniejszych robotów skonstruowanych do walki, wysoce wydajną i wyspecjalizowaną maszyną do zabijania. Mógł zniszczyć tego pomocniczego robota w mgnieniu oka, ale zaprogramowano go oczywiście w ten sposób, by właściciel mógł delektować się pojedynkiem. Kat był przecież maszyną o określonym przeznaczeniu.

Mark X zaczął się toczyć, szybko i precyzyjnie zмирzając w stronę Bolluxa. Stary robot, na dodatek obciążony zbyt masywną tarczą, nieco niezręcznie cofnął się o parę kroków. Kat okrążył go w pewnej odległości, dokładnie zapoznając się z budową i reakcjami Bolluxa, który odgradzony daną mu osłoną, przypatrywał się przeciwnikowi w milczeniu.

— Zaczynać! — krzyknął wiceprezydent do podłączonego do głośników mikrofonu.

Mark X, zdalnie sterowany głosem Hirkena, przybrał pozycję bojową, po czym z maksymalną prędkością ruszył na Bolluxa. Ten próbował go zmylić, uchylając się to w jedną, to w drugą stronę, jednak jego wysiłki były daremne — Kat odgadywał jego zamiary w mgnieniu oka.

— Zatrzymać się! — wrzasnął Hirken.

Mark X zatrzymał się dosłownie o krok od swej ofiary, pozwalając jej cofnąć się niezręcznie o metr czy dwa.

— Dalej! — rozkazał wiceprezydent.

Kat ponownie ruszył z miejsca, wybierając z zaprogramowanego arsenału inny wariant ataku. Jedno z jego licznych ramion, dzierżące niszczący miotacz promieni, uniosło się złowieszczo. Bollux dosłownie w ostatniej chwili odgadł zamiary przeciwnika i zasłonił się tarczą. Promień energii, dobywający się z lufy miotacza uderzył o ściany osłonowe areny, odbijając się rykoszetem w kierunku tarczy. Mark X ponownie wymierzył miotacz w nogi ofiary, zamierzając unieruchomić starego robota. Ten jednakże zdołał opaść na kolana i osłonić się tarczą, zanim promień uderzył o arenę, wzniesając snopy iskier. Mark X po raz kolejny zbliżył się do Bolluxa, by przygotować się do bardziej precyzyjnego strzału, ale Hirken w ostatniej chwili przeprogramował swego robota.

Bollux podniósł się na nogi, dla równowagi podpierając się tarczą. Czuł, że wszystkie jego wewnętrzne mechanizmy, a zwłaszcza łożyska, rozpalone są do czerwoności. Niestety, obwody, w które był wyposażony, nie zdały egzaminu w sytuacji, w jakiej się znalazł.

Mark X przystąpił do kolejnego ataku. Bollux starał się nie myśleć o tym, co wydawało się nieuchronnie nadchodzić i siłą woli przygotowywał się na odparcie ataku wroga.

Han biegiem wypadł z windy. Espowcy wiedząc, że wiceprezydent życzy sobie, by był obecny przy walce, nie zatrzymywali go. Han na moment przystanął przy głównej łoży niewielkiego amfiteatru. W dole Hirken wraz z małżonką i towarzyszącymi mu osobistościami donośnie dopingowali swego ulubieńca, wyszydzając wszelkie poczynania Bolluxa. Kat uniósł ramię, uzbrojone tym razem w wyrzutnik pocisków rażących.

Bollux widział teraz jedyną szansę w ataku. Trzymając kurczowo tarczę, poluzował nieco

sztynne dotychczas stawy kolanowe i odbijając się od podłoża niczym gigantyczny szkarłatny insekt, skoczył na Kata. Miniaturowe pociski rozprysnęły się dookoła, eksplodując na ścianach areny i wypełniając cały amfiteatr dymem i odgłosami drobnych, lecz bardzo licznych wybuchów.

W łóżach przeznaczonych dla widowni rozległ się jęk rozczarowania. Widząc co się dzieje, Han pędem, przeskakując po trzy stopnie, pognął w kierunku areny. Bollux wylądował dosyć nieszczęśliwie i nadwerżone już wcześniej mechanizmy zaczynały odmawiać posłuszeństwa. Wiceprezydent po raz kolejny zmienił wariant gry.

Kat wycofał uzbrojoną w wyrzutnik pocisków rękę, zamiast niej wysuwając dwie, zakończone ogromnymi piłami tarczowymi. Ich ostrza lekko wibrowały w ten sposób, by mogły ciąć metal równie łatwo jak powietrze. Mark X powoli zbliżał się do Bolluxa, jakby delektował się nadsciągającą zagładą przeciwnika.

Hirken dostrzegł wreszcie podchodzącego do krawędzi areny Hana.

— Oszuście! Przyjrzyj się, jak walczy i zwycięża prawdziwy robot!

Zaśmiał się szyderczo, nie zachowując już nawet pozorów uprzejmości. Jego żona i wszyscy podwładni donośnie zarechotali.

Han, nie zważając na zebranych, uniósł komputer.

— Max, powiedz mu!

Błękitny Max wysłał w kierunku Bolluxa kilka impulsów skoncentrowanych sygnałów informacyjnych. Bollux zwrócił ku niemu fotoreceptory, przysłuchiwał się uważnie przez parę chwil, po czym skierował się ku Markowi X. Han w napięciu wstrzymał oddech.

Bollux stał nieruchomo, nie próbując wykonywać żadnych uników ani zasłaniać się tarczą, a Kat podpełzał coraz bliżej. Mark X się temu nie dziwił — w jego mniemaniu Bollux nie miał żadnych szans. W tej sytuacji jego zachowanie było jedynym logicznym. Rozważając co dalej zrobić, rozwarł szeroko ramiona, do których umocowane były piły tarczowe oraz kable chwytające i sunął ku Bolluxowi.

Gdy wróg był już tuż, tuż, stary robot niespodziewanie uniósł tarczę i cisnął w atakującego. Kable i piły przechwyciły ją i w mgnieniu oka rozerwały na kawałki. W chwilę potem Bollux rzucił się na Marka X, uderzając całym impetem w wyciągnięte ramiona Kata.

Robot usiłował się zatrzymać, ale spóźnił się o ułamek sekundy. Leżący na podłodze Bollux jedną ręką sięgnął ku dolnej części tułowia przeciwnika, umieszczając tam swój wysięgnik, jednocześnie drugą dłonią zręcznie manipulował przy obwodach Kata, by rozerwać przewody doprowadzające chłodziwo.

Mark X wydał z siebie donośny elektroniczny jęk. To, co się wydarzyło, przechodziło granice jego rozumowania. Nigdy, w żadnej sytuacji ta maszyna do zabijania nie rozważała nawet takiej możliwości, by zwykły robot pomocniczy mógł się zdobyć na coś takiego.

Z trudem zaczął pełznąć to w jedną, to w drugą stronę. Nie był w stanie osiągnąć Bolluxa, który podczepił się do niego od tyłu. Marka X nie zaprogramowano na to, by strzelił do siebie, zranił się w inny sposób czy zgniótł coś, co było poza jego zasięgiem. Bollux znajdował się teraz w jedynym bezpiecznym miejscu na całej arenie.

Temperatura wewnętrzna Marka X zaczęła wzrastać tak gwałtownie, że maszyna produkowała teraz ogromne ilości ciepła. Hirken zerwał się na równe nogi i wrzasnął:

— Cofnąć, cofnąć! Kacie, rozkazuję ci cofnąć się!

Ogłupiali technicy biegali wokół areny, wpadając na siebie, ale Mark X nie był już zdolny do przyjmowania żadnych rozkazów.

Jego skomplikowany system reagowania na bodźce akustyczne jako pierwszy uległ zniszczeniu. Robot bezmyślnie krążył po arenie, beładnie wymachiwał uzbrojonymi

ramionami, strzelając z blasterów, miotaczy ognia i wyrzutni minipocisków, zagrażając awarią systemów dźwiękochłonnych.

Transpastalowe ściany areny stały się oknem do prawdziwego piekła, w którym trwała zagłada Marka X. Robot jak oszalały krążył po arenie szukając obiektu, który mógłby zaatakować, a przy okazji sam odnosił liczne obrażenia od rykoszetów i wybuchów. Z jego wnętrza dobywały się tu i ówdzie dym i długie języki ognia. Bollux obiema rękami kurczowo trzymał się podwozia Kata i ciskany to w tę, to w tamtą stronę, zastanawiał się, czy nadwerężone walką kończyny nie rozpadną się jeszcze przez jakiś czas.

Krążący na oślep Kat wpadł z impetem na jedną ze ścian i wbił się w nią. Oszalałe, zupełnie rozregulowane mechanizmy maszyny do zabijania potraktowały ją jako długo poszukiwanego wroga. Mark X gotował się do frontalnego ataku.

Bollux doszedł do wniosku, że już najwyższy czas rozstać się z takim kompanem. Rozluźnił kurczowo zaciśnięte dłonie a w chwilę później był już wolny. Uwaga Kata skupiła się teraz wyłącznie na ścianie, którą wybrał na obiekt ataku. Bollux niepostrzeżenie wstał i zaczął się skradać w kierunku wyjścia.

Kat uderzył głową w ścianę osłonową areny i, widząc, że płaszczyzna nie chce się poddać, z furją ponawiał ataki. Wreszcie wypalił jednocześnie ze wszystkich rodzajów broni, którymi dysponował. Otaczały go kłęby dymu, niszczycielskie promienie, odłamki pocisków i opary rozpylonego kwasu. W chwilę później, gdy zrozpaczony Hirken krzyknął: „Nie!”, wewnętrzna temperatura Marka X osiągnęła punkt krytyczny.

Mark X noszący przydomek „Kata”, najnowszy robot wśród maszyn bojowych, na skutek wewnętrznej eksplozji rozpadł się na kawałki tuż po tym, jak Bollux, zwykły robot pomocniczy, zdołał dowlec się do wyjścia z areny i przekroczyć jego próg.

Han doskoczył do niego, przyklęknął i krzepiąco poklepał go po ramieniu. Błękitny Max zaszczębiał coś radośnie. Solo odrzucił głowę do tyłu i nie zważając na wszystkich obecnych, wybuchnął szczerym i serdecznym śmiechem.

— Proszę, dajcie mi chwilę odsapnąć — prosił Bollux zmęczonym głosem. — Muszę doprowadzić swoje mechanizmy do jakiego takiego porządku.

— Pomogę ci! — zaskrzeczał Max. — Podłącz mnie do swoich obwodów mózgowych, Bollux, a ja postaram się coś zaradzić. Spróbujemy zlikwidować wszelkie kłopoty związane z cybernetyką.

Bollux otworzył swój plastron.

— Kapitanie, czy będzie pan tak dobry?

Han uniósł mikrokomputer i umieścił go na właściwym miejscu.

— Jakie to wzruszające — odezwał się czysty, suchy głos tuż za plecami Hana. — Ale zapewniam cię, że bezużyteczne. I tak wyciągniemy z nich wszelkie potrzebne nam informacje. A co stało się z twoimi ozdobami i medalami?

Han odwrócił głowę i powoli się wyprostował. Tuż obok stał Uul-Rha-Shan z gotową do strzału bronią. Przez ramię miał przewieszony blaster Hana.

W chwilę później zjawili się Hirken, espowcy i wszyscy obecni podczas pojedynku oficjele. Powietrze przesycone było zapachem palących się kabli, gumy i kłębami ciemnego, duszącego dymu. Tylko tyle pozostało po wspaniałym, niezwykłym Marku X. Na twarzy Hirkena malowała się wściekła nienawiść.

Trzęsącą dłonią wskazał na Hana.

— Powinienem był wiedzieć, że jesteś częścią tego spisku. Triańczycy, roboty, Gildia Rozrywki... wszyscy do niego należycie. Żaden z członków rady nie będzie w stanie teraz temu zaprzeczyć. Do spisku przeciwko Rządowi i osobiście mnie, należy każdy.

Zaskoczony Han potrząsnął głową. Hirken wyglądał i zachowywał się w tej chwili jak szaleniec.

— Nie znam twojego prawdziwego imienia, Marksman, ale zaręczam ci, że dotarłeś już do krańca swej drogi. Wydobędę potrzebne mi informacje od Trikańczyków i robotów. Ale ponieważ to ty zniszczyłeś mojego ulubieńca, będziesz musiał za to odpowiedzieć. Wraz z towarzyszącym mu orszakiem zszedł z areny, kryjąc się za transpasterowymi osłonami. Uul-Rha-Shan ściągnął z ramienia kaburę z blasterem Hana i wręczając mu ją oświadczył:

— Chodź, Mistrzu! Sprawdzimy, czy zostały ci jeszcze jakieś sztuczki w zanadrzu.

Han wziął do ręki broń. Sprawdził poziom naładowania i stwierdził, że pozostawiono w niej minimalną ilość energii, nie wystarczającą do zniszczenia podstawowego obwodu kontrolnego. Następnie wzrok jego powędrował ku stojącemu za osłoną Hirkenowi. Nie mógł nawet marzyć o uszkodzeniu płytki kontrolnej. Powoli wspinał się po schodach amfiteatru, umocowując na biodrach kaburę.

Tuż za nim kroczył Uul-Rha-Shan, przekładając własny pistolet rozrywający do kabury na przedramieniu. Po chwili obydwaj dotarli na otwarty teren wznoszący się ponad areną — zgromadzeni w lożach oficjele zadarli głowy, by obserwować przebieg wypadków.

Han pomyślał, że do czasu tego nieszczęsnego pojedynku robotów nieźle im się wiodło. Teraz jednak sytuacja zmieniła się diametralnie — Hirken chciał go zabić, a Chewie oraz Atuarre i Pakka mieli być umieszczeni w sali tortur. Wiceprezydent miał w ręce wszystkie karty oprócz jednej. Han pewien był tylko tego, że jeżeli przyjdzie mu zginąć, postara się by taki sam los spotkał wszystkich członków sił bezpieczeństwa.

Szedł ostrożnie, zatrzymał się pod ścianą i odpiął sprzączkę kabury. Jego przeciwnik odsunął się o kilka kroków w przeciwnym kierunku, po czym, rzuciwszy Hanowi badawcze spojrzenie, rzekł:

— Uul-Rha-Shan lubi wiedzieć, kogo zabija. Kim jesteś, oszuście?

Prostując się dumnie, Han opuścił luźno ręce wzdłuż tułowia.

— Jestem Solo. Han Solo.

Na pysku gada odmalowało się zdumienie.

— Twoje imię obilo mi się już o uszy, Solo. Zasłużyłeś sobie na to, by ktoś się w końcu z tobą rozprawił.

Han uśmiechnął się ironicznie.

— Sądzisz, gadzie, że właśnie tobie się to uda? Uul-Rha-Shan zasyczał ze złości. Han starał się nie myśleć o niczym poza zadaniem, które spoczywało na jego barkach.

— Zegnaj, Solo — rzucił Uul-Rha-Shan, gotując się do walki.

Han błyskawicznie wyciągnął prawą rękę, wykonał półobrót z oszałamiającą zwinnością zawodowego strzelca. Ale jego palec nie spoczął na spuście.

Rzucił się na posadzkę i błyskawicznie przetoczył się o parę metrów w bok. Gdy upadał, tuż nad sobą poczuł gorący podmuch wiązki promieni rozrywających. Promienie uderzyły w ścianę, nie czyniwszy mu najmniejszej szkody. Na skutek siły odrzutu spowodowanej eksplozją gad upadł. Strzał oddany przez Uul-Rha-Shana zerwał przebiegające w ścianach obwody współpracujące z płytką Hirkena.

Dochodzące z pewnej odległości odgłosy drobnych wybuchów świadczyły dobitnie o tym, że zniszczeniu uległa większość doprowadzających energię przewodów.

Han przetoczył się po podłodze, a wybuch ledwie osmalił mu włosy. Poderwał się na nogi z blasterem w dłoni. System ostrzegania informował, że broń jest prawie pusta. Gdzieś spośród kłębow dymu doleciało go wściekłe wycie przeklinającego Uul-Rha-Shana. Ale teraz Han nie miał ani czasu, ani ochoty na zajmowanie się gadem.

Poczuł nagle pod stopami drzenie spowodowane wprowadzeniem przez Maxa do pamięci komputera danych odnośnie do rezerwowych systemów obronnych.

Teraz, po zniszczeniu głównych przewodów i zabezpieczeń oraz uszkodzeniu płytki

Hirkena, nastąpiła zmiana kierunku przepływu energii. Han lekko uśmiechał się do siebie. To już nie potrwa długo — pomyślał.

W chwilę potem wszystkie znajdujące się na Krańcu Gwiazd istoty poczuły się tak, jakby wepchnięto je w gęste błoto, jakby cała planeta przygniotła je swą masą. Han dopiero teraz zdał sobie sprawę z tego, że pominął w swych rachubach działanie pola przeciwudarowego. Nie miało to jednak istotnego znaczenia.

Eksplozja o trudnej do opisanie sile wstrząsnęła znajdującą się pod nimi elektrownią...

ROZDZIAŁ X

Atuarre, świadoma obecności kroczącego za nią espowca, siłą woli powstrzymywała się od puszczenia się biegiem w kierunku „Sokoła”. Desperacki plan Hana był dla niej mocno wątpliwy. Co się stanie, jeżeli zaplanowany bluff się nie uda? Ale nie, Han nie blefował — poprawiła się natychmiast w myślach — Han Solo niewątpliwie zdolny byłby w akcie zemsty unicestwić siebie samego i wszystkich swoich wrogów.

W głębi serca popierała jednak pomysł pilota. Był to chyba jedyny sposób na zniszczenie przekłętą przez tyle istot Krańca Gwiazd. Pomyślawszy o tym, przyspieszyła kroku, prawie że ciągnąc za sobą potykającego się Pakkę.

Dochodzili już do stacji łącznikowej, tuż za którą znajdował się „Sokół”. Dyżurny technik, usadowiony za konsolą z lekka znużonym wzrokiem spojrzął na przechodzących. Nagle rozległo się donośne buczenie interkomu i Atuarre usłyszała krótki, wydany głosem Hirkena rozkaz. Triańczycy mają zostać powtórnie doprowadzeni do wieży. Przez chwilę Atuarre zastanawiała się, czy ta nagła zmiana decyzji oznaczała, że Han zdołał uratować Bolluxa.

Nie zamierzała wracać do wieży — Solo wyraźnie rozkazał jej pozostanie na pokładzie „Sokoła”. Uśmiechnąwszy się przymilnie do nadzorującego ich wartownika, rzekła miękko:

— Panie oficerze, muszę zabrać z pokładu pewną bardzo ważną rzecz. Potem pójdziemy, dokąd pan rozkaże, dobrze? To naprawdę bardzo ważne, właśnie w tym celu się tam udaję.

Espo nie miał jednak ochoty wdawać się w żadne dyskusje. Wycelowawszy w nią blaster, rzucił ostro:

— Rozkaz jest wyraźny. Ruszać, no już, natychmiast!

Siedzący przy konsolach technik przyglądał się całej scenie z zainteresowaniem, lecz to nie on, a uzbrojony wartownik stanowił dla Triańczyków największe zagrożenie. Atuarre wysoko uniosła rękę Pakki, tak, że stopy malca ledwie dotykały ziemi. Ruchem brody wskazała potomka.

— Widzi pan, kazano mi również zostawić na pokładzie dziecko. Jego obecność denerwowała wiceprezydenta. — Poczują, jak krótkie, elastyczne mięśnie Pakki tężeją. Mężczyzna nie zdążył jeszcze odpowiedzieć, gdy Atuarre gwałtownym ruchem podciągnęła Pakkę do góry. Triańczycy donośnie zawyli i jednocześnie rzucili się do ataku na zdumionego strażnika.

Pakka skoczył espowcowi do twarzy i gardła. Atuarre, atakująca zza pleców malca, dosięgła ramienia wroga, zmuszając go do wypuszczenia z ręki blastera. Obalili policjanta na ziemię. Pakka kurczowo owinął ogon wokół szyi mężczyzny, jednocześnie atakując go zębami i pazurami, a Atuarre odciągnęła na bok zdobytą broń.

Dolatujący zza jej pleców szmer zwrócił jej uwagę. Obejrzwawszy się, Atuarre ujrzała jak dyżurny technik unosi się ze swego fotela i lewym kciukiem naciska czerwony guzik na

konsolecie, jednocześnie sięgając po leżący tuż obok miotacz. Jasne, że włączył alarm. Atuarre z błyskawicznym refleksem właściwym tylko jej rasie wycelowała w jego kierunku i nacisnęła spust. Jaskrawoczerwone płomienie bluznęły z lufy blastera zwalając z nóg unoszącego się technika.

Silnie krwawiący z licznych ran espowiec jakimś cudem zdołał się wyrwać Pakce i rzucił się na Atuarre. Ponownie nacisnęła spust i żołdak bez życia padł na ziemię. W całym tunelu rozlegały się już jednak odgłosy wycia syren alarmowych, więc Atuarre w każdej chwili spodziewała się pojawienia większej liczby wrogów.

Zmierzała właśnie w kierunku konsoly stacji łącznikowej, by rozłączyć tunele i odciąć drogę pogoni, gdy cała stacja dosłownie zatrzęsała się w posadach — zupełnie tak, jakby na planecie wystąpiło jakieś potężne trzęsienie ziemi. Prąd powietrza uniósł ich i ciskał nimi po wnętrzu tunelu jak niepozornymi papierowymi zabawkami.

Gdy najsilniejsze wstrząsy ustały, Atuarre zerwała się na nogi i pognąła w kierunku jednego z iluminatorów. Nigdzie w zasięgu wzroku nie mogła dostrzec wieży. Tam, gdzie się znajdowała, unosił się wysoki, potężny słup ognia, sięgający niemal otaczającego Mytusa VII nieboskłonu.

Domyśliła się, że otaczające wieżę generatory osłon deflektorowych nieco złagodziły skutki wybuchu. Kolumna ognia i dymu zaczynała maleć, lecz Atuarre nie mogła dostrzec nawet śladu Krańca Gwiazd, a w miejscu, gdzie wznosiła się imponująca wieża, powstał olbrzymi głęboki lej. Nie mieściło się w głowie, że eksplozja elektrowni, nawet tak dużej jak ta, mogła doprowadzić do całkowitego zmiecenia z powierzchni ziemi tak olbrzymiej budowli.

Jakiś wewnętrzny impuls nakazał jej jednak spojrzeć również w górę, poza rozświetlającą niebo łunę pożaru. Wysoko nad powierzchnią Mytusa VII ujrzała migocący blask światła, odbitego od ochronnej powierzchni pancernej płyty.

— Och, Solo — wykrztusiła, w jednej chwili pojawiwszy całą sytuację. — Ty szaleńcze!

Przez chwilę, odsunąwszy się od iluminatora, rozważała sytuację. Musi natychmiast opuścić planetę. Biegiem rzuciła się w kierunku konsoly, odnalazła przyciski odłączające i, dopasowując je do wskaźników umieszczonych nad tunelem stacji, nacisnęła trzy, nie podłączone bezpośrednio do „Sokoła”. Tunele się rozłączyły, jednocześnie automatycznie skurczyły i harmonijkowo zaszyły na siebie.

Następnie uruchomiła samobieżną podstawę nośną stacji, kierując ją w stronę zaparkowanego „Sokoła”. Podczas krótkiej drogi zastanawiała się gorączkowo, co dalej. Jak przystało na triańskiego komandosa, starała się nie tracić zimnej krwi — od powodzenia tego, co zamierzała, zależały bowiem losy całej wyprawy na Mytusa VII. W parę chwil później, „Tysiącletni Sokół” uniósł się z powierzchni planety.

Siedząc w fotelu pilota z Pakką u boku, Atuarre dokładnie lustrowała oddalającą się z każdą chwilą bazę. Wiedziała, że najprawdopodobniej cały personel jest zajęty usuwaniem skutków drastycznego spadku mocy i wycieków powietrza z tuneli. Jednakże w pewnej odległości od „Sokoła” ujrzała startujący uzbrojony statek Espo — jego oślepiające światła dysz nawet z oddali były wyraźnie widoczne. Oznaczać to mogło tylko jedno — ktoś tam, w dole, mimo wszystko zachował resztki zdrowego rozsądku, zrozumiał, co się wydarzyło i stworzył jej nowy kłopot. Ani jeden statek więcej nie może wyruszyć za nią w pościg.

Zniżyła nieco pułap lotu „Sokoła”, kierując go nad stojące na pasach startowych niewielkie statki rządowe. Wszystkie działa pokładowe bluznęły ogniem i już po chwili znajdujące się w dole bezpilotowe jednostki zmieniły się w jaskrawe, eksplodujące kule ognia i dymu. Żaden z sześciu pozostałych statków nie zdołał uniknąć zniszczenia. Dokonawszy dzieła zagłady, Atuarre oddaliła się znad bazy, przelatując obok głębokiego

krateru, który jeszcze nie tak dawno mieścił fundamenty Krańca Gwiazd. Dodała mocy silnikom, zdążając w kierunku, w którym oddalił się jedyny ocalały statek. Włączyła wszystkie osłony ochronne, mimo że nie było to w zasadzie konieczne — tylko kilka laserowych dział wystrzeliło w kierunku „Sokoła”. Cały personel bazy był widać zbyt zajęty ratowaniem uszkodzonych tuneli powietrznych. Stanowiło to jeszcze jedną dodatkową szansę na to, że cel, do którego dążyła, zostanie zrealizowany.

Han domyślał się, że pole antyudarowe Krańca Gwiazd jest już chyba bliskie przeciążenia. W pierwszych minutach po eksplozji na wieżę i wszystko to, co się wewnątrz niej znajdowało, oddziaływała ogromna energia. Jednak po pewnym czasie, gdy ustały już wstrząsy i systemy przystosowały się do nowych warunków, sytuacja zaczęła się nieco stabilizować.

Dym i ogromne ilości wyzwolonego ciepła, wydobywające się zarówno ze zniszczonego Kata, jak z nie działającej pomocniczej aparatury kontrolnej, całkowicie wypełniły pomieszczenie, dusząc i oślepiając zgromadzonych. Pod kopułą powstał trudny do opisanego zamęt, gdy wszyscy instynktownie rzucili się w kierunku wind. Do Hana jak przez mgłę docierały rzucane majorowi Espo rozkazy Hirkena, przeplatane panicznymi wrzaskami i piskami żony wiceprezydenta oraz pozostałych osobistości.

Han łukiem okrążył tłum zdążający do szybów windowych, przebił się przez pole antyudarowe i kłęby dymu. Jak w przypadku wszystkich konstrukcji awaryjnych, pole antyudarowe dostarczało energii instalacjom znajdującym się wewnątrz Krańca Gwiazd, gdyż jej stałe rezerwy były ograniczone. Han uśmiechnął się pod nosem — nie była to jeszcze ostatnia niespodzianka, która miała spotkać Espo.

Kaszląc i krztusząc się od dymu i oparów, zbiegł schodami amfiteatru. Miał nadzieję, że te wyziewy nie były trujące. Nagle poczuł pod stopami jakąś przeszkodę. Pochylił się i ujrzał niepotrzebną już płytkę Hirkena, kopnął ją na bok i, przyspieszając kroku, nadal zbiegał w dół. Po chwili ujrzał na skraju areny Bolluxa.

— Kapitanie — radośnie zaszczębiotał robot. — Już myśleliśmy, że pan gdzieś przepadł.

— Zwiewamy stąd. Dasz radę iść?

— Wszystko w porządku. Max wspomaga mnie teraz bezpośrednim połączeniem.

Z głębi klatki piersiowej Bolluxa dobiegł głos Maxa.

— Kapitanie, przecież usiłowałem panu powiedzieć, że to się może stać.

Han wyciągnął rękę do Bolluxa, by pomóc mu wstać.

— Co się stało, Max? W elektrowni było za mało energii? Wprawił Bolluxa w ruch i przyglądał się, jak ten niepewnie stawia kroki.

— Nie, nie o to chodzi. W elektrowni było mnóstwo energii, ale płyta ochronna jest o wiele bardziej wytrzymała, niż sądziłem na początku. Zewnętrzne osłony deflektorowe nie przepuściły energii wyzwolonej w trakcie eksplozji; wszystkie, z wyjątkiem tej, wznoszącej się nad nami, która na skutek wybuchu uległa dezaktywacji. Cała energia uszła właśnie tą drogą.

Han aż przystanął. Żałował, że nie może spojrzeć małemu komputerowi prosto w czerwone fotoreceptory.

— Max, czy chcesz przez to powiedzieć, że wysłaliśmy Kraniec Gwiazd na orbitę?

— Nie, kapitanie — odpowiedział Max ponurym głosem. — Może na silnie zakrzywioną trajektorię, ale z pewnością nie na orbitę.

Han z wrażenia silnie oparł się o ślaniającego się Bolluxa.

— O, Boże. Dlaczego mnie nie ostrzegłeś?

— Próbowałem — przypomniał mu Max pełnym pretensji głosem.

Han poczuł w głowie kompletną pustkę. To, co powiedział Max, miało jakiś sens: stosunkowo niewielkie przyciąganie Mytusa VII i brak atmosfery nadały planecie

piorunującą prędkość. Gdyby nie to, że pole antyudarowe wieży zadziało w chwili wyzwolenia dużych ilości energii, wszystkie znajdujące się na Krańcu Gwiazd istoty poniosłyby natychmiastową śmierć.

— A poza tym — dorzucił Max - czy to nie lepsze od śmierci? Przynajmniej w tej chwili? Twarz Hana rozjaśniła się, ostatni argument Maxa był absolutnie nie do odrzucenia. Podał rękę Bolluxowi.

— Znakomicie, panowie, mam już nowy plan. Naprzód! Zrobili w tył zwrot i zaczęli oddalać się od szybów wind.

— Windy zaraz przestaną działać, bo wyczerpią się zasoby energii. Wiem, gdzie znajduje się awaryjna klatka schodowa, ale obawiam się, że Hirken i jego ludzie mogą sobie wkrótce o niej przypomnieć. Chodźmy prędko!

Skręcili za róg i, zgodnie z instrukcjami Hana, podążyli w głąb bocznego korytarza. Byli już prawie przy pomalowanym na żółto wyjściu ewakuacyjnym. Nagle drzwi rozwarły się na całą szerokość i wyskoczył z nich espowiec, dzierżący gotowy do strzału paralizator. Stając automatycznie na baczność i salutując, mężczyzna zameldował:

— Panie wiceprezydencie! Proszę tędy!

W tej właśnie chwili dostrzegł Hana i Bolluxa i wymierzył w nich miotacz. Zanim jednak zdążył cokolwiek zrobić, Han jednym strzałem, mimo resztek energii w magazynku swojej broni, powalił go na ziemię.

Han schylił się i podniósł z podłogi miotacz. Ujął Bolluxa wpół i razem zniknęli za żółtymi drzwiami. Wtedy właśnie dobiegły ich krzyki i nawoływania — pozostali, gdy okazało się, że windy nie funkcjonują, podążyli gromadnie w kierunku klatki schodowej. Han starannie zamknął drzwi, po czym parokrotnie strzelił z bliska do mechanizmów blokujących. Metal zaczął się topić, a drzwi rozgrzały się do czerwoności. Szczęściem skonstruowane były z trwałego, długo trzymającego temperaturę stopu, co gwarantowało skuteczną ich blokadę. Wprawdzie należało się spodziewać, że pozostający po drugiej stronie wrogowie w końcu sforsują przeszkodę przy użyciu broni ręcznej, ale zabierze im to trochę czasu. Zbiegali po schodach, nieustannie wpadając na siebie i potykając się.

— Dokąd zdążamy, kapitanie? — spytał Bollux.

— Do komór zastojowych — odparł Han. Niespodziewanie coś nimi zarzuciło. Omal nie upadli. — Poczujesz? To wahania sztucznego pola grawitacyjnego. Wkrótce nastąpi przerwanie dopływu energii do wszystkich instalacji.

— Aha, wiem już, o czym pan mówi. To te komory o których opowiadał mi Max!

— Tak, te same. Gdy zasilanie przestanie działać, tysiące więźniów znajdą się na wolności. Wśród nich jest jeden, który może nam pomóc. To Doc, ojciec Jessy.

Podążyli w dół, mijając po drodze apartamenty Hirkena, salę przesłuchań. Nie spotkali na swej drodze żywego ducha. Wahania siły pola grawitacyjnego jakby nieco zmaleły, ale poruszanie się wciąż było utrudnione. Wkrótce na ich drodze stanęły awaryjne drzwi, lecz Han poradził sobie z nimi bez najmniejszych kłopotów.

Znaleźli się na szerokim korytarzu, na końcu którego ujrzeli kolejne wyjście — tym razem wrota były na wpół uchylone. Całe znajdujące się za nimi pomieszczenie wypełnione zostało szczelnie komorami zastojowymi — niby ułożonymi w warstwy trumnami. Najniższe rzędy komór były całkowicie ciemne i puste — te wyższe jeszcze działały. Dwa środkowe rzędy kabin rozjaśniało migotliwe, na przemian gasnące i zapalające się światło.

W głębi pomieszczenia dostrzegli sześciu espowców, usiłujących stawić czoło napierającemu tłumowi istot — ludzi i humanoidów. Uwolnieni więźniowie należący do wielu ras i gatunków usiłowali wydostać się z pomieszczenia. W powietrzu unosiły się zaciśnięte pięści i łapy zakończone ostrymi pazurami, rozlegały się groźne ryki,

powarkiwania i okrzyki. Espowcy, cofając się w kierunku drzwi, usiłowali zatrzymać napierający tłum bez otwierania ognia, gdyż obawiali się widocznie, że inaczej zostaliby natychmiast zlinczowani.

Wysoki, nieco demoniczny stwór wypadł z tłumy i dziko się śmiejąc z gołymi rękami rzucił się na espowców. Jeden nie wytrzymał napięcia i wystrzelił do niego z miotacza. Reakcja tłumy była natychmiastowa — wszyscy jak jeden mąż rzucili się na ciemniejszych. Nie obawiali się śmierci — czym była w porównaniu z egzystencją w komorze zastojowej? Han odepchnął Bolluxa na bok i przykleknąwszy, otworzył ogień do strażników. Dwóch upadło, zanim zdali sobie sprawę z tego, że ktoś atakuje ich od tyłu. Później dwóch oddało pojedyncze strzały w kierunku Hana, a pozostali dwaj usiłowali opanować szarżujący tłum.

Czerwone promienie rozświetliły komorę, która wypełniła się duszącym dymem i ozonem z blastera. Rozszedł się swąd palącego się ciała. Espowcy strzelali całkiem na oślep, ogień trafiał w drzwi lub ściany, ale nie sięgał wroga. Han, przykucnąwszy za załomem muru, czekał na dogodną okazję do ataku, przeklinając w duchu dosyć kiepski celownik swego paralizatora.

W końcu udało mu się unieszkodliwić jednego z atakujących go espowców. Drugi, by uniknąć trafienia, padł na ziemię. Han zastosował zatem starą sztuczkę. Wystawił uzbrojoną rękę za framugę drzwi, trzymając miotacz tuż przy podłodze i parokrotnie nacisnął spust. Promienie odnalazły kryjącego się espowca i unieszkodliwiły go na zawsze.

Pozostali dwaj wartownicy zrezygnowali z dalszej walki. Jeden rzucił broń i podniósł ręce do góry, ale nic mu to nie pomogło, szalejący tłum rzucił się jak lawina w kierunku drzwi. Drugi, uwięziony pomiędzy Hanem a rozwścieczonymi więźniami, rzucił się do ucieczki po stopniach drabiny łączącej poziomy komór zastojowych.

Po chwili odwrócił się raptownie i strzelił w kierunku wspinających się za nim więźniów. Strzały Hana, oddane pod złym kątem, chybiły. Mimo to Solo uniósł Bolluxa i podążył w głąb sali.

Strzały espowca zniechęciły więźniów do pogoni, on tymczasem docierał już do trzeciego poziomu kabin. Z tłumy więźniów odłączyło się wówczas trzech dziwnych włochaczy, którzy, ignorując drabinę, ze zręcznością małp w ciągu paru sekund dogonili uciekiniera.

Espowiec, widząc co się dzieje, odchylił się i posłał snop energii w kierunku najbliższego małpoluda. Ten z dzikim, pełnym przejmującego bólu okrzykiem spadł na dół. Drugi zrównał się z wrogiem. Zanim ten złożył się do strzału, ogromna siła wyrwała mu z rąk broń i cisnęła ją pomiędzy zgromadzony na dole tłum. W chwilę później schwytyły go mocarne ręce, odciągnęły z drabiny i z niesamowitą siłą wypchnęły w górę. Espowiec całym impetem uderzył w sufit, wysoko ponad najwyższym poziomem kabin, i zupełnie bezwładny opadł na podłogę.

Han, odstawiwszy Bolluxa, podbiegł do rozradowanych więźniów. Nad ich głowami, coraz to nowe kabiny były odcinane od dopływu energii — zahibernowani więźniowie budzili się ze śpiączki i wracali do życia. Teraz, gdy minęło już bezpośrednie zagrożenie ze strony espowców, tłum składający się z mieszkańców niezliczonych planet nieco stracił głowę. Wielu byłych więźniów zginęło lub odniosło obrażenia w wyniku strzelaniny, inni zaś, nie przystosowani do atmosfery panującej na Krańcu Gwiazd i nie wyposażeni w odpowiednią aparaturę adaptacyjną, dusili się i umierali na oczach Hana. Wokół rozlegały się okrzyki i pytania:

— Hej, gdzie są...?

— Co się dzieje z przyciąganiem? Gdzie jesteśmy?

— Co się tutaj dzieje?

Han wymachiwał ramionami i krzyczał, by zwrócić na siebie uwagę zgromadzonych.

— Bierzcie broń i zajmijcie stanowiska przy schodach. Espowcy wkrótce tutaj będą!

Dostrzegł mężczyznę odzianego w mundur zwykłego policjanta, najprawdopodobniej jakiegoś niepokornego podoficera, którego rządowi postanowili się pozbyć, i wskazał na niego.

— Ty będziesz odpowiedzialny za zorganizowanie obrony i zrób to dobrze, bo inaczej znowu znajdziecie się w komorach zastojowych!

Następnie podążył w głąb korytarza. Mijając Bolluxa, rzucił mu w przelocie:

— Zaczekaj tu na mnie, Bollux, muszę odnaleźć Doca i Chewbacę.

Gdy więźniowie rzucili się na pozostałą po espowcach broń, Han podążył w kierunku bocznego korytarza, skręcił w prawo, do kolejnego kompleksu komór zastojowych. Zanim jednak dopadł do drzwi, te otworzyły się raptownie od środka i wypadło przez nie trzech przerażonych espowców. Przepychali się, bo każdy chciał pierwszy znaleźć się poza salą, gdzie rozgorzała walka i skąd dobiegały odgłosy pojedynczych strzałów i bijatyki.

Nie zdążyli jeszcze wypaść na korytarz, gdy rozległ się znajomy ryk i para długich, włochatych ramion dosięgła wszystkich i wciągnęła na powrót do wnętrza.

— Ach, więc tutaj jesteś! — zawołał Han z ulgą w głosie. — Chewie!

Wookie w ułamku sekundy przerzucił trzy bezwładne ciała espowców przez najbliższą balustradę. Gdy ujrzał przyjaciela, uniósł głowę i entuzjastycznie zawył. Rozłożył szeroko ramiona, po czym mimo protestów Hana mocno przycisnął go do włochatej piersi, przy okazji o mało nie miażdżąc mu żeber. Uratowało Hana chwilowe wahnienie siły przyciągania. Chewie zachwiał się, a Han bezpiecznie wylądował na posadzce.

— Jeżeli uda nam się wyjść cało z tej eskapady, przyjacielu — rzucił Solo — przeniesiemy się na jakieś inne, bezpieczniejsze trasy. Co ty na to?

Zdobycie tego bloku nie nastręczyło większych kłopotów — widocznie w chwili, gdy zasilanie zastojników zaczęło gwałtownie słabnąć, wartownicy przebywali w innej części poziomu. Jednak i tutaj rozbrzmiewały prowadzone w nie znanych językach dyskusje i rozmowy. Tym razem nie mieli jednak trudności z zaprowadzeniem porządku—Wookie uniósł potężne ramiona, pogroził tłumowi zaciśniętymi pięściami i donośnie zawył. Wokół niego zrobiło się pusto. Korzystając z chwilowego zaskoczenia i ciszy, która zapadła, Han rozkazał, by więźniowie zebrali broń i dołączyli do pozostałych walczących.

— Chodźmy, Chewie, Doc jest gdzieś tutaj i musimy go odnaleźć— rzekł Han cicho, szarpnąwszy Chewbacę za ramię. — Jeżeli nam się to nie uda, wszyscy zginiemy. Nie mamy wiele czasu.

Przeszli do następnego z pięciu sąsiadujących ze sobą bloków. Tym razem drzwi wejściowe były szeroko otwarte. Han odbezpieczył broń i ostrożnie wyjrzał zza framugi. Wszystkie komory zastojowe były puste, a wokół panowała złowieszczą cisza. Przez chwilę zastanawiał się, czy możliwe, by Rządy nie korzystały z tej części więzienia. Po chwili wahania wraz z postępującym tuż za nim Chewbacą, wszedł do sali.

— Nie ruszać się! — rozległo się tuż za nimi. Dotychczas przemyślnie ukryci ludzie i humanoidy, wyłonili się z kryjówek. Z każdą chwilą było ich coraz więcej i więcej. Han i Chewbacca bez trudu rozpoznali, do kogo należał ten głos.

— Doc! — zawołał Han, zgodnie z rozkazem stojąc bez ruchu. Nie chciał stać się ofiarą nieszczęśliwej pomyłki.

Stary, siwowłosa mężczyzna, spojrzał na nich w zdumieniu.

— Han Solo! Cóż, w imię Wiecznej Światłości, sprowadza cię tutaj, chłopcze?! Hm, spodziewam się, że też jesteście więźniami, co? — Spojrzał uspokajająco na oczekujący

jego rozkazów tłum. — To przyjaciele — oznajmił.

Podszedł do nich szybkim krokiem. Han pokręcił głową.

— Nie, Doc. Chewie był więźniem. Przybyliśmy tutaj w parę osób, by sprawdzić, co...

Doc uspokajająco położył dłoń na ramieniu pilota.

— To na razie nieistotne, młodzieńcze, są ważniejsze sprawy. Dopływ energii do kabin został wstrzymany jednocześnie i tylko dlatego udało nam się opanować cały teren bez większych kłopotów. Pobór mocy musiał być tutaj ogromny i wydaje mi się, że grawitacja nie jest stała.

Wstrzymanie dopływu energii jednocześnie do trzech bloków tłumaczyło, dlaczego mimo skierowania całej energii do pola przeciwdarowego, przyciąganie w ogóle jeszcze działało — uświadomił sobie Han.

— Tak, wiem. Chciałem ci właśnie o tym powiedzieć. Wiesz chyba, że jesteśmy we wnętrzu wieży, prawda? Hmm, jakby to powiedzieć... udało mi się wystrzelić ją w przestrzeń... Przeładowałem elektrownię energią i unieruchomiłem znajdującą się nad nami osłonę deflektorową, więc...

Doc chwycił się za głowę.

— Han, jesteś skończonym imbecylem! Nieco urażony Han przeszedł do obrony.

— Nie podoba ci się? Możesz zawsze wrócić do swojej komory! — Widząc, że Doc opanował nieco emocje, Han kontynuował spokojniejszym już tonem: — Nie ma czasu na kłótnie. Kraniec Gwiazd nie zdoła wyzwolić się spod wpływu pola grawitacyjnego Mytusa VII. Czeką nas zagłada, chociaż w tej chwili trudno mi określić, kiedy to nastąpi. Jedyne, co może nas uratować, to pole antyudarowe, a ono jest już na wyczerpaniu. Musisz coś zrobić, żeby działało, kiedy dojdzie do zderzenia.

Doc przypatrywał się Hanowi z otwartymi ustami.

— Młodzieńcze, naładowanie pola antyudarowego nie jest tak proste jak naładowanie akumulatora dziecięcej zabawki!

Han bezradnie rozłożył ręce.

— Trudno, w takim razie usiadźmy i poczekajmy spokojnie na śmierć. Jessa jest na tyle atrakcyjna, że bez trudu znajdzie nowego ojca.

Dotarło. Stary mężczyzna westchnął.

— Masz rację, jeżeli to nasza jedyna szansa, należy spróbować. Ale wiedz, że mam bardzo złe zdanie na temat sposobu, w jaki nas odbiłeś. — Zwrócił się do pozostałych więźniów, którzy w obecności Chewie'ego jakoś stracili ochotę do uczestniczenia w rozmowie. — Słuchajcie! Nie mamy chwili do stracenia! Chodźcie ze mną i róbcie co każę, może nam się uda. Nawet jeżeli nie, gwarantuję, że już nigdy nie będziecie poddawani przesłuchaniom.

Wymierzył Hanowi lekkiego szturchańca.

— Może wreszcie zyskamy sławę, co?

Ruszył na czele pochodu dziwnych, egzotycznych istot, poruszających się w różnym tempie i różnymi sposobami.

W drodze Han pokrótce opowiedział Docowi, co się wydarzyło.

— Czy to znaczy, że Trianka jest na pokładzie „Sokoła”? — przerwał mu starzec.

— Przynajmniej powinna tam być, ale i tak do niczego nam się w tej chwili nie przyda.

Promienie ściągające „Sokoła” są zbyt słabe, by sprowadzić tę wieżę na miejsce.

Nagle Doc przystanął.

— Wydawało mi się, że coś słyszę, chłopcze.

Teraz nie było już żadnych wątpliwości — z oddali dolatywały odgłosy strzelaniny i eksplozji. Ruszyli biegiem. Mimo podeszłego wieku Doc bez trudu dotrzymywał kroku Hanowi i Chewbacce. Dobiegli do wejścia awaryjnego właśnie w chwili, gdy bezwładne

ciało jednego z więźniów spadło ze schodów na korytarz. Był to włochaty Sauryjczyk; na samym środku jego piersi czerwieniała ogromna, otwarta rana. Cała klatka schodowa rozbrzmiewała odgłosami strzałów.

— Co się dzieje? — krzyknął Han, usiłując przecisnąć się przez tłum.

Chewbacca wysunął się naprzód, torując drogę przyjacielowi. Na schodach ukazał się więzień, którego Han wyznaczył na dowódcę obrony.

— Odpieramy ataki z góry. Jest tam już cały tłum rządowych, którzy usiłują przedrzeć się na dół. Wystawiłem warty na niższych kondygnacjach, ale na razie nic się tam nie dzieje.

— Hirken i jego ludzie chcą się dostać na dół, bo tam są zawory powietrzne. Oni po prostu walczą o życie — objaśnił Han obecnych.

Doc i pozostali spojrzeli na niego ze zdumieniem. Han pomyślał, że chyba żaden z więźniów nie orientuje się w topografii Krańca Gwiazd. Eks-policjant zapytał:

— Więc co się właściwie tutaj dzieje?

— Mamy coraz mniej czasu — odparł Han. — Musimy powstrzymać napór atakujących tak długo, dopóki Doc nie dostanie się do maszynowni. Weź ze sobą paru uzbrojonych. Nie sądzę, żebyście napotkali na silny opór. Cała reszta ma się trzymać w pewnej odległości.

Rozpoczęli wędrówkę w dół schodów. Doc, chyba najlepiej zdający sobie sprawę z powagi sytuacji, zbiegł w dół na złamanie karku. Nikt przecież nie wiedział, kiedy wieża osiągnie apogeum i zacznie opadać.

Han i Chewbacca ruszyli pędem w górę. Oddychanie stawało się z każdą chwilą coraz bardziej utrudnione — powoli, acz nieubłaganie wyczerpywały się zasoby awaryjnych systemów podtrzymujących życie. Gdyby ciśnienie powietrza w wieży spadło poniżej pewnego poziomu, wszystkie ich wysiłki na nic by się nie zdały.

Dołączyli do obrońców usytuowanych na drugim lądowisku, tuż powyżej komór zastojowych. Z góry dobiegły odgłosy strzałów z blasterów, wiązki promieni odbijały się od ścian — uwięzieni na górze oflcljele strzelali na oślep zza węgła, mając niewielkie szanse trafienia któregośkolwiek z obrońców lądowiska. Tylko kilku leżało rannych lub martwych. Gdy Han znalazł się na szczycie schodów, jakiś mężczyzna wystawił karabin zza załomu korytarza i, oddawszy kilka pojedynczych strzałów, pospiesznie wycofał się za róg. Spozrzegłszy Hana, zapytał:

— Co się dzieje na dole?

Han przykucnął tuż przy nim, szykując się do dalszej wędrówki w głąb korytarza, gdy potężny czerwony strumień energii uderzył o ścianę i podłogę dosłownie o centymetry od ich kryjówek. Wycofał się ostrożnie.

— Schowaj ten cholerny łeb, człowieku! — ostrzegł go obrońca. — Wpadliśmy na ich posterunek tuż za rogiem. Zmusiliśmy ich do częściowego wycofania się, ale nie zdołaliśmy ich rozproszyć. Mają więcej broni — przerwał, po czym powtórzył poprzednie pytanie. — Co się dzieje na dole?

— Pozostali zdążają na najniższe poziomy, do maszynowni. My przez ten czas musimy trzymać tę czeredę z daleka.

Han zadrżał na samą myśl o tym, że wieża niechybnie zbliża się już do powierzchni Mytusa VII.

Wrogowie, usytuowani na wyższym lądowisku, zwiększyli siłę ognia. Chewbacca, który z przymrużonymi oczami przez chwilę nad czymś się zastanawiał, pochylił się nad Hanem, coś mu zawzięcie tłumacząc do ucha.

— Mój przyjaciel ma rację — objaśnił Han pozostałych obrońców. — Przyjrzyjcie się tym promieniom. Oni celują w przeciwną ścianę i drugą stronę podłogi. Żaden ich strzał

nie sięga naszych pozycji.

Han ostrożnie, w siadzie, centymetr po centymetrze, trzymając wysoko paralizator na wysokości piersi, przesunął się w kierunku linii ognia. Chewbacca chwycił pilota za nogi i przygwoździł mu kolana do podłoża. Han przesunął się na poślądkach jeszcze o parę milimetrów, po czym zatrzymał się prawie na równi z linią ognia.

Rzucił Chewbacce porozumiewawcze spojrzenie. Człowiek był ponury, a Wookie mocno skupiony.

— Trzymaj z całej siły.

Han raptownie rzucił się całym ciałem do przodu i wycelował przewieszoną przez pierś broń pionowo w górę. Upadając ujrzał to, co spodziewał się ujrzeć. Odziany w brązowy mundur espowiec, niemalże przytuliwszy się do ściany, ostrożnie skradał się po schodach w dół. Han z nagłą, aż bolesną jasnością umysłu posłał w tamtą stronę długą serię. Nie czekając na jej efekty, jeszcze zanim dotknął plecami podłogi, dzwignął się znowu. Chewie wyczuł ten ruch i pociągnął go mocniej. Po chwili Han znalazł się w bezpiecznej strefie — cały manewr został wykonany w tak błyskawicznym tempie, że żaden z wrogów nie zdążył zareagować.

Rozległo się głośne uderzenie butów o metalowe schody i uzbrojone ramię espowca wyciągnęło się w kierunku lądowiska. W chwilę później właściciel pistoletu padł martwy na ziemię. Rzuciwszy okiem na twarz zabitego, Han rozpoznał w nim majora z osobistej straży Hirkena. W milczeniu pokiwał głową, zastanawiając się nad głupotą człowieka, który z tak ogromnym oddaniem poświęcił się służbie.

Ogień z wyższego lądowiska nasilał się. Obrońcy odpowiadali tak, jak tylko pozwalała im ich broń. Chewbacca chwycił pistolet porzucony przez zabitego więźnia, którym było upierzone stworzenie leżące teraz w kałuży krwi. Strzał z blastera strzaskał posiadające niegdyś dziób oblicze i jak stwierdził Wookie, tak powyginał lufę pistoletu, że broń stała się bezużyteczna.

Chewbacca, wskazując na pusty magazynek blastera Hana, rzucił mu uszkodzoną broń. W zamian Han posłał mu swój paralizator i, wyciągnąwszy z kabury blaster, rozpoczął jego ładowanie. Chewbacca, którego palce były zbyt grube, by obsługiwać przeznaczoną dla ludzi broń, jednym ruchem oderwał osłonę spustu i otworzył ogień.

Han dopasował adaptory w obu blasterach, po czym po naciśnięciu odpowiednich guzików nastąpił samoczynny przepływ energii. Po zakończeniu ładowania Han odrzucił całkowicie już bezużyteczną broń wroga i dołączył do Wookie'ego.

Aby zniechęcić przeciwnika, obaj zintensyfikowali ogień, starając się zaskoczyć wrogów w trudnych do przewidzenia miejscach. Jednak pozostali espowcy nie kwapili się do powtórzenia bohaterskiego czynu majora.

Nagle strzały z góry całkowicie umilkły. Podejrzewający jakąś zasadzkę obrońcy również wstrzymali ogień. Han przez chwilę zastanawiał się, czy Hirken przez przypadek nie ma jakiegoś granatu ogłuszającego. Nie, niemożliwe — gdyby czymś takim dysponował, już by to użył.

Gdzieś z wysoka rozległ się ostry, syczący głos.

— Solo! Wiceprezydent Hirken będzie z tobą rozmawiał! Han nonszalancko oparł się o ścianę.

— Przyślij go tutaj, Uul-Rha-Shanie! — krzyknął nie wychodząc z kryjówek. — A zresztą przyjdź również i ty, stary gadzie. Będę bardzo zobowiązany!

W chwilę później usłyszeli donośny, z lekka modulowany głos Hirkena.

— Dziękujemy za zaproszenie, ale wolimy zostać, gdzie jesteśmy. Wiemy już, co zrobisz.

Han w duchu żałował, że wcześniej nie znał możliwych skutków swego działania.

— Proponuję ci układ — kontynuował Hirken. — Niezależnie od tego, w jaki sposób zamierzasz się stąd wydostać, chcę, żebyś zabrał również mnie i towarzyszących mi ludzi.

Han ani chwili nie wahał się z odpowiedzią.

— Obiecuję ci to, tylko rzućcie broń i schodźcie tutaj jeden po drugim, z rękami założonymi na...

— Bądźże rozsądny, Solo! — przerwał mu Hirken, pozbawiając Hana szansy powiedzenia, gdzie mieli założyć ręce. — Jesteśmy w stanie atakować was na tyle długo, że uniemożliwimy również waszą ucieczkę. Kraniec Gwiazd osiągnął już szczyt swego łuku. Widzieliśmy to przez iluminator transpastalowej kopuły. Wkrótce będzie za późno dla nas wszystkich. Co ty na to?

— Nie ma mowy, Hirken!

Han nie wiedział, czy wiceprezydent blefował mówiąc, że wieża osiągnęła już apogeum, ale nie miał żadnej możliwości sprawdzenia jego słów, a nie mając kombinezonu próżniowego, nie mógł wyjść na zewnątrz wieży.

— Hirken ma rację co do jednego — szepnął. — Jeżeli zgodzimy się na jakiegokolwiek ich warunki, przyspilią nas tu na zawsze.

Szybko, jeden po drugim, ewakuowali się na dół, na następne lądowisko, zbudowane tuż nad poziomem komór zastojowych. Gdy tylko znaleźli się za rogiem budowli, zajęli stanowiska bojowe i czekali. Teraz kolej na ruch wiceprezydenta. Z dobiegających odgłosów Han wnioskował, że większość więźniów znajduje się wciąż na poziomie komór i nie wie, co ma robić.

Uniósł lufę blastera, spodziewając się w każdej chwili, że zza rogu, za którym się skryli, może się ukazać wróg, tylko nikt nie był w stanie powiedzieć, kiedy to nastąpi.

Zza węgła, stosunkowo wysoko wychynał łeb Uul-Rha-Shana. Gad najprawdopodobniej stał na czwycich plecach czy ramionach. Błyskawicznie przyjrzał się rozlokowaniu obrońców i zniknął, by się więcej nie pojawić. Oddany przez Hana strzał odłupał jedynie niewielki kawałek muru — pilot nie mógł wyjść z podziwu dla pomysłowości i refleksu jaszczura.

— Czy to naprawdę musi tak wyglądać, Solo? — rozległ się hipnotyzujący głos Uul-Rha-Shana. — Muszę cię gonić po wszystkich piętrach? Zawrzyj z nami umowę, pragniemy przecież tylko żyć.

Han roześmiał się.

— Tak, oczywiście, a oprócz tego pragniecie również, by wszyscy inni przestali żyć!

Z dołu dobiegł odgłos uderzających o schody stóp. W chwilę później ujrzeli zdyszanego Doca. Bez słowa podbiegł prosto do Hana — jego twarz wyrażała ogromny niepokój i trwogę. Han nakazał mu gestem, by mówił cicho, tak, aby ci na górze nie byli w stanie ich podsłuchać.

— Han, przybyły posiłki Espo. Ich statek stoi przy dolnym wejściu i wyładowuje oddziały szturmowe. Porozumieli się z rządowymi, którzy ukryli się tam, w dole. Odcięli nas od maszynowni. Podczas próby przedarcia się większość naszych poległa na schodach, jeszcze zanim sformowaliśmy szyki. Espowcy dysponują teraz ciężkim działem, które właśnie wciągają na górę. Tym razem chyba już po nas!

Zbity tłum więźniów podążył w górę w kierunku jedynej dostępnej kryjówki — komór zastojowych.

— Espowcy, którzy są na dole, mają na sobie kombinezony próżniowe — rzekł Doc. — Co się stanie, jeżeli odetną dopływ powietrza?

Han ujrzał, że wszyscy zgromadzeni właśnie od niego oczekiwali odpowiedzi. Dlaczego ja? Jestem tylko prostym pilotem, zapomnieliście? — pomyślał.

— Jestem już wyprany z pomysłów, Doc. Weźcie trochę sprzętu i zagramy im marsza

żałobnego.

Dumny, pełen triumfu głos Hirkena przerwał ich rozmowę.

— Solo! Właśnie otrzymałem najnowsze wiadomości! Albo się poddacie, albo pozostawimy was tutaj własnemu losowi!

Jakby dla podkreślenia grozy jego słów usłyszeli łomot ciężkiego działa znajdującego się gdzieś na Krańcu Gwiazd.

— Hmm, co będzie to będzie, ale i tak nie unikną przejścia tędy — wymamrotał Han. Schwycił Doca za koszulę, lecz pamiętając o tym, że Hirken jest blisko, nie podniósł głosu. — Nie przejmuj się powietrzem. Espo nie może odciąć jego dopływu, bo zabiłoby to również wiceprezydenta. Dlatego właśnie wylądowali przy dolnym, a nie górnym luku. Wiedzieli, że tym sposobem unikną konieczności wydania nam otwartej walki i w konsekwencji zniszczenia wieży. Wyślij do góry każdego, kto zechce tam pójść. Przechwycimy Hirkena, niezależnie od kosztów własnych i użyjemy go jako zakładnika. Świadomy tego, jak ogromną zaporę ogniową zdolni są stworzyć znajdujący się w górze rządowi i espowcy, i jak zmasowany ogień powita wspinających się wąskimi schodami więźniów, Han pomyślał o ogromnych kosztach takiego planu. Również Doc był tego świadomy — po raz pierwszy wyglądał jak człowiek bardzo stary i po raz pierwszy się nim poczuł.

— Nie zatrzymujcie się pod żadnym pozorem — przemawiał Han do ochotników. — Jeżeli któryś z was zginie, inny ma wziąć jego broń, ale nikomu nie wolno się zatrzymać.

Han poczuł na sobie wzrok Chewie'ego. Wookiee wykrzywił się zabawnie, zmarszczył czarny nos i wydał z siebie głęboki, przejmujący ryk, odrzucając jednocześnie do tyłu włochaty łeb. Uśmiechnął się szeroko do Hana i krzepiąco poklepał go po ramieniu. Byli na tyle dobrymi przyjaciółmi, że ten prosty gest znaczył dla nich więcej niż wszystkie słowa.

ROZDZIAŁ XI

Coraz więcej ludzi i humanoidów podchodziło do lądowiska — niestety, przeważająca większość nie była uzbrojona. Han jeszcze raz przypomniał rozkazy dotyczące broni i niezatrzymywania się. Na samą myśl o tym, jaka okropna rzeź rozegra się na schodach, serce mocniej mu zabiło. Żegnaj spokojna, beztroska przyszłości!

Pochyliwszy się nieco, ruszył w kierunku schodów. Pozostali ochotnicy postępowali za nim krok w krok.

— Chewie i ja pójdziemy jako pierwsi i spróbujemy stworzyć zaporę ogniową. Ruszamy na trzy. Raz... dwa... — Był już tuż przy załomie muru. — Trz...

Niewielkie, włochate stworzenie, które wyskoczyło zza pleców postępujących za Hanem więźniów, wylądowało mu na ramionach, pieszczotliwie kąsając go w kark. Długi, sprężysty ogon okręcił się wokół szyi zdumionego Chewie'ego.

Han był tak zaskoczony, że przez chwilę nie mógł wykrztusić słowa.

— Cóż, u diabła... — Nie dokończył, rozpoznając wreszcie napastnika. — Pakka!

Malec zeskoczył z ramion Hana i, ocierając się grzbietem o jego nogi, popatrywał na niego figlarnie. Przez dłuższą chwilę Han sądził, że ulega jakimś halucynacjom.

— Pakka, czy nie... To znaczy, gdzie jest Atuarre? Do diabła, smarkaczu, skąd się tutaj wzięłeś?! — Przypomniał sobie, że malec nie jest w stanie odpowiedzieć na żadne pytanie.

Z dołu dobiegł głos Doca.

— Solo, zejdź tutaj do nas!

— Zostańcie wszyscy tutaj, na razie nie atakujcie, ale nie dajcie się stąd zepchnąć — przekazał Han Chewbacce.

Przebisnął się przez tłum obrońców i pobiegł w dół, w ślad za zwinnie zeskakującym po schodach Pakką. Nagle tuż u wejścia na poziom komór zastojowych dostrzegł Atuarre otoczoną sporą grupką eks-więźniów. Wśród nich był i Doc.

— Atuarre!

— Solo, kapitanie!

Schwyciła go za rękę, gorączkowo starając się w paru zdaniach opowiedzieć, co wydarzyło się od chwili ich rozstania. Udało się jej podprowadzić „Sokoła” do Krańca Gwiazd i wylądować w doku towarowym znajdującym się na poziomie komór zastojowych, po przeciwnej stronie niż statek bojowy Espo.

— Chyba mnie nie dostrzegli. Przepływ energii na Krańcu Gwiazd jest teraz tak ogromny, że wskaźniki sobie nie radzą. Musiałam lądować na wycucie.

Han odciągnął Doc'a i Atuarre na bok.

— Nigdy nam się nie uda pomieścić wszystkich tych ludzi na pokładzie „Sokoła”, nawet gdybyśmy wykorzystali do tego celu każdy wolny centymetr kwadratowy powierzchni. Jak mamy im o tym powiedzieć?

Trianka przerwała mu w pół zdania.

— Solo, kapitanie, proszę, bądź cicho i posłuchaj. Mamy do dyspozycji całą harmonijkową stację łącznikową, podłączoną do „Sokoła”. Sprowadziłam ją tutaj za pomocą wiązki ściągającej.

— Myślę, że po rozłożeniu tuneli nie powinniśmy mieć kłopotów z załadowaniem więźniów... — zaczął Doc.

Podekscytowany Han nie pozwolił mu skończyć.

— Mam lepszy pomysł! Atuarre, jesteś genialna. Ale czy tunele harmonijkowe sięgną?

— Wydaje mi się, że tak.

Doc przez chwilę wpatrywał się w nich z osłupieniem.

— Co, czyżbyście zamierzali... Och, rozumiem! — Z rozjaśnionym wzrokiem i ożywioną twarzą spojrzął na nich. — To naprawdę będzie coś niezwykłego!

Jeden ze znajdujących się na wyższym poziomie obrońców wychylił głowę przez drzwi awaryjne.

— Solo, wiceprezydent znów pana wzywa!

— Jeżeli mu nie odpowiem, zorientuje się, że coś nie gra. Przyślę wam Chewie'ego do pomocy. Pospieszcie się!

— Solo, kapitanie! Zostało nam dosłownie parę minut! Rzucił się biegiem w górę schodów, nie zważając na to, że nie może złapać oddechu i dusi się wskutek bardzo już znacznego rozrzedzenia powietrza. Zdyszany szeptem wyjaśnił Wookie'emu, o co chodzi, i rozkazał mu poprowadzić pozostałych obrońców na dół, na pomoc Atuarre i Docowi.

Dopiero wówczas podszedł do interkomu. Rozległ się tubalny głos Hirkena:

— Zostało wam już bardzo niewiele czasu, Solo. Czy poddacie się z własnej woli?

— Poddamy się? — szyderczo roześmiał się Han. — Nie wiem, co masz na myśli.

Wyrwał blaster z kabury i oddał kilka strzałów. Miał nadzieję, że ci, którzy znajdowali się w dole, zdołają, przynajmniej przez pewien czas, powstrzymać atak nowo przybyłych espowców.

Dziewięćdziesiąt sekund później jeden z nie używanych luków powietrznych statku rządowego rozświetlił się migocącym, pulsującym światłem. Szczęściem żaden z wrogów tego nie zauważył — oprócz niewielkiej warty, cała załoga statku pospieszyła na odsiecz wiceprezydentowi.

Luk otworzył się bez trudu. W chwilę potem przez wąskie przejście przecisnął się olbrzymi Wookie, dzierżący w dłoniach zdobyczny blaster rozrywający. Chewie był zadowolony, że nie musiał tracić czasu ani energii na forsowanie włazu siłą. Zabezpieczył zewnętrzny wąż. Za jego plecami tłoczyli się inni więźniowie, z bronią gotową do strzału przygotowujący się do ataku na znienawidzonych espowców. Tunel na całej długości wypełniony był już niezliczonymi więźniami, inni powoli wypełniali wnętrza „Sokoła” lub oczekiwali na wyjście z wieży. Statek Hana nie byłby w stanie pomieścić nawet niewielkiej ich części, toteż wszyscy zdawali sobie sprawę z tego, że ich życie uzależnione jest od przejścia wrogiego statku.

Chewbacca dał sygnał ręką i ruszył. Wszyscy pozostali podążyli za nim jak jakiś gigantyczny, wijący się wąż. Otwarcie luku zostało natychmiast odnotowane na monitorze kontrolnym. Dyżurny espowiec, sądząc, że ma jedynie do czynienia z niewielką awarią aparatury zamykającej wąż, opuścił dyżurkę. Wychyliwszy się zza rogu, upadł prosto na włochaty tors Wookie’ego. Zanim zdołał pojąć, co się dzieje, otrzymał silny, miazdzący cios kolbą blastera. Bezwładne ciało osunęło się na ziemię, a brązowy, metalowy hełm zabitego potoczył się w głąb korytarza.

Drugi wartownik, usłyszawszy podejrzany hałas puścił się biegiem w ich kierunku, wymachując odbezpieczonym pistoletem. Gdy był już dostatecznie blisko, Chewbacca wyłonił się z kryjówki i wypalił z odległości paru metrów. Kilku więźniów rzuciło się na zabitych i odebrało im broń, a Chewbacca poprowadził całą resztę w głąb statku, po czym obejrzał maszynownię i pomieszczenia dla załogi. Coraz większa liczba więźniów przedostawała się na pokład, czyniąc miejsce dla następnych, nie mniej licznych uchodźców.

Wookie podszedł do klapy luku prowadzącego do centrum dowodzenia statku. Zwolnił blokadę i gdy zasuwa się odsunęła postąpił krok naprzód. Znajdujący się w pomieszczeniu niższy oficer był tak zdumiony widokiem Chewie’ego, że zdołał tylko wymamrotać:

— Co, u diaska...

Chewbacca powalił go jednym ciosem silnego ramienia, odrzucił głowę do tyłu i donośnie zawył. Podążający za nim uciekinierzy szybko zapełniali wnętrza statku. Wookie był z siebie zadowolony — w ciągu dwunastu sekund udało mu się unieszkodliwić trzech wartowników, z których żaden nie zdołał wszcząć alarmu.

Sadowiąc się wygodnie naprzeciwko instrumentów kontrolnych, Chewie przystąpił do przygotowań do odlotu z Krańca Gwiazd.

Atuarre z niepokojem przypatrywała się, jak coraz to nowi uciekinierzy znikali w wejściu, zdążając w kierunku tunelu łącznikowego. Poruszali się jak pływacy, pomagali jeden drugiemu podczas tej wędrówki. Doc wyruszył jako jeden z pierwszych i teraz przygotowywał już „Sokoła” do lotu. Zgodnie z wcześniejszą umową Chewbacca po dotarciu do centrum dowodzenia obcego statku miał delikatnie odłączyć tunel od wieży, odcinając w ten sposób espowcom jedyną drogę ucieczki.

Jest ich tak wielu — pomyślała Atuarre, mając nadzieję, że na pokładzie nie zabraknie miejsca dla żadnego uciekiniera.

W tej samej chwili wyłowiła z tłumu znajomą twarz i z radosnym okrzykiem ruszyła mężowi na spotkanie.

Dołączył do nich Pakka — malec wpił się w plecy ojca, na przemian śmiejąc się i płacząc z radości, że po tak długim okresie może wreszcie przytulić się do obojga rodziców.

Wtedy właśnie mocno nadwerężone centralne kanały energetyczne Krańca Gwiazd zaczęły jeden po drugim eksplodować.

Han, stojąc na lądowisku, również usłyszał te złowieszcze zwiastuny początku końca tego więzienia. Wraz z trzema innymi uzbrojonymi eks-więźniami, wciąż utrzymywali tam

posterunek. Kilka minut wcześniej ludzie Hirkena przerwali ogień. Wiceprezydent sądził jeszcze, że już wkrótce dotrą do nich posiłki. I, niestety, chyba się nie mylił, gdyż oddział Espo przedzierał się przez kordon uwolnionych, spiesząc z odsieczą na szczyt wieży. Odgłosy eksplozji kanałów przyspieszyły decyzję Hana. Cichym głosem wydał rozkaz wycofywania się.

— Musimy dotrzeć na poziom kabin zachowawczych i przyspieszyć ewakuację.

Miał nadzieję, że zdążą na czas dotrzeć do śluzu i zablokować wejście, zanim dościgną ich wrogowie.

Oddał jeszcze kilka strzałów i podążył za towarzyszami. Zastanawiał się, ile czasu minęło od wystrzelenia wieży w przestrzeń. Dwadzieścia minut? Więcej? Liczył teraz już tylko na łut szczęścia.

Po pokonaniu sporego odcinka drogi usłyszeli tumult na dolnym poziomie. Obydwie grupy uciekinierów zdążające z przeciwnych kierunków dotarły do wyjścia awaryjnego i teraz, przy akompaniamencie przekleństw i złorzeczeń, tłum przepychał się przez wąski otwór. Nadchodzący jako jeden z ostatnich Han odwrócił się, by podać rękę podążającemu tuż za nim mężczyźnie i ujrzał, że ten pada na ziemię bez życia.

Odepchnął na bok blokujące przejście ciało i ostatni więzień znalazł się w środku. Prędko zablokowali drzwi, których dosięgały już promienie wystrzeliwanej energii i ładunków rozrywających. Długo nie wytrzymają, zwłaszcza w przypadku użycia ciężkiego działa.

Han spojrzął na uwolnionych.

— Ilu jeszcze pozostaje do załadowania?

— Już bardzo niewiele — ktoś odkrzyknął. — Nie więcej niż stu.

— W takim razie, wszyscy nie uzbrojeni do tunelu, a reszta na pozycje strzeleckie! Jesteśmy już prawie w domu.

Posuwali się wciąż wzdłuż korytarza, gdy drzwi awaryjne padły pod naporem zmasowanego ognia. Obejrawszy się, Han ujrzał że espowcy ustawili ogromne działa rozrywające ciężkiego kalibru dokładnie na wprost pierwszego bloku komór zastojowych. Han nie zwracał już sobie głowy strzelaniem do potężnej, osłoniętej tarczami lufy.

Działo bluznęło ogniem, demolując pusty już w tej chwili poziom kabin. Uzbrojeni espowcy, pod osłoną ognia zdążali nieuchronnie w kierunku korytarza. Zastrzelili jednego zapóźnionego więźnia. W miejscu, gdzie korytarz skręcał, obrońcy zatrzymali się i znów otworzyli ogień. Artylerzyści, ukrywający się pod osłoną działa, mieli spore kłopoty z przepchnięciem go przez drzwi awaryjne bez wystawiania się na cel uciekinierów.

Han i trzej towarzyszący mu mężczyźni byli ostatnimi, którzy znajdowali się jeszcze na terenie bazy — kilku innych dalej utworzyło nową linię obrony. Powietrze stawało się coraz bardziej rozrzedzone, a na dodatek wszędzie unosiły się kłęby ciemnego, duszącego dymu. Han tracił świadomość. Był teraz naprzeciwko drzwi prowadzących na drugi poziom kabin zastojowych. Susem pokonał dzielącą go od nich odległość i przypadł do podłogi, składając się do strzału.

Coś jednak przyciągnęło jego uwagę. Był to metaliczny, podłużny kształt oparty o jedną z komór zastojowych, mniej więcej w jej środkowej części.

— Bollux, cóż u diabła tutaj robisz?!

Robot najprawdopodobniej zdołał dotrzeć aż tutaj w wędrówce do śluzu, później ktoś go przewrócił i pozostawił już na miejscu, niezdolnego do dalszej wędrówki. Han nie był specjalnie zdumiony faktem, że walczący o życie więźniowie nie wykazali żadnego zainteresowania starym robotem.

Podsłoczył do przyjaciela i przyklęknął przy nim.

— Wstawaj i ruszamy! Mamy bardzo niewiele czasu! Postawienie robota na nogi kosztowało go sporo wysiłku.

— Dziękuję, kapitanie Solo — wyszeptał Bollux. — Nawet z pomocą Maxa nie byłem w stanie się pozbiierać. Kapitanie, uważaj!

Równocześnie z ostrzeżeniem robota Han poczuł, jak zniszczony, metalowy korpus rzuca się na niego i przygniata do podłoża. W tej samej chwili potężna wiązka promieni przeznaczona dla niego uderzyła w głowę robota i rozbiła ją na części.

Mimo zaskoczenia i oszołomienia Han zareagował natychmiast. W ułamku sekundy dostrzegł stojącego w drzwiach Uul-Rha-Shana. Pozostali trzej obrońcy leżeli bez życia u jego stóp.

Gad trzymał broń wymierzoną prosto w ofiarę, składając się do ponownego, tym razem celniejszego strzału. Han, nie mając czasu ani możliwości dokładnego wycelowania, posłał serię z biodra. Wydawało mu się, że czas się zatrzymał — parę sekund, które minęły, było drugie jak cała wieczność.

Promienie dosięgły zielonej piersi Uul-Rha-Shana — jego ciało zwinęło się boleśnie, a posłana przez niego wiązka energii trafiła w sufit.

Han i Bollux leżeli bez ruchu. Fotoreceptory robota zamarły i nie okazywał on najmniejszych oznak życia. Han, uwolniwszy się spod przytłaczającego go ciężaru, wstał, zacisnął palce lewej dłoni na ramieniu Bolluxa i ciągnąc go, powłókł się w kierunku śluzy.

Był tak zmęczony, że nie dostrzegł ani podążających w ślad za gadem espowców, ani bohaterskiego ataku osłaniających jego odwrót więźniów. Widział przed sobą tylko ciemny tunel prowadzący do „Sokoła” i drogę, która mu pozostała, drogę, którą musiał pokonać wraz z bezwładnym Bolluxem.

Nagle u jego boku wyrosła inna postać — sprężysty i mocny Triańczyk, dzierzący jeszcze dymiący blaster.

— Kapitanie Solo — rozległ się męski głos. — Chodźmy, pomogę panu. Zostało już tylko parę sekund.

Han oparł się na jego ramieniu i podążyli w kierunku luku.

— Dlaczego mi pomagasz? — spytał z prostej ciekawości.

— Ponieważ moja żona Atuarre oświadczyła, że bez pana nie wyruszymy. Gdybym ja tego nie zrobił, pomógłby panu Pakka. — Ujrzawszy majaczącą przed nimi kłapę luku, Triańczyk zakrzyknął: — Tutaj, znalazłem go!

Podbiegli do nich inni więźniowie — otwarli ogień osłaniający i zatrzymali espowców. Atakujący cofnęli się, obawiając się widać otwartego uderzenia. Bolluxa poniesiono w stronę luku.

W chwilę później dotarli do włazu śluzy. Wszelkie odgłosy strzałów ucichły — wydawało się, że espowcy przynajmniej na razie zrezygnowali z ataku. Obrońcy unieśli Bolluxa, przepchnęli przez otwór i wszyscy, jeden po drugim, również się tam schronili. Dopiero wówczas, gdy już byli bezpieczni, Han jako ostatni przycisnął się przez wąż, pozostawiając za sobą cichy, jakby wymarły korytarz. Świeższe, gęstsze powietrze wypełniające wnętrze tunelu podziało na niego jak narkotyk. Skinął uspokajająco w stronę zebranych. „Tysiącletni Sokół” był jeszcze bądź co bądź jego statkiem i sam zamierzał go pilotować.

— Solo, zaczekaj! — Z gęstego dymu wypełniającego szczelnie cały korytarz, wyłoniła się sylwetka mężczyzny. Był to sam wiceprezydent Hirken. Wyglądał przynajmniej o dwadzieścia lat starzej.

— Solo, wiem że usunęliście nasz statek z dolnego luku, ale nikomu o tym nie powiedziałem, nawet własnej żonie. Nakazałem Espo przerwać atak i sam do was przyszedłem.

Podszedł bliżej, składając dłonie w błagalnym geście. Han w zdumieniu przypatrywał się

Wiceprezydentowi do Spraw Bezpieczeństwa Wspólnego Sektora, jednemu z władców, bez odrobiny godności zebrzącemu o darowanie życia.

— Proszę, zabierzcie mnie ze sobą. Zróbcie ze mną, co chcecie, ale błagam... nie zostawiajcie mnie...

Nagle na jego przystojne oblicze wystąpił dziwny grymas, jakby Hirken zapomniał, co chciał powiedzieć, powoli osunął się na plecy. Na jego piersiach czerwieniła się ogromna, jakby szarpana rana. Tuż za jego plecami ujrzeli małżonkę z dymiącym jeszcze pistoletem w ręce i liczną rzeszę tłoczących się espowców.

Han w ostatniej chwili zatrzasnął i zablokował wewnętrzny luk. Podążył biegiem w głąb tunelu powietrznego i zamknął również zewnętrzną klapę. Zanim zagłębił się w tunelu, spojrzął jeszcze po raz ostatni przez wizjer. Żona Hirkena, towarzyszący jej oficjele i espowcy z rozpaczą uderzali w szczelnie zamknięty właz. Tunel powietrzny odłączył się już zresztą od Krańca Gwiazd, z coraz większą prędkością przybliżającego się do powierzchni Mytusa VII.

Wokół siebie Han widział całe rzesze uciekinierów podążające z tunelu w kierunku „Sokoła” i statku Espo. Wszyscy byli tak zaabsorbowani szukaniem skrawka wolnego miejsca lub opatrywaniem rannych, że tylko jedna istota była świadkiem zagłady Krańca Gwiazd.

Podczas gdy jego matka i Doc pochylali się nad tablicą rozdzielczą „Sokoła”, zastanawiając się, jak pokierować tak bardzo obciążonym i utrzymywanym przez promień ściągający tunelem, Pakka wlepił wzrok w przestrzeń, doskonale widoczną przez iluminator sterowni. Tylko on nie musiał się o nic troszczyć, a jednocześnie wybrał sobie doskonały punkt obserwacyjny.

Malec przyglądał się, jak Kraniec Gwiazd coraz bardziej obniża tor lotu, opadając po gładkiej trajektorii ku powierzchni pozbawionej atmosfery świata. Nikt oprócz niego nie zwrócił uwagi na krótki, jasny błysk eksplozji, powstałej wskutek uderzenia wieży o powierzchnię Mytusa VII. Pakka — niemy, bezradny malec był jedynym świadkiem zagłady symbolu potęgi Rządów.

Na lądowisku na Urdur — zimnej, surowej, lecz niezależnej i wolnej planecie — szalało absurdalnie porywiste, lodowate wietrzyisko. Eks-więźniowie, którzy wreszcie po długiej podróży dotarli do nielegalnej bazy, nie narzekali jednak na te drobne niedogodności i bez protestów podążyli w kierunku specjalnie dla nich przygotowanych kwater.

Han silniej otulił się pożyczoną od kogoś peleryną.

— Nie zamierzam się sprzeczać — stwierdził. — Ale po prostu niczego nie rozumiem.

— Zwracał się bezpośrednio do Doca, choć Jessa, Atuarre, jej mąż Keeheen i syn Pakka również przysłuchiwali się rozmowie.

Niedaleko na lądowisku zaparkowany był „Sokół” — wciąż przyłączony do tunelu powietrznego i statku Espo. Doc bez trudu nawiązał kontakt z Jessą i doprowadził obydwu pełne pasażerów statki do miejsca, w którym się aktualnie znajdowali.

Chewbacca nie zszedł jeszcze z pokładu, bo chciał dokonać dokładnej inspekcji wszystkich uszkodzeń powstałych na kadłubie i we wnętrzu „Sokoła”. Za każdym razem, gdy udało mu się dostrzec jakiś nowy defekt, wydawał z siebie żałosny, przeciągły ryk.

— Młodzieńcze, sprawdź tego robota — rzekł Doc, nie zwracając uwagi na stwierdzenie Hana.

Technicy właśnie wyładowywali ze statku połamanego, uszkodzonego Bolluxa. Cały segment metalowej czaszki został odstrzelony wskutek ataku Uul-Rha-Shana. Na rozkaz Doca technicy przytaszczyli podnośnik i siłą, przy użyciu łomu i śrubokrętów rozwarli plastron na piersiach androida.

Wewnątrz spoczywał Błękitny Max korzystający z własnego zasilacza. Han pochylił się

tuż nad nim.

— Hej, Max!

— Kapitanie Solo — zapiszczał komputer. — Dawno pana nie widziałem. Prawdę mówiąc od dawna niczego nie widziałem!

— Przepraszam cię, ale to była naprawdę niezwykła podróż. Czy Bollux jest tam z tobą?

W odpowiedzi rozległ się nieco zniekształcony głos starego robota, emitowany za pośrednictwem Maxa.

— Do usług, kapitanie! Błękitny Max był ze mną połączony, gdy dosięgły mnie strzały, i zgromadził w swojej pamięci wszystkie moje podstawowe programy. Czy jesteście w stanie wyobrazić sobie coś takiego? Oczywiście, stracę niektóre właściwości, ale zawsze mogę nauczyć się pewnych rzeczy od nowa. — Głos niespodziewanie spowaźniał.

— Obawiam się jednak, że moja powłoka nadaje się już wyłącznie na złom.

— Załatwimy ci nową, Bollux — obiecał Doc. — Jedną, wspólną dla was dwóch, masz na to moje słowo. Ale teraz musisz nas już opuścić. Moi chłopcy chcą sprawdzić, czy wszystkie obwody działają jak należy.

— Bollux — zaczął Han nie wiedząc, co powiedzieć. Czasami miewał ten problem.

— Głowa do góry!

— Staram się — odrzekł głos.

— Do widzenia, kapitanie Solo — dorzucił Błękitny Max. Jessa mrużąc oczy wskazała na zdobyczny statek bojowy.

— Mamy pewien problem, którego chyba nie zdołamy rozwiązać w warsztacie.

Na trapie statku siedziała ciemnoskóra istota ze smutnie zwieszoną głową.

— Odczuł śmierć wuja bardzo boleśnie — kontynuowała Jessa. — Rekkon był wielkim człowiekiem, stratę kogoś takiego jak on trudno przeboleć.

— Spojrzała na Hana, który nieruchomo wpatrywał się w jakiś punkt. Głowa młodzieńca o twarzy zdumiewająco przypominającej Rekkona uniosła się.

— Co z nim zrobimy? — spytała Jessa. — Większość więźniów rozpocznie gdzieś nowe życie, nawet ojciec i brat Torma. Sporo z nich opuści granice Wspólnego Sektora, kilku zapaleńców planuje zaskarżyć Rządy przed Trybunałem. Ten chłopiec jest jednak jeszcze bardzo młody i jest zupełnie sam.

Spojrzała na ojca wyczekująco. Doc zmarszczył brwi.

— Nie podpuszczaj mnie, córeczko. Wiesz, że jestem wyjętym spod prawa człowiekiem interesu, a nie sierocińcem.

Roześmiała się radośnie.

— Ale przecież nigdy nie opuszczasz w potrzebie żadnych sierot! Zawsze mówiłeś, że przy stole powinno się znaleźć miejsce dla zbłąkanego wędrowca, więc po prostu...

— Wiem. Ugotujemy więcej zupy i usmażymy jajecznicę z kilku jajek więcej. Hmm, będę musiał porozmawiać z tym młodzieńcem, może okaże się do czegoś przydatny. Atuarre, ty zdaje się pracowałeś z jego wujem... pójdiesz ze mną do niego?

Doc i Triąńczycy ruszyli w stronę lądowiska. Pakka odwrócił się i po raz ostatni pomachał Hanowi ręką. Jessa spojrzała na pilota.

— No cóż, Solo, dziękuję ci. Na pewno zobaczymy się jeszcze w tych dniach.

Chciała odejść.

Han musiał ją zatrzymać.

— Hej!

Popatrzyła na niego, lecz całym swym zachowaniem dawała mu odczuć, że bardzo się spieszy.

— Rzykowałem życiem, moim własnym cennym życiem w obronie twego ojca.

— I wszystkich innych — dorzuciła. — Włączając w to twego przyjaciela Chewbaccę.

— Znalazłem się w mrozących krew w żyłach tarapatach i po tym wszystkim ty mówisz tylko „dziękuję”?

Uśmiechnęła się ironicznie.

— No cóż, wywiązałeś się po prostu ze swojej części umowy. Ja wywiązałam się ze swojej. Czego więcej oczekiwałeś, fanfar?

Posłał jej mordercze spojrzenie, ale to najwyraźniej nie wywarło na dziewczynie większego wrażenia. Odwrócił się na pięcie i ruszył w kierunku rampy „Sokoła”.

— Wygrałaś! Ech, wy kobiety! Mam u swych stóp całą galaktykę i cóż mi z tego? Zrównała się z nim i zalotnie spojrzała mu w oczy.

— Nie masz za grosz wyobraźni! Dlaczego nie pomyślałeś o tym, że moglibyśmy zawrzeć kolejny kontrakt?

Z lekka zmarszczył brwi. W co ona usiłuje mnie znowu zrobić? — pomyślał.

— Jaki?

Przez chwilę ważyła w myślach słowa.

— Jakie masz plany? Czy zamierzasz przyłączyć się do kampanii przeciwko Rządowi, czy opuścić tę część wszechświata?

Spojrzał na nią z westchnieniem.

— Powinnaś wiedzieć. „Obedrzeć ich ze skóry”, oto moja zemsta.

Jessa pochyliła się nad rampą „Sokoła” i zawołała:

— Chewie, czy chciałbyś mieć na pokładzie najnowszy system radarowy? A co powiesz na remont kapitalny?

Wookie radośnie zawył, po czym pojawił się na pochylni.

— Aby wam udowodnić, do czego jestem zdolna, podejmuję się usunięcia wszystkich uszkodzeń kadłuba — zaszczebiotała Jessa. — Przemebłuję wam również sterownię, żebyście się wечно nie potykali o te wszystkie graty.

Chewbacca nie posiadał się z radości. Potężnymi łapami objął jedno ze skrzydeł „Sokoła” i radośnie je ucałował.

— Widzisz, Solo? Wszystko jest łatwe, gdy się jest córką szefa! — rzekła Jessa.

Han spoglądał na nią z powątpiewaniem.

— Jesso, a co ja mam za to zaoferować? Objęła go ramieniem, chytrze się uśmiechając.

— A co masz do zaoferowania, Solo?

Nie zważając na jego protesty odciągnęła go na bok i poprowadziła w kierunku odległych zabudowań. W połowie drogi Han rozchylił szerokie poły swej peleryny i mocno przytulił dziewczynę, chroniąc ją przed przenikliwym wiatrem.

Opierając się o kadłub „Sokoła”, Wookie obserwował oddalającą się parę i zastanawiał się, jakie ogromne możliwości stworzy przed nimi nowoczesnie wyposażony statek. Uśmiechnął się szeroko, w głębi serca szczerze zadowolony z paru miesięcy czekającego ich na Urduze urlopu.

Ale potem — pomyślał — drżycie wszyscy bogacze!

HAN SOLO NA KRAŃCU GWIAZD

Rządy Wspólnego Sektora są bezradne wobec przebiegłości sławnego przemytnika broni Hana Solo. Jest tylko jeden sposób, aby go powstrzymać – zarekwirować jego statek jako nie spełniający obowiązujących norm technicznych. Han Solo chcąc wyremontować "Sokoła Millenium" udaje się po pomoc do swego starego przyjaciela Doca. Okazuje się jednak, że Doc zaginął w tajemniczych okolicznościach. By wyjaśnić jego losy, Han Solo decyduje się na ryzykowną wyprawę na Oriona III...

© 1979 by The Star Wars Corporation

This translation published by arrangement with Ballantine Books,
a division of Random House, Inc.

ISBN 83-7082-493-5



Cena det. zł 10,80 (108 000,-)